

Ieva (Èvè) Simonaitytè

Pod obcym dachem
Czèść I: Królestwo nieszczęśników

Ne ta pastogè
I dalis: Ubagų karalystè

z jèzyka litewskiego przelożyly
į lenkų kalbą vertè

Katarzyna Choroszucha
Dominika Huczyńska
Mirijana Kozak
Monika Kujawska
Marta Kwiatkowska
Agnieszka Rembiałkowska

Okrègowa Biblioteka Publiczna im. I. Simonaitytè w Kłajpedzie
& Zakład Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego

Klaipèdos apskrities viešoji I. Simonaitytès biblioteka
& Varšuvos universiteto Baltistikos skyrius

Nida 2018

© for the Polish translation by Katarzyna Choroszucha, Dominika Huczyńska, Mirijana Kozak, Monika Kujawska, Marta Kwiatkowska, Agnieszka Rembiałkowska, 2018

Przekład fragmentu autobiograficznego utworu „Pod obcym dachem“ (część I: „Królestwo nieszczęśliwych“) Ievy Simonaitytė został wykonany w ramach litewsko-polskiego projektu „Simonaitytė prabyła lenkiškai * Simonaitytė po litewsku“, realizowanego od stycznia do sierpnia 2018 roku. W ramach projektu 17–31 lipca 2018 roku odbyły się warsztaty translatorskie w Nidzie, których program, oprócz intensywnej pracy nad tekstem przekładu, obejmował m.in. wykłady Marijusa Šidlauskasa i Nijolė Kepenienė, spotkanie z poetami Daivą Molytė–Lukauskienė i Edmundasem Atkočiūnasem, wycieczkę po stronach rodzinnych pisarki (oprowadzała Edita Barauskienė).

I. Simonaitytės kūrinio „Ne ta pastogė. Ubagų karalystė“ vertimas į lenkų kalbą parengtas įgyvendinant projektą „Simonaitytė prabyła lenkiškai * Simonaitytė po litewsku“ (2018 metų sausis–rugpjūtis). 2018 metų liepos 17–31 dienomis Nidoje surengtos dirbtuvės, kurių metu, be intensyvaus išversto teksto tobulinimo, vyko Marijaus Šidlausko ir Nijolės Kepenienės paskaitos, susitikimas su poetais Daiva Molyte–Lukauskienė ir Edmundu Atkočiūnu, ekskursija maršrutu „Buvo visko...“ (gidė Edita Barauskienė).

Partnerzy projektu * Projekto partneriai:

Okręgowa Biblioteka Publiczna im. I. Simonaitytė w Kłajpedzie i Zakład Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego; Związek Pisarzy Litwy – Oddział Kłajpedzki, Wydział Humanistyczno–Pedagogiczny Uniwersytetu Kłajpedzkiego, Biblioteka Publiczna im. V. Miliūnasa w Neryndze Klaipėdos apskrities viešoji I. Simonaitytės biblioteka ir Varšuvos universiteto Polonistikos fakulteto Baltistikos skyrius; Lietuvos rašytojų sąjunga – Klaipėdos skyrius, Klaipėdos universiteto Humanitarinių ir ugdymo mokslų fakultetas, Neringos savivaldybės V. Miliūno viešoji biblioteka

Inicjator projektu * Projekto iniciatorius: Juozas Šikšnelis

Kierownik projektu * Projekto vadovė: Toma Gergelienė

Prowadzenie warsztatów * Dirbtuvių vedėjos: Mirijana Kozak, Agnieszka Rembiałkowska

Opiekun grupy tłumaczek w Międzynarodowym Centrum Pisarzy i Tłumaczy w Nidzie

* Grupės globėjas Tarptautiniame rašytojų ir vertėjų centre Nidoje: Edmundas Atkočiūnas

Finansowanie * Projektą rėmė: Litewska Rada Kultury * Lietuvos kultūros taryba

Informacje o projekcie * Projekto rezultatų sklaida: www.tvrc.lt www.klavb.lt.

Za konsultacje i cenne uwagi dotyczące przekładu tłumaczki serdecznie dziękują dr Alinie Kuzborskiej, dr. Marijusowi Šidlauskasowi, dr Kristinie Lenartaitė–Gotaučienė, Edicie Barauskienė, Joannie Filipowicz–Choroszusze, Wioletcie Rembiałkowskiej.

Už pagalbą suteiktą rengiant šį vertimą vertėjos nuoširdžiai dėkoja

dr. Alinai Kuzborskai, dr. Marijui Šidlauskui, dr. Kristinai Lenartaitei–Gotaučienei,

Editai Barauskienei, Joannai Filipowicz–Choroszuchai, Wiolettai Rembiałkowskai.

Podstawa przekładu * Vertimo šaltinis:

I. Simonaitytė, „Ne ta pastogė“, Vilnius: Valstybinė grožinės literatūros leidykla, 1962 (wersja elektroniczna 2013; kūrinys suskaitmenintas 2013 m.)

SPIS TREŚCI * TURINYS

Królestwo nieszczęśników (lit. Ubagų karalystė)	
Królestwo nieszczęśników (lit. Ubagų karalystė)	4
<i>przełożyła * vertė Dominika Huczyńska</i>	
Schronienie (lit. Prieglobstis)	10
<i>przełożyła * vertė Dominika Huczyńska</i>	
Listy (lit. Laiškai)	18
<i>przełożyła * vertė Marta Kwiatkowska</i>	
Pawilon (lit. Halė)	22
<i>przełożyła * vertė Marta Kwiatkowska</i>	
Kolmarstift (lit. Kolmarštiftas)	27
<i>przełożyła * vertė Marta Kwiatkowska</i>	
Matka (lit. Motina)	33
<i>przełożyła * vertė Agnieszka Rembiałkowska</i>	
Duchy (lit. Vaiduokliai)	37
<i>przełożyła * vertė Agnieszka Rembiałkowska</i>	
Wyższe sfery (lit. Bajorystė)	41
<i>przełożyła * vertė Agnieszka Rembiałkowska</i>	
Równa wśród równych (lit. Lygi tarp lygių)	43
<i>przełożyła * vertė Agnieszka Rembiałkowska</i>	
Skąd miałam wiedzieć (lit. Ko dar nežinojau)	49
<i>przełożyła * vertė Monika Kujawska</i>	
Kolejna historia (lit. Kita istorija)	54
<i>przełożyła * vertė Monika Kujawska</i>	
Wigilia (lit. Kūčios)	57
<i>przełożyła * vertė Monika Kujawska</i>	
Znowu to samo (lit. Ir vėl sykj...)	60
<i>przełożyła * vertė Monika Kujawska</i>	
Wiosna (lit. Pavasaris)	65
<i>przełożyła * vertė Katarzyna Choroszuca</i>	
Wakacje (lit. Atostogos)	72
<i>przełożyła * vertė Katarzyna Choroszuca</i>	
Lato (lit. Vasara)	79
<i>przełożyła * vertė Mirijana Kozak</i>	
Jesień (lit. Ruduo)	85
<i>przełożyła * vertė Mirijana Kozak</i>	
Zestawienie nazw miejscowych * Vietovardžių sąvadas	91
<i>opracowała * parengė Katarzyna Choroszuca</i>	
O tłumaczkach * Apie vertėjas	92

KRÓLESTWO NIESZCZĘŚNIKÓW

Wóz targowy, którym razem z Bleiweissem jechałam na kolej w Priekulė, niczym się nie wyróżniał, ale przynajmniej konie były dobre. Powoził sam syn Kiliusa, Jonis, i nie szczenił przy tym koni. Kiedy wjechaliśmy na szosę, spod podków leciały iskry, aż ciarki przechodziły. A ja przecież nigdy przedtem nie jechałam po nocy i do tego w nieznanie.

Na dworcu w Angerburgu czekała już na nas furmanka. Przez na oścież otwartą bramę zajechaliśmy niemal po królewsku. I rzeczywiście, za bramą, po obu stronach stało dwóch chłopców. Jeden opierał się na lasce, a drugiemu dziwnie zwisała prawa ręka, znacznie mniejsza od lewej. Krzyknęli za nami, ale nic nie rozumiałam. Zatrzymaliśmy się przy szerokich i wysokich drzwiach frontowych. Musieliśmy szybko biec pod dach, bo nagle zaczął lać dość silny deszcz: styczeń, a tu już wiosenne opady.

W progu, albo przynajmniej tam, gdzie powinien być próg, stała diakonisa. Niemłoda już, dosyć zaokrąglona, o szerokiej, trochę pomarszczonej twarzy. Ksiądz Bleiweiss nisko się jej uklonił. Od razu rozumiałam, że to nie żadna zwyczajna diakonisa, jak ta Ania Macaitisów, która niegdyś uciekła z królewskiego mutterhausu¹. Ta była w jakiś sposób ważniejsza.

– Gott segne deinen Eingang, mein Kind!² – to były jej pierwsze słowa, tak powitała mnie, kolejne biedactwo w swoim domu. To była siostra przełożona, oberka³ – Bertha Benke. To ona kierowała całym tym zakładem dla kalekich dzieci⁴. Są ich tu setki, jak się później dowiedziałam, a także wielu pracowników.

Od razu po niemiecku! Nie mogło być inaczej. Zrobiło mi się strasznie zimno. Ale nie było czasu o tym myśleć. Wprowadzono mnie do westybulu. Był tam olbrzymi witraż z obrazem Chrystusa. Weszliśmy po schodach do sali, gdzie stało kilka rzędów stołów, to tutaj odbywały się posiłki setek dzieci. Ale nie stoły mnie zdziwiły, tylko fresk – kolejny Chrystus wielkości człowieka. Leczy kaleki i niewidomych. Otacza go gromadka stojących i leżących dzieci. Jedne odchodzą już zdrowe i szczęśliwe, a inne wciąż czekają na uzdrowienie. Wszystko wyglądało jak prawdziwe. Nigdy dotąd nie widziałam takich obrazów. Pod spodem napis: „Lasset die Kindlein zu mir kommen”⁵.

Mimo że to sam Chrystus, mimo że to piękne słowa – marznę, przechodzą mnie ciarki i chcę uciec. Ale dokąd? W delmonie⁶ szukam chusteczki. Oczy same zalewają się łzami.

Jakaś dziewczynka bez ręki przynosi mi jedzenie. Kawę i trochę chleba cienko posmarowanego czymś podobnym do masła.

¹ Mutterhaus królewski – niem. Königsberger Mutterhaus der Barmherzigkeit, Ewangelicki Dom Miłosierdzia w Królewcu. Przebywały w nim siostry diakonisy. (przyp. tłum.)

² Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! (niem.)

³ Oberka – niem. Oberschwester, Oberin, tu: siostra przełożona. (przyp. tłum.)

⁴ Anszalty – tu: Zakłady Dobroczynne Bethesda w Angerburgu (obecnie – Węgorzewo), instytucja leczniczo-opiekuńcza, w którą w 1897 roku, po objęciu kierownictwa przez pastora Hermanna Adalberta Brauna, przekształcił się „Dom ułomnych dzieci, czyli ojczyzna kalek w Wegoborku”, założony w 1880 roku przez hrabinę Eleonorę von Lehndorff. Przed I wojną światową placówkę zamieszkiwało około tysiąc osób (w 86 budynkach). Pełniła wiele funkcji: była to placówka lecznicza (szpital i specjalistyczna klinika ortopedyczna), sanatorium dla rekonwalescentów, hospicjum, zakład pomocy społecznej i pracy chronionej (warsztaty), ośrodek pomocy dla osób niepełnosprawnych, dom starców i sierot, szkoła i zakład edukacyjny. Formalnie Zakłady były zarządzane przez Kościół Ewangelicki, ale potrzebujących pomocy przyjmowano bez względu na religię i pochodzenie. Obecnie w dawnych zabudowaniach Bethesdy w Węgorzewie mieści się Dom Pomocy Społecznej dla Osób Niepełnosprawnych Umysłowo.

⁵ Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie. (niem.)

⁶ Delmonas – element tradycyjnego stroju ludowego mieszkanki Małej Litwy, rodzaj zewnętrznej kieszeni przymocowywanej w talii za pomocą specjalnego paska. (przyp. tłum.)

Porządnie zgłodniałam, ale nic nie mogłam przełknąć, chociaż chleb był biały i posmarowany. Kawa była z odrobiną mleka.

Ale to nie dlatego nie mogłam jeść. Boję się jednorękich dziewczynek.

Zamiast drugiej ręki miała kikut. Łokieć kończył się zgrubieniem – jak gdyby piłeczką, która była w ciągłym ruchu. Wydawało się, że ten kikut mówi własnym językiem, i to mnie przerażało.

Kiedy jadłam chleb, do sali przykuśtykało jeszcze kilku chłopców. Jedni z nich byli o kulach, inni nie. Niektórzy byli bez rąk, inni mieli tylko po jednej ręce. Wszyscy mieli jakieś dziwne braki, a to budziło we mnie strach i zgrozę. Takich dzieci jeszcze nigdy nie widziałam. Przyglądają mi się z zaciekawieniem, parskają śmiechem, wybiegają i znów wbiegają, w sali pojawiają się inni. Dla wszystkich byłam niespotkanym dotąd zwierzątkiem.

Tak jak ja wydawałam im się interesująca, tak oni wydawali mi się obrzydliwi. Czy naprawdę będę na nich skazana?

Wreszcie zmęczyłam się tym rozpaczaniem i płaczem. Przecież i tak muszę tu zostać, a nie mam aż tylu łez. Zresztą, co mi po łzach? Sama tego chciałam, na własne życzenie utknęłam w „królestwie nieszczęśników”.

Weszli ksiądz Bleiweiss i siostra Bertha Benke. Wyprowadziła mnie z sali, którą później oglądałam tylko kilka razy, tylko podczas porannych nabożeństw.

I tak szliśmy... Nawet teraz czasami śnię, że idę tym korytarzem, którego końca nie widać.

We śnie korytarz jest jeszcze dłuższy... Jedna ściana jest ślepa, a ściana od strony ulicy to same okna, z czerwonymi, zielonymi i żółtymi szybami. Okna te pewnie miały zdobić przejście pomiędzy jednym a drugim budynkiem anształtów. Ale mnie się to nie podobało. Dlaczego nie mogły być zwyczajne i przejrzyste? Wtedy przynajmniej byłoby tu jasno i dałoby się zobaczyć, co dzieje się na dworze. Ale jak przez te szyby wyglądają twarze przechodniów! Krwawe, zielonkawe albo po prostu marne.

Po przejściu niekończącego się korytarza szliśmy dalej przez ciąg sypialni. Później, ilekroć szłam tędy do głównej kuchni albo na nabożeństwo, próbowałam te pokoje zliczyć, ale chyba nigdy mi się nie udało. Były tu nie tylko sypialnie dzieci, ale też pracownie, w których naprawiano buty, i inne.

I tak – w końcu, ach, w końcu! – dotarłam do przydzielonego mi miejsca.

Tu powitała mnie diakonisa Bertha Schwabe. Długa, chuda, ze słodkim uśmiechem na ustach. Ten uśmiech odsłaniał jej źle wstawione zęby.

– Gott segne deinen Eingang, mein... Kind... – znów to samo powitanie, tylko z jakimś dziwnym zacięciem przy słowach „mein Kind”.

Teraz pożegnał się ze mną ksiądz Bleiweiss. Powiedział, że będzie pisał. Ale ja też mam pisać, jak mi się powodzi.

Siostra Bertha Schwabe przyjrzała mi się z ciekawością i potrząsnęła swoją niemiecką, okrytą, jak przystoi diakonisie, głową.

Przyglądała mi się tak nie bez przyczyny.

Miałam na sobie długą, czarną, drobno plisowaną spódnicę, którą mama utkała w domu. Miałam czarny kaftan z kutarami⁷. W pasie byłam przewiązana czarnym, szerokim, atlasowym fartuchem i czarnym pasem zakończonym długimi, jedwabnymi frędzlami.

Chociaż słabo mówiłam wtedy po niemiecku, zrozumiałam, gdy siostra Bertha Schwabe, jak się wydawało – wstrząśnięta, spytała oเบอร์kę, ile mam lat. Tamta wiedziała, ale pozwoliła mi odpowiedzieć.

– Dwudziestego trzeciego stycznia skończę piętnaście lat – szepnęłam.

– Ile?!

⁷ Lit. kutarai – zdobienia charakterystyczne dla tradycyjnego stroju ludowego z Małej Litwy (przyp. tłum.)

Powtórzyłam. Bertha Schwabe załamała rękę.

– Nie może być! Przecież wyglądasz, jak... jakbyś miała koło trzydziestki.

Nie dbałam o to, ile da mi lat. Znow chciałam płakać i płakałam. Spodziewałam się, że będzie tu zupełnie inaczej. Ale teraz już po ptakach, mówiąc wprost. Niech mi dają nawet pięćdziesiąt lat. Chcę wrócić do domu. Ale nie mam jak. Ksiądz wyjechał, co prawda tylko do Rosenthalu, do rodziny, ale tak czy siak już nie wróci. Zresztą, gdzie bym się podziała? Wrócę do mamy? Tam, gdzie ojczym codziennie rozpętuje piekło? Nigdy! Do Skrandysowej, która ledwie sama może się wyżywić, która tak cieszyła się z mojego wyjazdu? Nie do pomyślenia. A może do Dūdjonisów? Dūdjonisowa jest zła, ale może by mnie przyjęła, jak jakąś dziadówkę, co przychodzi żebrac... Nie chcę. U Šauklysów? Ci na pewno oddaliby mnie matce. Šauklysowa trzyma z Budrysem, w końcu to ona – przynajmniej tak mówią – zeswatała go z moją mamą.

Zatem zostań tu, Ewciu! Masz dach nad głową, jeść dostaniesz, czego chcesz więcej? Miłości? Tak dużo jej do tej pory zagnałaś?

Siostra Bertha Benke skinęła głową i wróciła tą samą drogą, którą przysliśmy. Zostałam z siostrzyczką Berthą Schwabe pomiędzy niezliczonymi łódeczkami. Zauważyłam, że i jej oczy były pełne łez. Chyba zrobiło jej się żal. Czyż nie wyglądałam żałośnie w tych „strasznych litewskich” ubraniach? A jaka ja byłam z nich dumna w domu – to były moje ubrania do konfirmacji.

Może nie miała o czym ze mną rozmawiać, a może trzeba było milczeć? Otarła łzy i zapytała:

– Mein Kind, hast du Jesus gefunden?⁸

– Nein!⁹ – odpowiedziałam. Nie znoszę, kiedy się nade mną użalają, i od razu tracę cierpliwość.

– Du armes, armes Kind!¹⁰ – jeszcze więcej litości. Wtedy prawie się rozplakałam. Nie wolno było fukać, zresztą i tak nie umiem, przecież jestem jeszcze dzieckiem. Ale ona obejrzała moje ubrania i już jej się wydaje, że jestem dorosła. I płaczę też pewnie tylko dlatego, że nie odnalazłam Jezusa. Teraz zaczęła mnie uspokajać. Ona wskaże mi drogę, nawróci zbłąkaną owieczkę. Sama zaś dostąpi najwyższego szczęścia, gdy wybawi od złego takie biedne dzieciątko jak ja. Ach, biedactwo nie wie, jak dobrze jest u boku Jezusa, jak dobrze jest słuchać jego słów. On jest dobrem wcielonym. Ale ja, prosta Litwinka (niestety, ciągle jeszcze w Niemczech) oczywiście nie mogę tego wiedzieć. To nic, światłość jest blisko...

A ja chciałam tylko, żeby w końcu pokazała mi moje łóżko i może jeszcze „ustronne miejsce”. Byłam bezgranicznie zmęczona i ledwo trzymałam się na nogach, a dokładniej, na swojej lasce.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to jest niemiecki porządek: „Alles, was recht ist, aber Ordnung muss sein. Immer der Reihe nach.”¹¹

– Teraz ci wszystko pokażę i wyjaśnię – przypomniała sobie siostra Bertha Schwabe. – Spójrz, od dzisiaj będziesz mieszkać na tym oddziale. Nazywa się Idiotenstation. Wejźmy do środka... Widzisz, ile tu dzieci?

Boziu! Widziałam aż za dobrze. Sala była większa od tej, w której dostałam kawę. A tam... przy stołach, i na podłodze, i na wszystkich krzeselkach, i nawet na nocnikach – leżały, pełzały i kuśtykały dzieci. Niektóre były niewidome, inne – takich było najwięcej – kalekie, nie mogły chodzić. Wszyscy, ale to wszyscy tutaj byli idiotami – tacy się już urodzili.

⁸ Moje dziecko, czy odnalazłaś Jezusa? (niem.)

⁹ Nie (niem.)

¹⁰ Biedactwo, biedactwo! (niem.)

¹¹ Wszystko to prawda, ale porządek musi być. Wszystko na swoim miejscu. (niem.)

Nie, jednak nie wszyscy. Przedstawiła mi się dziewczynka o niewinnych, niebieskich, bardzo mądrych oczach. Jej twarz była piękna, delikatnie zaróżowiona, włosy raczej kręcone i ciemnożółte. Tylko jej nóżki były takie słabe, wiotkie jak powróż. Wsparła się na mnie i zagadnęła:

– Wyglądasz inaczej niż ci, co tu przyjeżdżają. Kto ty jesteś? Przyjechałaś w odwiedziny czy u nas zostaniesz?

– Wydaje mi się, że zostaję.

– Aha, a jak masz na imię?

– Eva – odpowiedziałam. – A ty?

– Mam na imię Otilie. Skoro zostajesz z nami, możesz mówić do mnie Tila¹².

– Przecież powiedziałam, że zostaję.

– Jasne, ale jeśli zostaniesz, to musisz zdjąć te obrzydliwe ubrania. Tak nie można.

– Dlaczego ci się nie podobają?

– Die Pollaken tragen so.¹³

– Tylko dlatego?

– Nie masz innych ubrań?

– Nie, nie mam.

– No to da ci je ciocia Bertha. I będziesz taka sama jak my.

– A jeśli nie chcę być taka jak wy?

– Dlaczego nie?

– Tila...

– No dlaczego?

Naprawdę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. To, co widzę, jest przerażające. Tam, na wysokim krześle, z basenem pod spodem, siedzi dziewczynka, może czternastoletnia, może piętnastoletnia. Wyszarpuje sobie włosy, spogląda na nie i krzyczy. Momentami krzyk przeradza się w iście zwierzęce zawroscenie... Mój Boże! „I będziesz taka sama jak my”...

– Tila! Kto to ta...

– Ach, die ist idiotisch, ganz und gar idiotisch.¹⁴

Taką samą odpowiedź otrzymałam, gdy spojrzałam na drugą dziewczynkę, która siedziała na garnku, jeździła po sali i... szczekała.

Taką samą odpowiedź dostaję, kiedy pytam o inne dzieci.

– Ale dlaczego płaczesz? – zaciekawiała się Tila. – Spójrz, ja nie płaczę. Nie trzeba płakać. Jezus się o nas troszczy. Mamy co jeść i jesteśmy ubrani. I ja, i cała reszta mamy też świąteczne ubrania. Moja sukienka jest piękna, aksamitna.

– Ile masz lat, Tila?

– Już sześć. Wiosną pójdę do szkoły. Do tante¹⁵ Marie, tej w okularach. Widziałaś już ją?

Do sali wchodzi dwie starsze dziewczyny. Jedna kuśtyka, druga ciągle kręci głową. Obie zatrzymują się przede mną. Boją się pytać. Śmieją się tylko.

– Die beiden sind nur bischen dumm, nicht ganz¹⁶ – wyszeptała mi do ucha Tila.

Później odwróciła się do nich i wyjaśniła:

– Mina, Charlotte, to nasza Eva.

Wzięły się pod rękę, parsknęły śmiechem i odeszły w stronę innych dzieci. Wtedy Tila znów mnie spytała, czy widziałam już ich Emilię. Nie? To trzeba by się było za nią rozejrzeć.

– Pokażesz mi ją? – spytałam.

¹² Oryg. Tyla, lit. ‘cisza, spokój’ (przyp. tłum.)

¹³ Polacy takie noszą. (niem.)

¹⁴ Ach, to jest idiotka, skończona idiotka. (niem.)

¹⁵ Z niem. Tante – ciocia.

¹⁶ Obie są troszeczkę przygłupie, ale nie w zupełności. (niem.)

– Nie, ja nie mogę iść na dół. Mieszkam tu na górze, u tante Käthe i Franziski. Emilia leży na dole, w łóżku. Wszyscy ją kochają. A gdy pan biskup przyszedł i chciał ją pogłaskać po głowie, to ona mu rzuciła w twarz: „Du Teuffel!”¹⁷. Tak powiedziała, głuptaska.

Znów przyszła siostrzyczka Bertha Schwabe i zaprowadziła mnie na dół. Wprowadziła mnie do pokoju, w którym było dwanaście łóżeczek. Na kilku z nich leżeli chłopcy, może dwunasto-, trzynastoletni. Jeden z nich miał piękne piwne oczy. Sam też był ładny. Spytałam siostrę Berthę, dlaczego on tu leży i dlaczego w ogóle na nas nie spogląda?

– Jest ślepy, w dodatku kompletnie durny. Nic nie widzi, nic nie słyszy i nic nie rozumie.

W łóżku obok leżał już nie tak ładny chłopiec, którego oczy były jakieś przyćmione. Ale spojrzął na mnie, uśmiechnął się i cały zaczął się trząść, jak gdybym patrzyła na niego przez magiczne szkiełko. Przeraziłam się.

– Dlaczego on...

– Ten nie jest idiotą, jest mądry. Po prostu prawie nie ma kości... Zresztą, ty i tak nie zrozumiesz... O, spójrz tutaj...

Siostra przyprowadziła mnie do innego łóżka.

– To nasza kochana Emilia. Emilia Bose. Bardzo dobra, ale wiadomo, skończona idiotka.

Emilia spojrzała na mnie szelmowskimi oczami, podniosła głowę i zaśmiała się. Zawstydziałam się. Najprawdopodobniej nie jest wcale skończoną idiotką i śmieje się z moich głupio zapłakanych oczu i z tego, że jestem tak strasznie ubrana (zaczęłam już się wstydzić swoich ubrań). Emilia wyglądała prawie jak dorosła. Tylko dlaczego leży w takim małym łóżku?

– Dlaczego nie wstaje? – spytałam. Nie chciałam urazić siostry pytaniem o tak krótkie łóżko.

– Nasza Emilia nie może się podnieść. – Siostrzyczka Berta podniosła kołdrę i pokazała mi dlaczego.

Tułów Emilii był prosty i normalny. Tylko nóżki miała malutkie, niewyrośnięte, na krzyż ułożone przy ciele.

Mimo to Emilia nie wie, że jest nieszczęśliwa. Nie wie też, że Jezus się o nią troszczy. Na wszystkie te sprawy jest zupełnie obojętna. Śmieje się, wrzeszczy i śpiewa:

Lott, lott, lott, lott Leierkasten,
Morgen kommt die Tante.
Bringt einen Sack voll Leberwurst
Für die Musikante.¹⁸

– Also¹⁹, Evchen, oto twoje łóżko – siostra wskazała kąć pomieszczenia. W tej samej sali, w której stoi już dwanaście łóżek dla głuptasków, stoi też moje. Z tą tylko różnicą, że moje stoi w przeciwległym kącie, jest normalnej wielkości i nie ma barier. Moje łóżko posłane jest przyzwoitym, wzorzystym kocem. Pod nim puch – tak, puch! – kołderki, miękki materac – wszystko to, o czym w domu nie mogłam nawet pomarzyć. Przy łóżku mały stoliczek i jedno krzesło. Swoją drogą, stolik niczego sobie. Można było na nim coś postawić – może wazon, może ładne pudełeczko. Niestety, niczego takiego nie miałam. Nigdy mi

¹⁷ Ty diable! (niem.)

¹⁸ Organy lot, lot, lot, lot.

Jutro przyjdzie ciocia.

Przywiezie worek pełen kiełbas

Naszemu muzykom. (niem.)

¹⁹ Zatem (niem.)

jeszcze nikt niczego nie podarował, żadnego ślicznego drobiazgu. Krzesło zaś stało przysunięte do ściany i rozparte jak jakiś kułak czy inny burzuj. Nie do pomyślenia było na nim usiąść, więc nigdy na nim nie usiadłam. Stało tam tylko „dla ozdoby“.

– Das ist nun dein Reich, Eva. Gott segne deine Arbeit.²⁰

Należało to rozumieć tak, że ten kącik z łóżkiem to moja „rezydencja”, a cała sypialnia i leżący w niej idioci to moi „poddani”.

Tego wieczoru nie pokazywano mi nic więcej. Niby widziałam, niby słyszałam jakieś hałasy i śmiechy, i płacz, i nawet zwrotkę piosenki:

Breit aus die Flügel beide.

O Jesu, meine Freunde...²¹

Ale ja już byłam w innym świecie.

²⁰ To jest tylko twoje królestwo, Ewo. Bóg błogosławi twoją pracę. (niem.)

²¹ Szeroko rozłóż skrzydła [nade mną]

O Jezu, moje szczęście... (niem.)

SCHRONIENIE

A następnego dnia się zaczęło. Swoją drogą, tego poranka nikt nas nie budził. Spałam, jak długo chciałam. Która była godzina? – a kto to mógł wiedzieć, zresztą to nie miało znaczenia. Ważne, że pozwolili się dobrze wyspać. Na śniadanie zostawili mi bułeczkę i kawę. Co prawda, w domu świeżej bułeczki prosto z pieca nigdy nie jadałam. Tu rozpoczęło się spełnianie moich marzeń z dzieciństwa: „co rano ciastko za pięć fenigów”...

– Eva, teraz pokażę ci twoje codzienne obowiązki. Pobudka o wpół do szóstej. Wiadomo, najpierw musisz się umyć, ubrać i pościelić łóżko. Woda jest tu, w łazience.

Woda jest lodowata. Nigdy nie lubiłam myć się w zimnej wodzie. Skóra twarzy napina się, ściąga, nijak nie mogę zrozumieć, jak można zimną wodą umyć się tak, żeby twarz była jasna i czysta. Wtedy już wiedziałam, że w twarzy są pory, takie malutkie szczelinki, przez które skóra oddycha. Nie widać ich, ale są. Można je umyć tylko dobrym mydłem i ciepłą wodą. A tu: myj się zimną wodą. Mydło, o dziwo, dostałam dobre, glicerynowe. Ale i tak mam wrażenie, że zamarza na twarzy niczym lój. No, jakoś się umyłam, cała się trzęsąc. Biegnę się ubrać – wciąż jeszcze w swoje okropne łachmany z Vanagai. Były dobre, te moje ubrania, tylko nie do przyjęcia dla Niemców. Plisowana spódnica, bluzka z wzorzystej flaneli z wysoko wszytymi rękawami i gęstym haftem z przodu. Fartuszek też był nowy, duży i szeroki. Zaslaniał prawie całą „niestosowną“ plisowaną spódnicę.

Lecz oto nagle spełnia się moje drugie marzenie z dzieciństwa: nie chodzę już w chodakach, tylko w trzewikach. To odświętne trzewiki, takie z klamerkami, jak do confirmacji. Kiedy je znoszę, dostanę drugie – tak mi powiedzieli.

Och, tak, teraz będę jeść na śniadanie ciastka i będę chodzić w trzewikach. Jednak nie cieszy mnie to ani trochę, pewnie dlatego, że moje „marzenie” spełniło się za szybko, a poza tym nie w taki sposób, w jaki powinno.

Dalej: trzeba obudzić, umyć – też zimną wodą – i ubrać dzieci, potem zanieść je na piętro, do sali. Wiadomo – tylko te, które się przenosi. Dzieci młodszych niż dwunastolatki praktycznie nie było. No, a ja miałam już piętnaście! I byłam silna. Pacjenci nie byli bardzo ciężcy. Raczej byli tacy dziwnie kościści, praktycznie bezwładni. Przerzucałam ich sobie przez plecy, jak niegdyś u Dūdjonisów Marysię, i wdrapywałam się po schodach do góry. Musiałam co rano wnieść ich tak siedmiu, ośmiu, a czasem nawet dziewięciu.

Siostra Bertha doglądała Emilii. Trzeba było zdjąć jej nocną pieluchę, umyć i na dzień położyć pod nią basen. Siostra pomagała też innym chorym, którzy nie mogli się podnieść. Takich w moim pokoju było jeszcze dwóch, a w sąsiednich pokojach kilku dodatkowych.

Kiedy zaniósłam dzieci, musiałam zamieść pokój i pościelić łóżka – tego nigdy się nie nauczyłam. Wszystko to miało być zrobione do wpół do ósmej. Wtedy dzwonił dzwonek na śniadanie.

Nad jednym łamałam sobie głowę i długo nie mogłam zrozumieć, jak to się dzieje. Tu na dole było kilka sypialni, których „władczyniami” były Mina i Charlotte. Mina była kulawa, ale zawsze w dobrym nastroju i wiecznie uśmiechnięta. Przewracała się ze śmiechu, kiedy się wściekałam, co mi się zdarzało. Denerwowałam się często, bo przytłaczało mnie to wszystko i szczerze mówiąc, naprawdę pracowałam z niechęcią: trzeba pracować dzisiaj, jutro i tak w nieskończoność. Może to ścierpieć Mina, która nie potrafi ani czytać, ani pisać, która nie zna innego życia poza tym anształtowym. Ma około trzydziestu lat, może więcej. Nie wie, czy miała matkę, czy nie. Charlotte miała zdrowe nogi, tylko jej głowa tak dziwnie się kręciła, że jej twarz momentami wyglądała jak pysk wielkiego psa. Szczupły i długi. Oczy też miała podobne do jakiegoś zwierzęcia. Wykonywała powierzone jej obowiązki, których nie było dużo, odpowiadała na pytania, czasem się uśmiechała, a kiedy kończyła swoją pracę, szła bawić się z dziećmi. Miała około dwudziestu lat.

Jednego nie mogłam zrozumieć: jak udawało im się tak szybko, o wiele szybciej ode mnie, uporać się ze wszystkim, i z dziećmi i z pokojami. Jak im się to udawało? Uwijałam się, jak tylko mogłam, siostra Bertha mogła mnie ponaglać, ile chciała, poganiać: „Schneller, schneller!”²², ale mimo to zawsze ze swoimi obowiązkami zostawałam w tyle za Miną i Charlotte. Gdy ja ledwo ulokowałam się na górze z pierwszym dzieckiem, one już ostatnie sadzały przy stole albo na nocniku. To było dla mnie zagadką, ponieważ nigdy nie widziałam ich niosących dzieci po schodach. Zaczęłam się zastanawiać: może gdzieś są inne schody? Nic nie było, żadnych nie znalazłam.

I oto pewnego ranka, kiedy nie mogłam już znieść myśli, że zawsze jestem ostatnia, wstałam przed budzeniem. Jeszcze było ciemno. Wszyscy spali głębokim snem, wokół spokój, cisza. Zaczęłam szybko szykować swoje dzieci. Gdy tylko wczołgałam się z pierwszym do sali, oto co zobaczyłam! W kącie, na który nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, Mina ciągnie jakiś sznur. Obok jest dużo drutu. Stoję i patrzę. Za płataniną drutów pojawia się jakieś pudło, a w tym pudle coś się rusza. Zapominam o wszystkim i podchodzę bliżej. Co tam jest, jak to...

Mina otworzyła w tej płataninie jakieś drzwiczki, i oto co zobaczyłam! Podopieczni Miny – może tylu, ilu moich, jeśli nie więcej – leżą w tej skrzyni, której nie umiem nazwać. Chorzy powrzućci jak kawałki drewna; jedni nogami do góry, inni głowami, jedni na drugich. I choć leżą tak na krzyż, to żaden z nich nie płacze. Nie wiedzą, że trzeba płakać, albo uskarżać się na cokolwiek. Poza tym wygląda na to, że nic ich nie boli.

Mina wyciągnęła swoich podopiecznych na podłogę i stuka w dno skrzyni.

– Charlotte, odbierz windę...

Spieszę na dół, biegnę do pokoju Charlotty, to w nim znajduje się ta winda – teraz sobie przypominam. Charlotte już pakuje swoje dzieci. Ależ ona to robi! Patrzę i przechodzą mnie ciarki. Jak jej głowa kołysze się bezwolnie, tak uwijają się jej ręce. Chwyta pacjenta praktycznie obracając go wokół siebie. Nagle zamykam oczy, bo boję się, że głowa dziecka huknie o drucianą konstrukcję albo o żelazne drzwi. Ale nie, nic takiego się nie dzieje. Dziewczynie idealnie udaje się włożyć dziecko do pudła, później kolejne i jeszcze następne. Nawet tę szczekającą dziewczynkę posadziła na szczycie. Dziecko siedzi spokojnie i cicho, jakby wszystko rozumiało. Charlotte puka w spód windy, zamyka drzwi.

– Mina, odbierz!

Więc tak się to robi! A ja? Taszczę na górę po jednym dziecku. Czasami pomaga mi siostra Bertha Schwabe, ale rzadko, bo sama ma dużo pracy przy leżących. Niestety, niewiele pożytku przyniosło mi to, że dowiedziałam się o windzie. Dzieliły mnie od niej trzy pokoje. Zanim dotarłabym tam swoje dzieci, mogłabym już być w sali, bo schody znajdują się tuż obok mojego pokoju.

Taka ta moja praca.

Dzieci sadzamy bądź kładziemy w salce i jak już wspominałam, pospiesznie ścielimy łóżka, zamiatamy pokoje i wycieramy kurze.

Już dzwonek. Nie wszystko zdążyłam zrobić, nie wyrobiłam się nawet na poranne nabożeństwo, a tu już śniadanie. Teraz trzeba nakarmić dzieciaki. Tylko niektóre jedzą samodzielnie. Chyba przez to, że nie jestem zbyt energiczna, a może dlatego, że wydaję się godna zaufania, mam karmić Emilię. Biorę półmisek, do niego kruszę ciasto, zalewam je białą, słodką kawą i idę do Emilii.

Emilia już się śmieje. Patrzy mi w oczy i naśmiewa się. Nijak nie mogę sobie wyobrazić, że jest głupia. Nie, ona nie jest głupia – myślę sobie – ona nie widzi powodów, dla których miałyby odpowiadać na głupie pytania „sprytnych” ludzi. Nikt z nią normalnie nie rozmawia, zawsze traktują ją jak idiotkę...

²² Szybciej, szybciej! (niem.)

Je i nie może przestać się śmiać – taka jest szczęśliwa. A ponieważ ciągle się śmieje, prycha, potrząsa głową, nakarmienie jej zajmuje bardzo dużo czasu. Przecież to kupa śmiechu. Szczery śmiech jest jak choroba zakaźna. A Emilia śmieje się z takim wdziękiem. Czy można się na nią za to gniewać? Nawet ja na chwilę zapominam o swojej niedoli i też zaczynam się śmiać. Obie się wygłupiamy.

Kiedy już nakarmię Rolanda i pomogę zjeść drugiemu chłopcu, temu „bez kości”, sama idę do sali coś zjeść – wszyscy już zostali nakarmieni. Naczynia po kawie zmywa Charlotte, a my dwie z Miną idziemy do piwnicy – do pralni, tej od pieluch. Przychodzi pomóc trzecia pomocnica. To Franziska z piętra. Asystuje siostrze Käthe.

Franziska jest bardzo mądra, już niemłoda. Ma tylko jedną rękę. Druga jest malusieńka, chudziutka i zwisa przy ciele bezsilnie niczym cień.

Pieluch jest bardzo dużo. Wszystkie dzieci – a jest ich około sześćdziesięciu, nie licząc Tili i jeszcze jednego niewidomego chłopca – noszą pieluchy. A to, jak wiadomo, nie są już niemowlęta, które mają po kilka tygodni czy miesięcy. Pieluchy trzeba wyprać, wygotować, wypłukać, zanieść na górę i tam rozwiesić do suszenia.

Która godzina? Aha, jeszcze jakieś dwie godziny do obiadu. Teraz muszę gnać do magła dużej pralni. Tam trzeba segregować, składać i maglować bieliznę i inne ubrania. Obok, za drzwiami, jest też szwalnia, gdzie podarte ubrania i bielizna są zszywane i łątane. W tej szwalni siedzi jedna zdrowa dziewczyna i dwie bez nóg. Te bez nóg siedzą na wózkach. Siedzą tak całymi dniami i tylko wieczorem wystawia się je za próg, na dwór. Tam już same jeżdżą sobie po podwórku. Tak już są skonstruowane te wózki.

Przy bieliźnie nawet sobie odpoczywam. Pracuję na siedząco, bo mam słabe nogi. Spotykam tam dziewczyny z innych oddziałów. Są starsze ode mnie. Uczą mnie, jak należy składać ubrania do maglowania. To jest jak sztuka. Lubię to. W domu tego nie umiałam. W domu obojętnie jak się złoży, będzie dobrze – i było dobrze. Tutaj to co innego.

Ostrożnie pytam, czy nie potrzeba w szwalni jeszcze jednej dziewczyny. One mnie rozumieją i wybuchają śmiechem.

– Po pierwsze, musisz się jeszcze sporo nauczyć, żeby porządkować ubrania i bieliznę tak jak należy...

Teraz, całkiem nieładnie, zaśmiałam się ja. Ja mam się uczyć łątać ubrania! Czy wy to słyszycie?

– A co po drugie? – spytałam z namysłem.

– Po drugie... Kto wykona twoją pracę? Przed tobą była Lisa Kaminski, przed nią była Frieda... Ale ty ich nie znałaś, więc wszystko ci jedno. One wszystkie trafiły do Kolmarstiftu. Na ciebie też przyjdzie czas...

Przestało mi być do śmiechu... Rzeczywiście – kto wykona moją pracę! Ale żeby do Kolmarstiftu, nogę „leczyć“? Nie! Tam nikt mnie nie zaciągnie... Prawdę mówiąc, nikt też o tym nie wspomina. Niech będzie. Sama się nie przypomnę.

– Nie dam sobie obciąć nogi. Nie chcę – powiedziałam głośno.

– A ja bym dała – odpowiada Margarita, która od urodzenia ma kikut zamiast lewej ręki, to ta z łokciem zakończonym jak gdyby wiecznie trzęsącą się piłeczką. – Dałabym, oj dałabym, gdyby tylko mi przymocowali rękę... – Margarita wzdycha: – Ale tak się nie da. Dostałam protezę, poszła w ką... Za to twoja noga... żart. Wyprostują i już...

– Nie chcę... Jak to będzie boleć, zanim wyprostują, ile trzeba będzie cierpieć. A wszystko to bez sensu. Jest za słaba, żeby się na niej wspierać... Nie! Okropnie się boję.

– Gdyby tylko ktoś chciał mi doszyć rękę, w ogóle bym się nie bała – krzyczy swoje Margarita. – Niech boli, byle wyzdrowiała.

Dzwonek. Obiad. Teraz pędzę na oddział nakarmić dzieci. Znow dostaję miskę z gęstą, pożywną zupą, znow biegnę do swojej Emilii.

Tym razem Emilia płacze. Żałośnie. Łzy ciekną jej strumyczkami po twarzy. Głaszczę ją, uspokajam i płaczę razem z nią. Bo płaczem można się zarazić tak samo jak śmiechem. Poza tym doskwiera mi zmęczenie, ból, tęsknota.

– A co tobie, biedaczko, co cię boli? Czyżbyś stęskniła się za matką? Ale przecież ty nie masz mamy. Ty jej nie znasz, nigdy jej nie poznałaś. Przecież twoja matka porzuciła cię w śniegu, w zaspie. Znaleźli cię miłosierni ludzie i zabrali. A później... Skąd mam wiedzieć, co się tam później wydarzyło. Może twoja mama pławi się w bogactwach i sama nie wie, co z nimi zrobić... A może jest biedna, wędruje od domu do domu, prosi co łaska. Może zeszła na złą drogę? A może popełniła samobójstwo? Tak czy inaczej, czy twoja matka winna, że ty jesteś obłożnie chora? Może nie... Może zawinił twój ojciec, może to przez coś zupełnie innego? Jedz, kochana²³, jedz. Ja też chcę iść coś zjeść, napracowałam się i bardzo zgłodniałam. Miła, muszę iść daleko, daleko, a boli... Tak boli...

Miła spogląda na mnie, przygląda się moim oczom, uśmiecha się i uspokaja. Zjada jedną łyżkę, kolejną. Pojadła. Wycieram jej buzię. Zadowolona zasypia. Zazdroszczę jej.

Karmię jeszcze Rolanda, wreszcie idę do głównej kuchni. Tam mnie i wszystkim innym pomocnicom nałożono już po porcji obiadu. Jedzenie nienajgorsze. W domu tak nie jadłam. Za taki dobry obiad jestem niemal gotowa wybaczyć.

Niestety, ledwo skończyłam jeść, a już muszę biec do pewnego budynku. Tam uczy się druga klasa. Salę trzeba umyć, wyszorować, wytrzeć. Pełno tam ławek, ciężkich szkolnych ławek. Trzeba je przesuwać z miejsca na miejsce. Kiedy umyję i wytrę podłogę, muszę znowu poustawiać ławki równo na swoich miejscach.

– Żeby mi tylko było prosto, równo, a nie krzywo! – ostro zwraca mi uwagę siostrzyczka Marie, nauczycielka drugiej klasy.

– Sostro Marie, ale ja nie mam siły. To bardzo ciężka praca.

– Aber²⁴, Eva, czy ci nie wstyd? Spójrz, dam ci pomocnika.

„Pomocnikiem” okazała się dziesięciolatka, z garbem, lecz poza tym całkiem zdrowa. Naprawdę pomaga – tyle, ile może. Jednak klasa jest spora, podłoga biała, a woda zimna i trzeba ją przynieść z dołu, wtargać ją po schodkach stromych jak drabina w kurniku. Pracujemy obie. Nie mamy sił. I zbiera nam się na płacz, czasem na śmiech.

Kiedy nareszcie poradzimy sobie z klasą, trzeba wracać na oddział.

Tam już nalewają kawy. Idę do swojej Emilii, swojego Rolanda. Emilia słodko śpi. Drzemiąc przełyka jeszcze kilka łyżek i znów zasypia. Roland je jak zwykle, bez żadnych wymysłów. Ja zaś wciąż się zastanawiam: skoro jest takim idiotą – ślepym i głuchym, i bez pomysłu – skąd wie, jak połykać i przeżuwać? Zresztą, niewiele jest do przeżuwania, wszystko już przygotowane. Ale mimo wszystko: skąd on wie, jak trzeba jeść?

Zazdroszczę obojgu...

Kiedy kończy się karmienie na podwieczorek, muszę biec na drugie piętro – na strych, który śni mi się dotąd, i to coraz częściej – przynieść pieluchy, posłać łóżka i pomału znosić dzieci na dół. Dzieciaki się rozbiera, myje, czyste kładzie się na łóżkach, owija w pieluchy, okrywa. W międzyczasie przynoszą kolację. Kolację chorzy jedzą w łóżkach.

Wchodzi siostra Bertha, składa dłonie, zatrzymujemy się i my, trzy pomocnice – Mina, Charlotte i ja, śpiewamy:

Breit aus die Flügel beide.

O Jesu, meine Freude!²⁵

²³ Oryg. Myła (zdrobnienie od Emilii), podobieństwo brzmieniowe do lit. mylëti ‘kochać’ (przyp. tłum.)

²⁴ Ale (niem.)

²⁵ Szeroko rozłóż skrzydła.

O Jezu, moje szczęście! (niem.)

Emilia zaśmiewa się i chichra, klaszcze. Śmiechem wybucha Mina. Charlotta zaczyna jeszcze szybciej ruszać głową, też zaczyna się śmiać. A ponieważ one tak szczerze się chichrają, nie wytrzymuję i ja.

Siostra Bertha Schwabe, jawnie poruszona, gubi się. Po raz drugi śpiewa tę samą zwrotkę:

Auch euch, ihr meine Lieben.
Soll heute nicht betrüben.²⁶

Mina, pod wpływem nastroju chwili, protestuje:

– Tante Berta, przecież już to śpiewaliśmy!

Wychodzi na to, że tante Bertha zostaje sama ze swoją pieśnią. Teraz spieszmy we trzy – Franziska, ja i Mina – do sali. Trzeba ją posprzątać, pozamiatać, wywietrzyć na jutro, w soboty szorujemy bardziej dokładnie – mydłem i szczotkami.

Wreszcie idziemy z Franziską do głównej kuchni na kolację. Jest pożywna i smaczna. W domu nigdy takich nie jadłam. Prawie zapominam, że boli noga, że od laski rwie mnie w rękę.

– Eva – słyszę nagle – nie zapomnij jutro wysprzątać mojego pokoju. Nie podoba mi się, jak to wczoraj zrobiłaś. A butów to już w ogóle nie wyczyściłaś. Tak być nie może. Zaczynaj dobrze wykonywać swoją pracę. – To siostra kuchenna, Anna Rudek. Jest okropnie gruba, rośnie jej już drugi podbródek. Jest przyjaciółką siostry Berthy Schwabe. Mówią do siebie – pewnego razu wyraźnie słyszałam – „Liebchen”²⁷ i „Liebste”²⁸. Pochodzi z Ragnety albo z Tylży, zna litewski, kilka razy zagadnęła mnie stylem biblijnym. Później jednak najwyraźniej sama poczuła, że tak nie wypada, i zawsze już zwracała się do mnie tylko po niemiecku.

– Jeszcze kilka tygodni i przydzielą cię do mycia pawilonu – przypomina mi Franziska, kiedy tak idziemy niekończącym się korytarzem – on też należy do ciebie.

– Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę – skarżę się jej.

– Nic nie poradzisz – jak trzeba, to trzeba. Masz zdrowe ręce. Chyba nie myślisz, że mnie jest lekko?

Nie, jej nie mogło być lekko. Ma jedną rękę i dwie sypialnie do sprzątnięcia. Pracuje przy pieluchach, w salce i jeszcze gdzieś... chyba sprząta pokój „swojej” siostry Käthe. Wciąż jeszcze jest zima, albo wczesna wiosna. Franziska musi rozpalać w piecu na górze. Dolnym zajmują się Mina z Charlotte. Poza tym Franziska odpowiada za całą salę. Nie, jej nie może być lekko.

Kiedy wracam po kolacji, padam na łóżko. Cieszę się, że będę mogła odpocząć chociaż przez kilka godzin. Ech, a jutro znowu ta sama praca. Nie mogę zasnąć. Zaczynam płakać. Przypominam sobie „młodzińcze dni”. One już nie wrócą, czas płynie. Będzie tak płynąć i przegapię życie. Ale w domu też bym go nie dostrzegła. Nie zobaczę go, będąc tu. Wszędzie jestem jedną z „nieszczęśnych”. A mimo to myślę:

– Co za licho mnie tu przyniosło! Gdzie te obietnice? Jakie obietnice? Przecież obiecywali, że będę mogła się uczyć. Że oni będą mnie uczyć. Że zostanę... No, kim? No, nawet szwaczką. Tu odnajdę swój dom, swoje miejsce. Będę miała zapewnione zajęcie do końca życia... I będę szczęśliwa... Szczęśliwa? Cha-cha-cha-cha! Zostać tu do końca życia? Och Boże, Boże! Zapewnione zajęcie? Tak! Prać pieluchy idiotów. Przenosić chorych

²⁶ I was, moi drodzy.

Opuszczą smutki! (niem.)

²⁷ Kochana (niem.)

²⁸ Najukochańsza (niem.)

z piętra na piętro. Prać, myć, szorować. Jeśli w domu mnie pobolewało, to mogłam liczyć na współczucie ciotek, nawet samej mamy. A tu? Na niczyje. Pracę trzeba wykonać.

A gdzie mój „patron”? Dlaczego się o mnie nie troszczy, dlaczego nie przyjeżdża zapytać, jak mi idzie, czy nie jest mi za ciężko? Nie, on nigdy nie przyjedzie, on wie, że dostałam tu pracę i wyżywienie. Jesienią przywiezie całą tonę ziemniaków, żebym miała co jeść. Czego więcej chcieć?

Co prawda, Bleiweiss dał mi jego adres. W potrzebie zawsze mogę napisać. Tylko co ja mu napiszę? Co ja mu powiem? Że nie mogę pracować? Nie! Przecież zarząd anształtów powie, że bardzo dobrze pracuję, że potrafię. Wszystko wykonuję jak należy. Nie skarzę się. Jak zatem mogę się mu wyżalić? Nie, nie napiszę. Będę pracować do upadłego. Przecież kiedyś upadnę. A wtedy zobaczymy...

„Jak łatwo było w domu! – znowu wracam do przeszłości. – Wyszywać delmony, doglądać dzieci. Jak było łatwo... Dlaczego byłam tam taka niezadowolona?”

„Przecież nie możesz wiecznie chować dzieciaków” – słyszę jakiś szept.

„Wiadomo, że nie, ale... Co ja dzisiaj robiłam?...”

„Jak chciałabyś żyć, czego pragniesz? – szyderczy głos szepcze nadal.”

Jak to – czego, jak to – jak... Nie wiem. Sama nie wiem, czego chcę. O, może tego, żebym „któregoś dnia zasiadała w redakcji gazety” – to marzenie już dawno zapomniane. A może nie. Jednak jeśli nadajesz się tylko do prania pieluch, to jak można o czymkolwiek marzyć? Nie, marzeń już dawno nie mam. Były bardzo, bardzo skromne: chciałam napisać pieśń. A gdy napisałam, to – poza Pozingasową, Lekniną czy Skrandysową – nikt się nią nie zainteresował. Mama, co prawda, zaczynała już mądrze pokasływać, ale znów wszystko przepadło. Wszystko ucichło. Co musiałabym jeszcze zrobić, żeby nie ucichło? Skąd mam wiedzieć?

Mimo wszystko nie trzeba było przyjeżdżać do tych anształtów. Ścielić łóżka idiotom – nigdy się tego nie nauczę...

Powiadają, że cały ten zakład jest wzniesiony na fundamencie miłości i miłosierdziu. Ale ja tej miłości mało widzę. Nie widzę jej wcale. Może dlatego, że to tylko podwalina. Fun-da-ment.

Widziałam, jak kładą fundamenty. Dūdjonis się budował. Najpierw fundament. Jakaś taka dziura. Dūdjonis i moja mama rzucają kamienie, kawałki cegieł, a Dūdjonisowa wlewa mleko i narzeka, że nie ma miłości, że nie ma fun-da-men-tu...

Ledwie zasnęłam, ledwie pogrążyłam się na kilka godzin w nieświadomość – tymi samymi korytarzami, przez te same sypialnie, którymi codziennie wędruję, wraca siostra Bertha Schwabe, która właśnie zjadła kolację. Musi mnie koniecznie obudzić, bo w swoim koszyczku z robótką ma ukryty mały kawałek keksu. Chce mi go dać. Ach, ona nie wie, jak cenny jest dla mnie sen, pozbawia mnie go przez takie... Nie chcę wymówić głośno słowa, które przyszło mi na myśl. Zaczyna mnie budzić, ale to jeszcze nie wszystko.

– Pomodliłaś się przed snem?

– Wiadomo – odpowiadam niecierpliwie.

– Hast du Jesus gefunden, mein Kind?

Żeby tylko budziła, żeby tylko nie dawała mi spać, ona widzi sens w przychodzeniu tu z takimi pytaniami. Jak odpowiedzieć, co odpowiedzieć? Powiem „tak” – skłamię. Przecież sama wie, że to niemożliwe, że to kłamstwo, wymysły. Tak mi ciężko na sercu. Tak długo już przyjaźniliśmy się z księdzem Bleiweissem i nawet z Bleiweissową, a oni nigdy nie zadawali mi takich pytań. Panie, przecież to nie jakiś przedmiot zgubiony po drodze, żebym tak mogła go poszukać i odnaleźć. Przecież to jak w kolędzie:

Do żłóbka pójdziemy,
Dzieciątka znajdziemy.

Kto je pocałuje,
Wnet się uraduje.

Zatem biegnij, szukaj – gdzie, jak? Trzy mile za gwiazdką.

– No, śpij już, ja ci pokażę drogę, prawdziwą drogę. Nie wiesz, co jest napisane w Piśmie? Czuwajcie i módlcie się.

Już śpię. Nie słyszę, jak siostra Bertha wychodzi. Ale śnię ciężki sen. Straszny hałas, jakiś targ albo jarmark. Widzę dużo twarzy z otwartymi ustami. Wszystkie się śmieją, przeraźliwie, brzydko, bezwstydnie. A tam daleko, daleko, za tymi wszystkimi twarzami, stoi mama, trzyma w ramionach Marysię, moją siostrzyczkę. Obie mnie szukają. Są bardzo wystraszone, krzyczą. Macham do nich. Nie widzą mnie, krzyczą jeszcze głośnie.

Szarpię się, wybudzam, siadam i nasłuchuję, co to za ryk. To moja Mila, śpiewa jakąś bardzo nieprzyzwoitą piosenkę, śmieje się i pokrzykuje. Można by pomyśleć, że leży tu jakaś kobieta upadła. Choć przyznam szczerze, że takich prawdziwych pijanych rozpustnic, albo przynajmniej źle się prowadzących, jeszcze w swoim życiu nie widziałam, tylko o nich słyszałam, dlatego też wyobrażam sobie, że tylko one mogą się podobnie zachowywać – wrzeszczeć i śpiewać. Później milknie na chwilę, ale nie może powstrzymać śmiechu, zaczyna głośno rozprawiać. Mogłoby się zdawać, że nie sama, a z kimś prowadzi tę pogawędkę:

– Die Marie zeigt Zunge.

– Die Marie zeigt Zunge?

– Pfui, die Marie zeigt Zunge!²⁹ – i kolejna salwa śmiechu.

Mój Boże, skąd jej to wszystko przychodzi do głowy? Przecież to skończona idiotka. Kto ją tego nauczył? Zagadka. Nikt nie wie. Nikt też się w to nie zagłębia. Tylko ja jedna. Cierpię, dlatego mój sen jest czujny i chorobliwy.

W innych łóżkach już zaczynają się wiercić. Przeczuwam, że obudzi inne dzieci, które może i są idiotami, ale wciąż słyszą hałas. A jeśli cała reszta też zacznie ryczeć? Tracę cierpliwość, wyskakuję z łóżka i dosyć głośno, pewnie też dosyć boleśnie, policzkuję Emilię.

– Będziesz ty cicho, potworze jeden! Już ja ci pokażę, spać nie daje!...

Od razu ucichła. Gdy znów zgasila światło i się położyłam, moja Mila, wściekła, powiedziała jeszcze:

– Pfui, pfui, du Krat³⁰... – ale już potem zasnęła.

Całą kolejną noc Emilia przeplakała. Nie, wtedy jej nie biłam, tylko płakałam razem z nią. Może ją coś bolało, tylko nie umiała tego powiedzieć. A może rzeczywiście miała lepsze momenty, kiedy sobie coś przypominała? Płakała cicho, rzewnie. Wstawałam, żeby wytrzeć jej oczy i nos.

Co wiemy o innym człowieku, co my wiemy choćby o takiej głuptasce? Każdy człowiek to odrębny świat; dlaczego nie miałyby tak być w przypadku mojej Emilii? Ona też ma swoje tajemnice, tylko nie może się wysłowić. A może nie chce... Przecież ja też mam swoje. Ale to już nie są interesujące tajemnice. To szara codzienność, która otępia ludzkie dzieci i może z mądrego zrobić idiotę.

Oto moja tajemnica:

„Co? To w Niemczech wciąż są Litwini? Przecież to straszne! Czy oni wszyscy ubierają się tak jak ty? Wstyd iść z tobą do kościoła. No, wystarczy jeszcze pięćdziesiąt lat i w Niemczech nie ostanie się żaden Litwin.”

Słowem, straszne, że jestem jedną z tych... Nie, milczałam. Ale w swoim sercu poprzysięgam: „Nadejdzie czas, gdy odejdę od was. Wtedy wrócę do domu, do moich Litwinów, do Litwinów z Małej Litwy. Wtedy dopiero wam pokażę...” Nie do końca

²⁹ Maria pokazuje język (niem.)

³⁰ Fuj, fuj, ty ropucho! (niem.)

wiedziałam, co miałabym im pokazać i jak miałabym to zrobić. Ale jednego byłam pewna: gdy wrócę do domu, będę mówić i ubierać się tylko po litewsku, to znaczy po naszymu. W ten sposób krzewić litewskość – chociaż tyle.

A na was, Niemcy: wieczna zemsta! Wieczna!

Ale teraz to moja tajemnica. Będę milczeć jak Mila. A jeśli czasem ujrzycie mnie roniącą łzy, nie powiem wam, dlaczego płacę.

Tak też zrobiłam.

I tak płynął czas. W nocy użerałam się z chorymi, bo Roland też przeżywał męki. Nocami zaczynał piszczeć i wrzeszczeć nieludzkim głosem. Na początku nie wiedziałam, co się dzieje, i wołałam siostrę. Później zobaczyłam, dlaczego tak cierpi: wychodziła mu na wierzch odbytnica. Ale siostra Bertha wiedziała, jak to doprowadzić do porządku. Wtedy uspokajał się i spał dalej.

A za dnia te same obowiązki, wciąż te same. Zaczęły mi coraz bardziej ciążyć, bo mi się po prostu sprzykrzyły. Pewnego razu, kiedy niosłam wodę do klasy, przewróciłam się, ledwie mogłam się podnieść, potem przeleżałam cały dzień. Ale nikt nie odjął mi zadań. Zbierało się ich coraz więcej. Choć była szwalnia, musiałam siedzieć przy szafie i przeglądać ubranka dzieci. A już zawsze trzeba było mieć z tyłu głowy Sonntagskleider – ubrania niedzielne. W soboty, wieczorem, kiedy dzieci były już rozebrane, należało oddać ich rzeczy do pralni, a ja sama musiałam iść na drugie piętro i przynieść stamtąd Sonntagskleider. Należało je przejrzeć, sprawdzić, czy nie brakuje im jakiegoś guzika, a następnie położyć je przy łóżku każdego dziecka, które mogło wstać.

W niedzielę wieczorem ubrania były starannie składane i znów zanoszone na drugie piętro, na strych. W poniedziałek rano siostra Bertha wyciągała z szafy czyste tygodniowe ubrania i rozdawała je w trakcie kąpieli. I tak co tydzień od nowa.

Zaczęłam się już powoli do wszystkiego przyzwyczajać – do wszystkiego można się przyzwyczaić! – jednak z jedną rzeczą nie mogłam się oswoić – z pobudkami. Sprawiały mi wręcz fizyczny ból. Siostra Bertha, jeszcze w bieliźnie, z czymś dziwnym na głowie, z rozmachem otwiera drzwi i woła:

– Auf, auf! Schnell auf!³¹

Nie mieliśmy zegara, więc zaczęłam dostosowywać się do słońca: zaczyna świtać – zaczynam się budzić, słońce wschodzi – ja już na nogach. Ubieram się, ścielę łóżko i pomału budzę dzieci. Ale na nic się zdała moja pilność, bo siostra Bertha z rozmachem otwiera drzwi i wrzeszczy przeraźliwie:

– Auf, auf! Schnell, schnell!

– Niech cię diabeł wyniesie na leśne mokradła! – życzyłam jej w miejsce dzień dobry. Ale nie wyniósł jej.

Tak było przez jakieś trzy albo cztery miesiące. Dłużyły mi się bardziej niż trzy albo cztery lata. Dostałam przez ten czas listy od księdza Bleiweissa i od Bleiweissowej, sprawiły mi tyle radości, że zapomniałam o swoich biedach. Nie mogłam im napisać, że źle mi się wiedzie albo że mi ciężko. Wreszcie dostałam też list od swojego „patrona”, pana von Rosenthala.

List pana von Rosenthala był bardzo słodki i całe jego znaczenie sprowadzało się do słów: „Hast du Jesus gefunden?” Nie pytał, czy mi lekko, czy mi ciężko, czy jestem zadowolona z życia w Angerburgu. Nie, on nadal uważał, że przyjechałam tu tylko po to, by „szukać Jezusa”, którego na Litwie (wtedy sami Niemcy tereny na północ od rzeki Dejmy albo od Pregoly nazywali „Litwą”) mimo usilnych starań nie dostrzegam. Nie wiedziałam, co i jak odpisać, więc nic nie napisałam. Wiedziałam, że to nieładnie z mojej strony, ale milczałam.

³¹ Z łóżka! Ruchy! (niem.)

LISTY

Kochana Mamo!

Oto piszę do Ciebie list. Pierwszy w moim życiu. Jestem tak strasznie daleko od Ciebie i od Marysi. I od Skrandysowej. I od Dūdjonisów. I od Šauklysów. Wszyscy są tak strasznie daleko, a tutaj wszystko jest obce. Nie mam z kim porozmawiać – ci tutaj potrafią tylko szprechać z wyższością. Poza tym jest dobrze. Dostałam miękkie łóżko. Mam pościel i materac. Mianowali mnie helferką³² – dlatego mam takie dobre posłanie. Praca jest łatwa. Posadzili mnie przy szafce i dają wszystkie ubranka dzieci do przejrzenia; jeśli brakuje gdzieś guzika – trzeba przyszyć nowy. Jeśli gdzieś są dziury, to trzeba je zręcznie załatać. Dla mnie to nic trudnego, umiem to wszystko zrobić. Oberka Bertha dowiedziała się, że jestem Litwinką i umiem dziergać rękawiczki we wzorki. Prosiła mnie, żebym jej takie zrobiła, koniecznie z palcami. „Litewskie”. Powiedziałam, że jeśli da mi wełnę, to wydziergam. Są tutaj dwie diakonisy, które mówią po litewsku. Siostra Marie Kapust mówiła, że jest spod Kłajpedy; zdaje się, że z Ginduliai czy skądś tam. Jest bardzo kochana i dobra, zawsze się śmieje. Przyniosła mi książki do poczytania. Litewskie. Wszystkie przeczytałam jeszcze w domu. Ale nic nie powiedziałam, zaczęłam czytać od nowa. A ta druga siostra, która rozmawiała ze mną kilka razy po litewsku, jest z Ragnety. Nazywa się Anna Rudek i zarządza kuchnią. Chociaż daje mi jeść, jakoś nie mogę się do niej przekonać. Jest strasznie gruba. Mówi, że moje sprzątanie jest do niczego – a to źle starłam kurze w jej pokoju; a to nie tak wyglansowałam buty. Ale nie przejmuję się tym.

Rozmawiałam z księdzem Bleiweissem. Powiedziałam mu, że znowu chcesz być luteranką, ale nie wiesz, jak to uczynić. Kazał zrobić tak: trzeba wziąć dwóch świadków i iść do niego. I tyle. Pozdrów Marysię, i Šauklysów, i Skrandysów, i Gelżinisową i Dūdjonisów, i...

No, do Ani Dūdjonisów sama napiszę.

W pociągu była z nami pewna piękna i miła kobieta. Jechała do Tylży. Rozmawiała z księdzem po niemiecku. Dużo mówili o mnie. Ale nic z tego nie rozumiałam. Kilka razy ocierała łzy, jednak nie wiedziałam, czemu płacze. Potem zasnęłam. W pociągu było ciepło i wygodnie. Ksiądz obudził mnie w Tylży. Zdażył już zejść na peron, przyniósł mi czekoladę. I spałam dalej, aż do Insterburga. Tam trzeba było się przesiąść. I jeszcze raz w Gerdauen, a zaraz potem byliśmy w Angerburgu. A tam czekała już na nas furmanka z kuczerem.

Te wielkie brzozy przy naszym domu – czy już zaczęły pachnieć, jak zawsze na wiosnę, czy jeszcze za wcześnie? Ale w borku sosnowym na pewno już pachnie. Przecież sosny wypuszczają już czubki. Tutaj jest bardzo dużo drzew. Jest ogród z takim małym domkiem, gdzie latem można siedzieć i odpoczywać. Tak po prostu radować oczy. Ale nie ma ani sosen, ani brzoź.

Czy Marysia jeszcze mnie pamięta? A Ilżunia Šauklysów – czy znowu dostała nową bluzkę. A Ania Dūdjonisów, czy znowu zacznie chodzić do cegielni Rascha? A kto teraz wyszywa delmony dla Gelżinisowej? A prosiaka już sprzedałaś? Ile wzięłaś? Będiesz mogła teraz kupić Marysi sukienkę. A ta czarna kura, znowu dobrze się niesie? Przychodzi i domaga się ryżu?

A Amor Dūdjonisów... Nie wiadomo, czy mnie jeszcze rozpozna, jak wrócę? Ale przecież ja już nie wrócę!

Napisz do mnie prędko, będę czekać.

Twoja córka Èvè

³² Oryg lit. helferienė (z niem. Helferin) – pomocnica. (przyp. tłum.)

Jeszcze na koniec: tu jest bardzo dziwnie. Nijak nie mogę się przyzwyczaić. Ale co jest najdziwniejsze: słońce wschodzi na zachodzie. Nie wiem, w którą stronę patrzeć, gdzie Vanagai.

Kochana Córeczko!

Otóż byłam już u Bleiweissa. Wzięłam ze sobą dwóch dobrych, rozsądnych świadków – Kiliusa i Žiobrè z Vanagai – i poszłam. Słuchał, nic nie mówił, nie zgañił, nie zbeształ, ale i nie pochwalił. Przepisał mnie, świadkowie się podpisali i było po wszystkim. Podał mi rękę i spytał, czy do mnie pisujesz. Powiedziałam, że dostałam już kilka listów i że Ci się tam podoba. Podziękowałam mu za taką troskę o Ciebie i za to, że wystarał się o miejsce, w którym jest Ci tak dobrze.

Nie wiem, kto powiedział ojcu, że wróciłam do naszej wiary. Sama nic nie mówiłam. I nigdy bym nie powiedziała. Tylko już nie jeździłabym do kościoła do Kłajpedy. Nie jeździłabym, cokolwiek by mówił. Ale teraz ktoś mnie wydał. Ciągłe podejrzewam Šauklyšów. Wpadł do domu, jakby go wściekły pies pogryzł, rozbił mi krosna. A miałam na nich zaczęta tkaninę na zamówienie. Teraz będzie trzeba za to wszystko zapłacić. Nie wiem, skąd wziąć pieniądze. Później jeszcze popsuł kołowrotek, a kiedy rozbił już wszystko, zaczął bić mnie. Nie wiedziałam, że można się tak wściekać. Ale wszystko jedno, obojętnie co by się działo, nigdy nie wrócę do katolików. Jestem zadowolona, nawet szczęśliwa. Najważniejsze, żeby mieć spokój w sercu. A teraz moje serce i sumienie są spokojne. Ewuniu, kruszyno. Bardzo się cieszę, że się tam odnalazłaś. Cierpienie jest losem nędzarzy. Ty nie musisz już cierpieć, odnalazłaś swój dom. Mówisz, że stęskniłaś się za nami. A kto nie tęskni? Ja też za Tobą tęsknię. Ale jak już powiedziałam: my, biedni, nie mamy prawa żyć, jak chcemy, więc za czym tu tęsknić. To też minie. Wytrzymaj. A przecież chociaż raz i tak przyjedziesz na ferie. Zobaczymy się, porozmawiamy, wszystko sobie opowiemy.

Już umówiłam się z Anią Dūdjonisów i ze Skrandysową. Na Wielkanoc wyślemy Ci paczkę. Wszystkie się złożymy. Jakoś damy radę. No, tak więc bądź zdrowa, pozdrawia Cię serdecznie Twoja mama.

Ile ja łez wylałam przez ten list. Ten nikczemnik bił moją matkę. A Marysia... Ona bezgranicznie kocha matkę. a teraz musiała patrzeć, jak matka jest bita przez ojca. Ile Marysia płakała, ile musiała lamentować... Tak wyraźnie widzę jej przerażoną twarz, jej pełne strachu wielkie niebieskie oczy. Ach, ja wiem, że kiedy już pobił matkę, starał się uspokoić Marysię czekoladą. Ostatnie pieniądze wydawał, by tylko móc kupić małej czekoladę. I nigdy nie przyszło mu do głowy, że więcej pożytku dla jej zdrowia byłoby z mleka i chociażby ciastek.

Kiedy jeszcze byłam w domu, sąsiedzi podśmiewali się, że u Budrysów w każdym kącie jest czekolada, że znajdzie się nawet w chodakach. Może i ktoś zauważył jakiś kawałeczek czekolady, który przez przypadek wpadł do jakiegoś trepa. Nie mogę przysiąc, że tak nie było. Marysia miała już dość tej czekolady. Napoczywała, resztę wyrzucała. A ja? Nie, ja nie będę dojadać po kimś resztek. Zawsze uważałam to za zbyt niskie. Chociaż wtedy nieraz chętnie bym zjadła kawałeczek czekolady...

Listów dostawałam całkiem dużo. Przychodziły często. Ania Dūdjonisów pisywała mi o wszystkich nowinach. Ale dla mnie najlepszą i najprzyjemniejszą nowiną było to, że Bleiweiss, a nawet jego żona dopytują o mnie.

Ciocia Skrandysowa pisała dość często. Ale ona wciąż pisała o Marcinku. Skrandys też dodawał kilka słów od siebie, na przykład, że pokłócili się z Dūdjonisami, a nawet poszli się procesować. Ale Skrandys wygrał, a Dūdjonis dostał jedynie prztyczka w nos.

Nie do końca rozumiałam, o co się procesowali. Raz byłam po stronie jednych, a raz po stronie drugich. Ale nic nikomu o tym nie mówiłam. Niech robią, co chcą.

W pewnym momencie zmienił się ton listów od Skrandysowej. Stały się smutne. I pewnego pięknego dnia dostałam list z pieczętką poczty w Karlsbergu (obecnie Rimkai³³). Okazało się, że Skrandysowie zmienili adres, ale nie dla zabawy, tylko przez to, że w Vanagai nie dało się dłużej mieszkać. Skrandys prawie u nikogo nie mógł znaleźć pracy, bo nie był „stąd”, a z gospodarstwa, z marnego pół hektara ziemi nie było jak związać końca z końcem. Sprzedali gospodarkę i wyprowadzili się z Vanagai. Skrandys dostał posadę stelmacha w dworze w (przepraszam!) Mižeikiai. Zamieszkał tam w domu z kamienia, którego jedną część zamieszkiwał kowal Gulbinskis. Dostali przyzwoite mieszkanie składające się z dwóch pokoi i kuchni. Chlew z czerwonej cegły, w sam raz dla krowy i świń. Tutaj Skrandys nie musiał się przepracowywać, a jego żona nie musi iść do pracy, bo jest stelmachową. Za pieniądze, które wzięli za gospodarstwo, kupili krowę dobrej rasy. Przydział dostał taki sam jak kowal. I tak zostali dobrymi sąsiadami.

„No – pomyślałam – teraz nie będzie miała się Dūdjonisowa na co wściekać”. Nie wiem, na co się wściekała, ale zazwyczaj złościła się na Skrandysów. Może przez to, że Skrandysowie ośmielili się mieć własne gospodarstwo. Dūdjonisowie wciąż posyłali Marysię na przespiegi – tak mi pisała ciocia Skrandysowa. Kilka razy nawet doszło do tego, że Marysia przyszła w trakcie obiadu. Tego dnia Madzia zrobiła na obiad klopsy. Marysia wróciła do domu i opowiedziała, co widziała. Dūdjonisowa kazała powiedzieć Skrandysowej, że jeśli stać ich, by kupić i jeść klopsy, to żadni z nich biedacy i trzeba dać im nauczki. Dotarło to do Skrandysowej. Gdy Marysia przyszła następnym razem, dostrzegła, że nie ma psa Skrandysów, którego widocznie komuś oddali. Na jej pytanie, gdzie jest piesek, Skrandysowa odpowiedziała, że zmieliła go na klopsy. A wstrząśnięta Marysia pobiegła z nowiną do domu. I znów Dūdjonisowie stali się pośmiewiskiem.

Mižeikiai są daleko od Vanagai. Dūdjonisowa już nie może sprawdzać, co Skrandysowie jedzą na obiad. A że stali się parobkami, to tym lepiej.

Mają za swoje!

Takie i podobne nowiny docierały do mnie z rodzinnych stron. Zawsze to jakaś odmiana.

A u nas nie działo się nic szczególnego. Tylko zachorowała i zmarła tamta dziewczynka, która wyszarpywała sobie włosy. Zmarła i ta dziewczynka, która ślizgała się po sali na nocniku i szczekała jak pies. Ale nie były one moimi podopiecznymi, więc nie zламаło mi to serca. W ostatniej drodze towarzyszył im ksiądz Braun (syn biskupa), oberka, siostry Bertha i Käthe, i jeszcze Franziska. Do dziś tak wyraźnie mam ich przed oczami, jak idą w piątkę za wozem z trumnami, przez pola na cmentarz, który widać przez okna naszej sali. Nikt z mojego pokoju nie umarł – byłam z tego dumna.

Co prawda, raz mocno pobiła mnie Mina. Było tak: dostałam paczkę od mamy. Było tam masło, żółty ser, do tego cukierki, tabliczka czekolady. Ucieszyłam się i włożyłam wszystko do szafki w kuchni na oddziale. Muszę otwarcie przyznać, że nie potrzebowałam za bardzo ani masła, ani sera. Nigdy nie byłam wielkim żarłokiem i wystarczyło mi to, co dostawałam z kuchni. Mimo wszystko – paczka była moja, ja ją dostałam. Cukierki i czekoladę dawno zjadłam, ale masło i ser wciąż leżały nienaruszone.

Po kilku dniach znalazłam wolną chwilę i idę nacieszyć się swoją paczką. I co widzę? Z sera została tylko skórka – cały środek wygryziony. O Boże! Wzięłam resztkę sera, biegnę do siostry Berthy. Siostra Bertha przeprowadza przesłuchanie. Okazuje się, że sprawczynią jest Mina. Siostra prosi, żebym milczała, a ser mi odkupi.

Uspokoiliam się. Mama i Ania Dūdjonisów nie wiedziały, że niekoniecznie potrzebuję sera i masła. Ale wiedziały, że bardzo lubię żółty ser. Mnie samej nie żal sera jako takiego,

³³ Dzielnica Kłajpedy (przyp. tłum.)

ale tego, że był z domu. Czy ten, który kupi siostra Bertha, będzie taki sam? Na pewno nie! Chociaż pozornie się uspokoiłam, nie mogłam odpuścić. Nikt mi tego nie powiedział, ja sama też nie pomyślałam, że to Minie chciało się sera. Dostawałam go w kuchni siostr, a Mina nie, nawet w święta. Nie miała domu, nikt nie mógł jej go przysłać. Jednak wtedy o tym nie pomyślałam. Moja zemsta bulgotała w sercu po cichu. No i gdy nadarzyła się okazja, nie wytrzymałam i wypaliłam do śmiejącej się Miny:

– Niczego więcej nie potrafisz, niż tylko śmiać się i kraść ser!

Ach, Boże, co ja zrobiłam! Wyraz jej twarzy był nie do opisania. Podobno śmiertelnie zranione zwierzęta rzucają się na swojego wroga tak, jak Mina rzuciła się na mnie.

– Nie ukradłam twojego sera. Ja go tylko wzięłam i zjadłam. Chciało mi się sera. Leżał tam i pachniał!

Tumaitis z Kantvainiai nauczył mnie kiedyś, że jeśli ktoś mnie zaatakuje, trzeba oprzeć się o ścianę i wywijać łaską. To nie takie łatwe, pamiętać o tym i zdążyć to zrobić! Gdyby nie przybiegły siostry – Bertha i Käthe – nie wiadomo, czym by się to dla mnie skończyło.

Okazało się, że Mina była bardzo silna!

Siniaki i zadrapania jeszcze nie zniknęły, a ja już zdążyłam dokonać kolejnego nieprzemysłanego „bohaterskiego” czynu.

W zakładzie były dwie niemowy, już niezbyt młode kobiety. Bardzo się przyjaźniły. Były całkiem zdrowe, więc musiały bardzo dużo pracować. I pracowały. Pewnego razu, jak codziennie, wracam po kolacji. Idę przez wspomniany już korytarz. Za ten korytarz była odpowiedzialna jedna z tych kobiet. Widzę, że stoją w tym korytarzu obie i „rozmawiają” w wielkim zdenerwowaniu. Bardzo mnie ciekawi ten ich język gestów. Zatrzymałam się, patrzę i – o, naiwna głupoto! – roześmiałam się. Jedna z nich coś do mnie mówi. Oczywiście nic nie rozumiałam i pukam się w czoło.

Trzeba byłoby to zobaczyć... Nie, nie trzeba! Głupi ma zawsze szczęście. Znowu uratowały mnie jakieś siostry, których imion ani nazwisk już nie pamiętam. Oczywiście, nie podrapała mnie jeszcze, ale... no, siarczasty raz w policzek dostałam i tak.

– Kiedy ty w końcu zmądrzejesz?! – zwymyślała mnie siostra Schwabe, dowiedziawszy się o incydencie. – Przecież musisz zrozumieć, że tu chodzi o chorobę! Wiesz, że jest u nas tyle cierpienia, co ci przyszło do głowy, takiej rozumnej, by jeszcze sztydzić? To wszystko dlatego, że ty jeszcze nie całkiem... – I tak dalej, o wszystkich „znajdach”.

Jednak to wszystko jeszcze nic. To wszystko to nic przy tym, co zrobiłam przez swoją głupotę. Tyle razy mi powtarzano, tłumaczono, ale – jak widać – słuchałam jednym uchem, wypuszczałam drugim.

Pewnego dnia, wychodząc z pralni, zamiast przekręcić – po prostu zgasłam dmuchnięciem lampę gazową.

W pralni wciąż tlił się ogień pod kotłem. W tej samej piwnicy, gdzie była pralnia, leżało drewno na opał i jakieś cztery czy pięć ton węgla... Jak to kiedyś mówiono: łaska Boska – przechodziła obok siostra Bertha i usłyszała gaz, syczący niczym żmija...

PAWILON

Tymczasem zbliżały się Zielone Świątki i nadszedł czas, by posprzątać pawilon – pora zacząć wynosić dzieci nie jak zwykle do sali, lecz właśnie do pawilonu. Potrzebują słońca, świeżego powietrza. Z jednej strony mi też będzie łatwiej: nie trzeba będzie wciągać ich po schodach na górę, wystarczy przeprowadzać przez pobliskie drzwi.

Ściana pawilonu jest otwarta od słonecznej strony. Wzdłuż niej narysowane są słowa: „Frühling, Sommer, Herbst, Winter”³⁴. Ten dziwny napis dotrzymałam od razu, już pierwszego dnia i łamałam sobie głowę nad jego umiejscowieniem właśnie tutaj. Nikt mi tego nie wyjaśnił, nikogo też nie pytałam, by nie wyjść na jeszcze głupszą. Sama doszłam do wniosku, że jest tu po prostu dla ozdoby. Chociaż nie uważałam tego za jakieś upiększenie. Ale to tylko moje zdanie...

Pewnego dnia, po obiedzie, uzbrojona w miotłę, wiadro wody, szczociwo, mydło, w pełnym rynsztunku weszłam do pawilonu.

Najpierw oparłam się o balustradę pawilonu, by nacieszyć oczy widokiem – panoramą miasta. Niemalże pod moimi stopami znajdował się ogród, w którym przepracowałam tyle godzin. Razem z Miną sadziłyśmy dale, starannie grabiłyśmy trawę, zręcznie zamiatałyśmy alejki, usuwałyśmy wciąż odradzające się chwasty. Sprzątało się również pawilonik obok, ścierało kurze, ściągało pajęczyny, zmywało okna. Tylko nie było kiedy przysiąść i napawać się tym widokiem. Dla Miny coś takiego nie ma znaczenia, dla mnie – przeciwnie.

Pewnego wieczoru razem z Miną zapomniłyśmy się i wyszłyśmy do naszego pięknego ogrodu, pełnego oznak budzącej się wiosny. Mina zaczęła się ze mną przekomarzać, a ja ją gonić. Śmiała się głośno i przewróciła, wylądowałam na niej. I nagle usłyszałam:

– Eva, jak ci nie wstyd, takiej dużej dziewczynie, tak nieprzyzwoicie zachowywać się w ogrodzie? Nie znasz swojego miejsca? – to była siostra Bertha ze swoją „Liebchen”³⁵ – siostrą Anną Rudek.

Ano racja. Na chwilę zapomniałam, że ten piękny, pachnący wiosną sad, w którym wykonałyśmy tyle żmudnej pracy, jest nie dla nas, ale dla sióstr. Teraz dopiero spostrzegłam, że zawsze spacerują po nim parami.

Poszłam do swojego „królestwa”. Położyłam się. W pokoju duszno, powietrze było gęste od dwunastu oddechów. Mimo płukania, mycia, sprzątania, prania i wietrzenia tu i tak zawsze cuchnie brudnymi pieluchami, nawet teraz, wiosną. Ale nic nie poradzisz. Trzeba być grzeczną. Wszyscy spali sobie spokojnie, tylko Emilia mruknęła coś przez sen.

Niedługo później do środka weszła siostra Bertha Schwabe i usiadła na moim łóżku.

No tak, przecież jestem już wyrośniętą i taką rozsądną dziewczyną, a chodzę, jak małe dziecko, bawić się i biegać po ogrodzie. A z kim? A z wariatką, idiotką. Czy nie byłoby lepiej wziąć książkę i szukać... szukać Boga, szukać Jezusa.

– Jak już znajdziesz Jezusa, który cię zbawił, to przestaniesz chodzić do parku z półgłówkami...

Bardzo przekonująco! Tylko jedna myśl, myśl, drażniąca niczym skrzypnięcie suchego stalowego pióra: a co z tymi idiotami? Co z Miną? Czy oni już znaleźli to, czego ja muszę tak starannie szukać? Nie, oni nie szukają i nie będą szukać. To kto ich zbawił, kto ich zbawi? Jak to tak? Może nie potrzebują zbawienia? Emilia jest idiotką, mimo tego czasem śpiewa niezbyt przyzwoite pieśni, takie pieśni, jakich nigdy wcześniej nie słyszałam. A gdybym słyszała, sama nigdy bym ich nie śpiewała. Co z nią? Wychodzi na to, że spłonie w piekle. Nawet nie wie, czego ma szukać, nikt jej nie poucza, właśnie dlatego, że jest idiotką. Dobrze, ale w takim razie kto nauczył ją śpiewać te piosenki? Ach, jakie to wszystko głupio poplątane...

³⁴ Wiosna, lato, jesień, zima (niem.)

³⁵ Ukochana (niem.)

Gdy oprzesz się o balustradę pawilonu, twój wzrok sięga bardzo daleko. Widać warsztaty anształtów. W nich przyuczają się do zawodu chłopcy znajdujący się w zakładzie. A tam są domy dla starców i inwalidów – przytułki o nazwie „Feierabend”³⁶. Wszystko to – i ten dom, w którym teraz jestem, i tamte domy po drugiej stronie ulicy – Kolmarstift oraz Krüppelheim II, zwany „Kinderhilfe” – wszystko zostało założone i wybudowane z darów łaski albo serca, z pieniędzy, które zebrano dzięki dobrym ludziom, w kościołach! Podobno nawet cesarzowa Augusta Wiktorja ze swojego „własnej szkatuły” dała czy też wciąż daje ileś tam tysięcy...

W południe, w ciepłe słońca jest tak cicho i spokojnie, wszystko wydaje się takie nierealne, niczym marzenie. Trochę przypomina to książeczkę biskupa Brauna „Kreuz und Liebe”³⁷, w której jest opisane życie anształtów. Czuję się dokładnie tak, jak tam to opisano. Tylko jedna rzecz jest nie tak, mianowicie, że wszyscy, którzy mieszkają czy to w „Feierabend”, czy to w innych domach, tęsknią tylko i wyłącznie za Jezusem. Czy tak może być? Nie wierzę w to, nie ja... O! Ja tęsknię za domem, za swoją okolicą, chociaż tam też było niezbyt przyjemnie. Ale tam byli swoi. Nawet cały ten mój ojczym zaczął przysyłać mi pozdrowienia. A ja nawet przestałam się na niego gniewać. W tym momencie nie jestem zła, na nikogo. Tak mi dobrze grać się tu w słońcu. Nic nie boli, myślę tylko o odpoczynku, odpoczynku. Gdybym teraz była w Vanagai, u matki, siedziałabym z Marysią w słońcu, za laskiem sosnowym. Tam będą wschodzić lubiny, może już wystawiają swoje listki o pięciu palcach. Mogłabym sprawdzić – czego do tej pory nidy nie zrobiłam – czy ich liście naprawdę są pięciopalczaste.

Ach, nie, mam już piętnaście lat, na pewno musiałabym iść gdzieś na służbę. Ojczym nie będzie utrzymywał takiej dużej dziewczuchy. Marysia? Matka może chodzić do pracy razem z nią, albo... on jej popilnuje.

Moje serce znowu zapłonęło chęcią zemsty. Nie, lepiej nie myśleć o domu. Tutaj, w Angerburgu, jest lepiej. Dużo lepiej. Tutaj wszyscy jesteśmy równi, nikt nie patrzy zazdrosnym okiem żadnym zemsty. Ustępujesz głępszym od siebie, od tych, którzy są od ciebie mądrzejsi, dostajesz pouczenia. Zobacz, buty się zepsuły, a ty już dostałaś nowe. Wiadomo, nie nowe, podarowane przez jakąś starszą panią. W domu nawet takich nie było. O, te nawet są jak na mnie... Dostaję też ubrania. Już nie chodzę do kościoła w swoich „litewskich” rzeczach. Dostałam nawet ładny kostium. Dopiero Margarita, ta z jedną ręką, pochodziła z bogatego domu, i Franziska wyjaśniły mi, że ten kostium jest staromodny. Niezbyt chciałam nosić staromodne ubrania. Bardzo proszę, niech dają mi modne rzeczy.

–A skąd mam wziąć nowe? Czy nie wiesz, że wszystko, nawet ten kostium, to dar serca?

Zgadzam się, ustępuję. Jednak, gdy przyjdzie czas, przerobię go po swojemu tak, że będzie nowoczesny. Ktoś mi pomoże i ubiorę się jak trzeba...

Próbuję przeprowadzić przemianę. Włosy wciąż spletam w dwa warkocze, ale nie układam ich na głowie tak, jak u nas w Priekulė, tylko przypinam je spinkami z tyłu głowy. Jakoś tak niezbyt wygodnie, czasem nawet zaczyna mnie boleć głowa, co wcześniej się nie zdarzało. To od tych przeklętych spinek. Jeśli chcesz być piękna i nowoczesna, musisz cierpieć. Prawdę mówiąc, za bardzo nie wolno nam stroić włosów, powinny być spięte gładko, niczym przylizane. Siostra Bertha Schwabe już kilka razy zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

Do kościoła wkładam czapkę. Dziewczynki mówią, że też nie jest zbyt modna, ale innej nie dostałam. Wygląda na to, że tutaj wszystko powinno być modne. To nic, grunt że niemieckie. Dzięki temu już nikt się na mnie nie gapi, gdy idę do kościoła.

³⁶ Wolny wieczór (niem.)

³⁷ Krzyż i miłość (niem.). Zob. przypis 147.

Nie byłam jeszcze nigdzie dalej, tylko w kościele. Podobno nie ma dokąd tu iść. A nawet gdyby było, i tak byłoby to zakazane.

Kościół też widzę z pawilonu. Stoi na wzgórzu. Żeby się do niego dostać, trzeba albo wspiąć się po wysokich kamiennych schodach, albo iść jakoś naokoło, tak, jak podjeżdżają powozy. Dla mnie tak czy inaczej jest ciężko. Podobno dawno temu była to góra zamkowa, a obecny kościół to był zamek rycerski. Może nawet go przypomina. Jest taki trochę mroczny. Nigdy wcześniej nie widziałam ani góry zamkowej, ani zamku rycerskiego. Co prawda, podobno już ich nigdzie nie ma. A jeśli coś pozostało, to tylko ruiny. Ruin też nie widziałam, jedynie na obrazkach, gdzie oplata je powój. Ale ściany angerburskiego kościoła nie są niczym obrośnięte.

Gdy wejdzie się do środka, wiadomo już, że to zamek rycerski. Moim zdaniem wygląda to niezbyt sympatycznie. Nie przypomina kościoła w Vanagai. Przy każdym wejściu, w każdym miejscu, gdzie stoisz albo siedzisz, w oczy rzucają się „rycerze“. Za pierwszym razem pomyślałam, że naprawdę stoją tam żołnierze, ubrani w stare rycerskie zbroje. Nie ośmieliłam się nikogo o to zapytać, by nie wyjść na zbyt głupią. I pewnego wieczoru, wychodząc ze świątyni, zwolełam, by zostać na końcu. Nie wytrzymałam, podeszłam do jednego z tych „rycerzy“ i – mimo wszystko drżącą – ręką sięgnęłam do pancernych ust. W środku żadnego pyska, pusto, tylko stuknięta palcami blacha wydała z siebie głuchy dźwięk.

W drodze powrotnej rozmyślałam nad tym i przypominałam sobie, że czytałam kiedyś, iż niemieccy rycerze w takich strojach i ostrymi mieczami walczyli dla Chrystusa, dla chrześcijaństwa i dla „panienki“ Marii...

Aha! – już wszystko układa się w całość – w dawnych czasach trzeba było „walczyć“ dla Chrystusa. A dziś trzeba go „odnaleźć“... A to dopiero! A jak będzie za, powiedzmy, sto lat? Przecież czasy się zmieniają, a my z nimi...

Tylko jedna rzecz była i jest dla mnie niejasna: przecież oni, walczący w dawnych czasach dla Chrystusa ogniem i mieczem, byli katolikami... Prawda, były to czasy przed Marcinem Lutrem; oczywiście, że nie pozwoliłby na taką walkę... Ale dziś jesteśmy luteranami, więc dlaczego ci katolicy rycerze „strzegą“ ewangelickiego kościoła?

Cóż, sama świątynia nie zrobiła na mnie jakiegoś specjalnego wrażenia, ale za to organy! W ich dźwiękach tonęłam i zapominałam o wszystkim.

Biorę się do pracy. Pawilon nie jest mały. Jak ja sama mam to sprzątnąć, nie wiem. Po tej myśli ogarnia mnie beznadzieja. Istna rozpacz. Ale jak trzeba, to trzeba.

Zaczynam. Zamiatam, choć nie ma śmieci, tylko kurz. Więc biorę szczotkę, zakładam na nie szmatę, moczę to w wodzie i biorę się za mycie. Robię to jak zwykle, jak w klasie, jak w naszej wielkiej sali. Różnica jest taka, że w klasie pomaga mi dziesięcioletnia dziewczynka, a w wielkiej sali pracujemy we trzy. W klasie i w sali podłoga jest biała, trzeba się przyłożyć do szorowania. Podłoga pawilonu jest malowana, można powiedzieć, jak polakierowana, taka śliska i...

Tak, zdecydowanie śliska! Leżę. Przewróciłam się. I to tak nieszczęśliwie, że przygniotłam swoją nieszczęsną nogę. Usłyszałam trzask.

W pierwszej chwili mdleję, ale cuci mnie ból. W pobliżu nie ma nikogo. Wiem, że siostry odpoczywają w swoim pokoju. Pora obiadowa. Krzyczę, wrzeszczę, ale nikt mnie nie słyszy... Nie, mimo wszystko usłyszała mnie Tila, jest na dole, na dziedzińcu, niedaleko pawilonu.

– Eva, to ty tak krzyczysz?

– Tyla, biegnij, zawołaj tante Berthę...

Spieszą do mnie obie siostry. Chcą mnie podnieść. Boli mnie tak, że krzyczę. Jak wciągnęły mnie do pokoju, nie wiem, bo znowu zemdlałam. Noga mi spuchła i zsiniała. Całą noc przeleżałam bez ruchu, płacząc i jęcząc. Wreszcie przyszedł miejscowy lekarz, znany

jako „Gelbe Schuh und Brill”³⁸. Tak nazywała go Mina, bo nie mogła zapamiętać jego nazwiska. Prawda, jego nazwisko – Starfinger – nie było lepsze od przydomka. Obejrzał nogę i spytał, ile razy ją zraniłam. Odpowiedziałam, że nigdy tak, jak tym razem. Ale on próbował wykazać, że to zwykły upadek, u takich jak ja to normalne. Nic nadzwyczajnego się nie stało. Nowego złamania nie ma.

Nie umiałam i nie mogłam spierać się z uczonym Niemcem. Ale swoje wiedziałam. W pawilonie moja noga złamała się ponad kolanem. Wyglądała strasznie. „Gelbe Schuh und Brill” zapisał coś zamazyście i wyszedł. Pozostawiono mnie, żebym tak leżała, bezsilna, w potwornych bólach.

Ciekawe, czy naprawdę w 1912 roku nie wynaleziono jeszcze żadnych narkotyków, które choć trochę zmniejszyłyby ból?

A może musiałam tak strasznie cierpieć dlatego, że nadal nie odnalazłam Jezusa, swojego odkupiciela?

Tak, to musiała być przyczyna.

Trzeciego dnia z wielkim hałasem wpadła do pokoju oberka Bertha Benke.

– Fuj, jaki tu zaduch! Przerazające. I ty leżysz w takim czymś, nie otwierasz okien?

– Przecież nie mogę, tante Bertho – zapłakałam. – Proszę spojrzeć na moją nogę. Nie przespałam ani jednej nocy, tak mnie boli.

– Unsinn!³⁹ Nic nie boli, to urojenie. Taka duża dziewczucha – i jak sobie odpoczywa. Leżysz, jakby nie było nic do roboty. Za darmo jesz nasz chleb. Czy zapomniałaś, że ten chlebek, który jemy, dają nam wielkoduszni ludzie, nie jest tani. Dalej tak być nie może. Próżniaków nie lubimy. Natychmiast trzeba cię stąd wywieźć. Trzeba zwolnić miejsce dla takiej, która będzie chciała pracować.

Krzycząc i wrzeszcząc w podobnym tonie, ulotniła się. A ja... A ja? Zrobiło mi się strasznie przykro. Oczywiście łzy ciągle spływały po mojej twarzy, ale nie ostudziły jej złości:

– Menschenfresser!⁴⁰ – krzyknęłam za nią i przeraziłam się. A co, jeśli usłyszała... Nie, nie usłyszała, ale otworzyły się inne drzwi i ukazała się głowa Berthy Schwabe:

– Wołałaś mnie?

Nie odpowiedziałam. Zamilkłam ze strasznej złości. Powtórzyłam tylko, oczywiście, w myślach, że oni wszyscy to „Menschenfresser” – kanibale, ich doktor jest głupią ciapą, a te anształty to rzeźnie. Gdybym mogła to powiedzieć na głos, wykrzyzczyć, może nawet bym wyzdrowiała. Ale, dalibóg, nie odważyłam się.

Siostra Bertha Schwabe podeszła do łóżka, usiadła na krawędzi i zaczęła ocierać moje łzy. Musisz cierpliwie znosić cierpienie. Kogo Bóg kocha, tego karze. W mojej piersi podniósł się bunt, teraz także przeciw kochającemu i karzącemu Bogu. Jeśli nie może dać mi miłości bez bólu, to po co mnie kocha? Nie chcę... I głośno, rozpaczliwie zaczęłam krzyczeć:

– Ich will nicht, ich will nicht, ich will nicht!⁴¹

Jak zrozumiała to siostra Bertha, nie wiem. Wstała i cicho wyszła z pokoju.

Kiedy tak leżałam w rozpacz, minął kolejny dzień, potem jeszcze jeden. Przez ten czas zabawiała mnie Emilia. Czasem nucila mi jakąś nieładną, nieprzyzwoitą piosenkę, czasem śpiewała pieśń. Czasem popłakiwała, czasem szydziła:

– Was guckst du so dumm?⁴²

I wtedy przyszedł lekarz, doktor Rehberg, chirurg Kolmarstiftu. Od razu mi się spodobał. Widziałam, że nie jest takim ciamajdą, jak tamten.

³⁸ Żółte buty i okulary (niem.)

³⁹ Niedorzeczność! (niem.)

⁴⁰ Ludożerca (niem.)

⁴¹ Nie chcę, nie chcę, nie chcę! (niem.)

⁴² Czego się gapisz tak głupio? (niem.)

Był człowiekiem żyjącym w ciągłym pośpiechu. Nie miał czasu, by dokończyć zdanie. Tylko przystawił sobie do łóżka moje jedyne, historyczne, całkiem już wykoślawione krzesło, i usiadł. Serce mi zamarło: usiadł zbyt energicznie... Obejrzał moją nogę, pokręcił głową, pogłaskał mnie i powiedział:

– Kolmarstift...

– Czy już dzisiaj? – ośmieliłam się spytać, pełna lęku. Bo zrozumiałam, co powiedział. I rozumiałam, co znaczy to słowo.

– Ja, mein Schäfchen, du...⁴³ – i nie dokończywszy zdania, pospiesznie wstał i wypadł za drzwi. Ledwie wstał, krzesło się rozpadło cicho, spokojnie, bez hałasu, jakby wyczuło, że już wykonało swoją służbę i może odejść w spokoju. Siostra Bertha wyniosła z pokoju szczątki krzesła, a kiedy wróciła, wyjaśniła, że jutro odwiezie mnie do kliniki. Tak rozkazał doktor Rehberg.

Szybki list do matki:

„Przewróciłam się, znowu złamałam nogę. Wiozą mnie do kliniki. Przyjeżdżaj! Przyjeżdżaj! Przyjeżdżaj! Tak się boję, ale nikt mnie o nic nie pyta. Przyjeżdż, przyjeżdż, przyjeżdż! Weź ze sobą Anię.”

⁴³ Tak, moja owieczko, ty... (niem.)

Kolmarstift

Gdy już umyto mi włosy, wykąpano mnie, ubrano i wywieziono w wózku Emilii na dwór, pojaśniało mi w oczach: Boże, jaka piękna wiosna! Wydawało się, że wcale nie tak długo leżałam, tymczasem na zewnątrz wszystko zdążyło tak bardzo się zmienić. Kwiaty nie tyle wyrosły, co wystrzeliły z ziemi. Jednak nie mogłam dokładniej obejrzeć, co dzieje się w naszym ogrodzie, bo bardzo pośpiesznie wypchnięto wózek na ulicę. Mimo to dostrzegłam że coś kwitnie. A oczom wystarczyło tej nieskończonej pięknej zieleni, którą błyszczała wiosna. Ale, jak już wspomniałam, byłam już na ulicy. Boleśnie czułam każdy wybój. Przejechawszy ukośnie przez wielkie kocie łby, wózek wjechał na teren Kolmarstiftu. Wiadomo, tutaj też do oczu trafia odrobina zieleni, coś kwitnie i pachnie. Jednak to już nie był tamten ogród, w którym przez całą wczesną wiosnę – ile tylko sił – kopałam, grabiłam, siałam, sadiłam i do którego, gdy nikt nie widział, biegłam popatrzeć, czy wschodzą już kiełki.

Teraz jestem w Kolmarstifcie. W miejscu, którego panicznie się bałam. Mówiłam wszystkim, że nigdy tu nie przyjdę. Mojej nogi podobno nikt nie umiał naprawić, laski już nigdy nie wypuszczę z ręki. Sny? O, ileż to razy śniłam jeszcze w domu, że spaceruję bez żadnych kul po drózkach w Vanagai, jakbym nigdy w życiu tych kul nie potrzebowała. Oczywiście, były to sny, a niezbyt w nie wierzę, chociaż było pięknie pomarzyć o tym, że będę chodzić jak inni ludzie.

Teraz nie myślę o niczym, tylko się boję, niemożebnie boję. Moje kolano jest niebieskie i tak opuchnięte, że wygląda na dwa razy większe i grubsze niż normalnie.

Przy drzwiach Kolmarstiftu wita nas Frau Oberin Elisabeth Engei. Ubrana na biało, w wymyślny biały fartuch, na głowie ma czepiec Czerwonego Krzyża, na piersi wisi duży złoty krzyż. Jej jasne włosy są ułożone w skomplikowaną, zdobiącą głowę fryzurę. Ma śliczną twarz i zimne niebieskie oczy.

Diakonisę Berthę Schwabe powitała krótkim, surowym skinieniem. Uśmiechnęła się do mnie. Jednak uśmiech ten nie był tak przyjacielski, jak by się chciało, a raczej „uprzejmy”, niczym uroczyste oświadczenie: *par distance*⁴⁴. Czyż nie informowano, że pojawi się „ein Kind aus Litauen”⁴⁵.

Szybkim, energicznym krokiem wyszły z budynku dwie siostry. Były to Auguste i Mina. Były ubrane nie na biało, ale na niebiesko, jak pracownice. Krój ubrań także był inny niż przełożonej. Siostra Auguste już nosiła krzyż na piersi – tyle że srebrny. Siostry także miały na głowach białe czepki, ale bardzo skromne i zawiązywane pod brodą.

Siostra Bertha Schwabe pożegnała się pośpiesznie i jeszcze coś mi szepnęła napominająco. Kazała pamiętać, kazała szukać i tak dalej. Milczałam, nic nie obiecywałam, jedynie uroniłam jeszcze kilka łez. Dziś muszę i mogę przyznać, że te łzy były trochę udawane. Przecież teraz jestem w nowym otoczeniu, siostra Bertha już nie może mnie wypytywać, już jej nie podlegam. Zobaczymy, co będzie dalej. Sprawdzimy, czy tutaj też trzeba będzie szukać Jezusa...

Siostry Auguste i Mina bez słowa podniosły mnie z wózka. Widziałam uśmieszek siostry Míny. Najwyraźniej podśmiewała się z wózka. Ale nie było z czego drwić. Zresztą, nie wiedziały, że w tym wózku nasza Emilia jeździ do pokoju kąpielowego. Siedząc w tym wózku, Emilia wołała: „Marie, Marie, Marie!”. Dlaczego – nikt nie wie. Jednak... O, one o wielu rzeczach nie wiedziały. Przecież nie miały pojęcia, że istnieje taka Emilia, że można za nią, taką idiotką, tęsknić, że można odczuwać jej brak, niczym brak bliskiego człowieka...

⁴⁴ Na dystans (fr.)

⁴⁵ Dziecko z Litwy (niem.)

Znalazłam się w białym, ale bardzo twardym łóżku. Jest twardsze, dużo twardsze od tego, w którym sypiałam w domu. Ach, co ja gadam: w domu zawsze spałam na miękkiej słomie. A co jest tutaj? Jakiś twardy materac. Moje ubrania zniknęły z sali i więcej ich nie widziałam.

Sześć łóżek w szeregu. Tyle jest w Kolmarstifcie miejsc dla dziewcząt. Rozejrzałam się: moje łóżko znajduje się w najdalszym kącie. Obok mnie nikt nie śpi, łóżko jest puste. Na łóżku przy oknie leży dziewczynka, ma może dwanaście lat, może mniej. Wystraszyłam się: dziewczynka jest związana. Naprawdę, niczym wędzidła zawiązane pod podbródkiem i zaczepione nad głową na takich hakach. Twarz dziewczynki wybladła i wydłużona, ręce – same kości. Ale oczy żywe, czujne i przebiegłe. Przygląda mi się z ciekawością, uprzednio obróciwszy głową, na ile mogła, mówi coś swojej sąsiadce i zaraz woła:

– Dosyć!

Energicznie zdjejuje z haków „wędzidła” i zwinnie siada... Siada... twór przypominający człowieka. Inaczej nie mogę tego nazwać. Jednak widziałam już takie dzieci, więc nie dziwił mnie jej wygląd. Zaskoczyły mnie tylko te „wędzidła”.

– Co ty tam masz? – nie wytrzymałam, musiałam spytać.

– Nie widzisz? Łóżeczko z gipsu. Muszę w nim leżeć, żeby prostować plecy. Mam gruźlicę. Ale wyzdrowieję. Jeśli tylko będę cierpliwie leżeć. Wyzdrowieję i wtedy nauczę się chodzić.

– A teraz nie umiesz?

– Może i bym umiała, ale mam zbyt słabe nogi. Gruźlica...

– Co to jest ta gru-źli-ca? – spytałam zdumiona.

– Jakaś ty głupia! Przecież i ty ją masz. Inaczej po co byś tu do nas przyszła?

– Ja... Nie...

– Nie bój się, nikt cię nie położy do takiego łóżka. Przecież masz proste plecy. Ale dostaniesz gips na nogę. Zrobią ci operację, tak jak Grete... – Wskazała podbródkiem leżącą obok dziewczynkę.

Grete – może w tym samym wieku, może rok starsza, z bardzo mądrymi oczami – odsunęła kódrę i zobaczyłam dwie dość krzywe, ale zagipsowane nogi.

– Nie, Lisa, nie mam gruźlicy. Moje nogi od urodzenia...

– Ale przecież twoje nogi są strasznie krzywo zagipsowane... – zawołałam z niesmakiem. – Jeśli i mi tak zagipsują...

– Nie! – roześmiała się Grete. – Miałam już sześć operacji. Ile ich jeszcze będzie, nie wiem. Ale na pewno dużo. Moje nogi były mniej więcej takiego kształtu, jak litera X. A moi rodzice chcą, żebym koniecznie była zdrowa, żebym miała proste nogi. Więc pozwalają robić jedną operację po drugiej, aż wyzdrowieję. Widzisz, jestem jedynaczką, więc...

– I w ogóle się nie boisz?

Grete wzruszyła ramionami:

– Bać się... A kto się nie boi! Ale skoro trzeba...

– Pewnie już wiele wycierpiałaś? Przecież operacja boli – chcę wiedzieć.

– Boli, boli, aha, boli... Widzisz? – nagle wtrąca się, z jakimś głupim śmiechem, dziewczynka z innego łóżka. Podnosi zagipsowaną rękę, a sama porusza się w dziwny sposób.

– Nie, operacja nie boli... ale potem...

– Nie boli, jak operują, nie boli – przedrzeźnia ta dziwna.

– Cicho bądź, Urte, co ty możesz wiedzieć, ciemna maso! – przywołuje ją do porządku

Lisa.

– Co ty mówisz, Lisa? Jak ona ma na imię? – nagle odjęło mi mowę, gdy usłyszałam tak litewsko brzmiące imię.

– Urte, Urte Labrenz. Jest skądś spod Kłajpedy, to Litwinka i dlatego taka głupia.

– Urtè Labrencytè – powtarza niczym echo cichy, lękliwy głosik Urtè.

„Litwinka... gdzieś spod Kłajpedy i dlatego bardzo głupia...” Już o nic nie pytałam. Bałam się wydać. Nie chciałam już pierwszego dnia zostać przypisana do głupich. A jeśli się dowiedzą, że jestem z oddziału idiotów...

– A ty jak masz na imię? – rozlega się pytanie leżącej przy oknie garbuski Lisy.

Wiadomo, trzeba odpowiedzieć, trzeba się przedstawić. Przecież trzeba się zaprzyjaźnić, nieważne, że są, jakie są, i że są młodsze ode mnie. Ale chyba żadna nie jest idiotką. Wygląda na to, że będzie można się z nimi dogadać, może czasem pośmiać. Chociaż... No, z Urtè nie będzie można się przyjaźnić.

Odpowiedziałam.

– W Kinderhilfe też jest jedna Èvè. – powiedziała Grete. – Ale tamta jest głucha i jest Żydówką. Poza tym bardzo ładna i interesująca. Ma bardzo czarne włosy.

Aha, tylko tyle, czyli jest szansa na ratunek. Żeby tylko nie pytały, skąd jestem. Nie, tym razem nie pytały. Zamilkłyśmy wszystkie, a ja głęboko zamyśliłam się nad chorobą.

Gruźlica!

Pierwszy raz usłyszałam nazwę tej choroby, a tutaj, jak się okazuje, jest czymś zwyczajnym, codziennym... Zupełnie nic to mi nie mówi, nic nie przypomina. Ale nazwa ta jest w jakiś sposób nieprzyjemna, sama nazwa. Tak jakby pachniało jakimiś ohydnyimi lekarstwami, którymi przesiąknięte jest całe powietrze w Kolmarstifcie. Już zaczęłam sobie wyobrażać, że ten zapach dobiega od garbuski i od Labrencytè, tak jak zapach innej choroby wydzielal stary Bertaitis, który miał chore obie nogi. Ale ja? Nie, ja nie choruję na to, nie, nie, nie! Nich mówią, co chcą. Ja ten zapach wyczułam pierwszy raz. Jeśli moja noga zacznie tak pachnieć, kiedy zaczną mnie leczyć? Nie, to niemożliwe, to straszne! Przecież i ja nie będę mogła pokazać się ludziom na oczy, jak Bertaitis, który nigdzie nie chodzi, tylko czasami na targ, do Priekulè... Czyli nigdzie nie wychodzić... Ludzie będą ode mnie uciekać, jak... jak od tych, którzy na wieki są zamknięci w specjalnie po to zbudowanym ośrodku w lesie kłajpedzkim, niedaleko morza. Nie widziałam jeszcze ani tego lasu, ani tych domów, tak jak nie widziałam jeszcze samego miasta. Jednak bardzo dużo słyszałam o tym miejscu i jego mieszkańcach. To trędowaci. Zwożą ich tam z różnych krajów. Dlaczego z „różnych krajów”? Bo u nas nikt nie choruje na trąd, tę chorobę łapią ludzie pływający statkami po takich krajach jak Indie, Palestyna... Tak, Palestyna!

Nie dziś, kiedy tak leżałam w Kolmarstifcie, ale jeszcze będąc dzieckiem i słuchając Ewangelii o Chrystusie uzdrawiającym trędowatych, nie mogłam pozbyć się natrętnej myśli, której nie ośmieliłam się ubrać w słowa słowami, a zapytać się nie ośmieliłam... Musimy ciągle kochać Jezusa, który – dopóki chodził po ziemi, i tylko wtedy – był tak potężny, że mógł nie tylko wskrzeszać zmarłych, co wydało mi się nie takie trudne, bo przecież zmarli wciąż mają wszystkie części ciała, to łatwe... ale mógł też uzdrawiać trędowatych. A jak tylko wstąpił na niebiosa, to już nie może – nic nie może...

Jednak grzechem było tak myśleć, więc starałam się jakoś stłumić takie „natrętne” myśli. Ale w tym momencie one znowu bardzo boleśnie kłębiły się w głowie: czy przypadkiem gruźlica nie jest łatwiejsza do wyleczenia...

Przynieśli mi bardzo niesmaczną kolację. Kromeczka suchego chleba i jakaś ohydna zupa. Garbuska i Grete dostały po kromce posmarowanej margaryną. Na ich kromkach było coś jeszcze. Czułam się bezgranicznie pokrzywdzona. Tak, to nie to samo, co kolacja w Krüppelheim I...!

Rozplakałam się. Chcę jeść, jestem wygłodzona. Jednak nie mogę przełknąć ani łyżki tej brunatnej zupy. Żuję kawałeczek suchego chleba i kładę się spać.

Wchodzi siostra, śpiewa zwrotkę pieśni. Kto umie, śpiewa razem z nią. Ja nie potrafię, milczę, strasznie mi wstyd.

W pokoju zapanował spokój, a ja czuję, że noga mnie boli, bardzo boli. Ale wiem, że nie ma lekarstw – cierpię w milczeniu. Chciałabym jakoś zasnąć, ale nie da się. Tam, za oknem, po drugiej stronie ulicy, widać Krüppelheim I, jego wielki gmach. W niektórych oknach migocze światło. W niektórych świeci. Słysząc organy. To modlitwy wieczorne siostr z Krüppelheim I. Ciekawe, jaką pieśń śpiewają... Może bym ją знаła. Ale po ulicy jeżdżą jakieś wozy. Wiozą coś ciężkiego i grzechoczącego, wydaje się, że drżą nawet kamienne ściany Kolmarstiftu. Gdy wreszcie odjeżdżają, po drugiej stronie ulicy jest już cicho. Wyobrażam sobie siebie: teraz przygotowują się do snu. Czekałam, aż zgaśnie światło. Już! Jednak nie śpią, a pójdą pospacerować po ogrodzie. Po moim ogrodzie! Wyobraziłam sobie siostry Berthę Schwabe i Annę Rudek. Pierwsza jak śledek, druga jak beczka... Nie, nie mam serca do Anny Rudek. Dość wymęczyła mnie ze swoim pokojem i butami, których nie umiałam ani wypolerować, ani wyglansować. A siostra Bertha... Dziś wieczorem jeszcze nikt nie spytał, czy już znalazłam Jezusa... Nie jest mi do śmiechu, ale mam ochotę złośliwie zarechotać. Tylko nie ma nikogo, z kim mogłabym podzielić się myślami – swoimi, choćby nawet głupimi myślami – nie ma z kim się śmiać.

A noga boli.

Po drugiej stronie zgasły już wszystkie światła. Ciekawe, która może być godzina... Wiem, że w wieży gmachu Krüppelheim jest zegar. Pokazuje godzinę, ale nie jej nie wybija. I dopóki będę tu leżeć, nie dowiem się, która godzina. Lisa może zobaczyć... Nie, nie może: okno jest dość wysoko, zasłonięte. A wieża też jest wysoka. Trzeba byłoby otworzyć okno i mocno się wychylić. Ale Liza ledwo siedzi, więc nie ma o czym mówić.

Kukułka zakukała tak głośno, tak pięknie, zupełnie jakbym była w Vanagai, a ona, kukułka, w lasku sosnowym, koło Vilkasa albo Pozingasa. Ale pośpiesznie wchodzi siostra i zamyka okno, najwidoczniej po to, bym nie słyszała kukułki...

Sen skleił oczy. Nie mogę podnieść powiek. A w sercu czuję coś jakby żal, niczym wyrzut sumienia. Ale nie, nie to... Tęskno mi. Tęsknię? Za kim? Kogo ja znam! Może za tą samą siostrą Berthą, może za Franziską, a może za Emilią? Tak, za Emilią. Ona jest teraz taka samotna. W ostatnim czasie, gdy leżałam cały czas na oddziale, w jakiś sposób wyćwiczyła podnoszenie głowy i patrzenie na mnie. Mila nic więcej nie mogła dostrzec ze swojego łóżka, tylko mnie. Starła się nieco podnieść ciężką i dużą głowę. I widziała mnie, a ja widziałam jej szelmowskie oczy. Może dzięki temu czuła, że nie jest sama. Może dlatego tak wesoło śpiewała. Przecież inaczej nie umiała wyrazić swoich uczuć.

– Mila, moja Mila! Nikt już nie będzie się tobą zajmował. Nikt z tobą więcej nie pogada. Nikt z tobą nie zapłacze, nikt się nie zaśmieje. Ty jesteś sama... i ja sama...

Następnego ranka zaczyna się nowe życie. Nie ja myłam innych, ale to mnie umyło, to znaczy, przyniesiono mi do łóżka miednicę. Nie ja ścielę łóżka, ale to mnie pościelono. Kurze starte, podłoga umyta – wszystko robi siostrzyczka oddziałowa. I gdyby nie myśl o operacji, gdyby nie ten straszliwy strach, byłoby mi dobrze. Nie licząc głupiutkiej Labrencyté, wszystkie dziewczyny są rozsądne. Gdyby nie było bólu, mogłabym rozmawiać, plotkować, śmiać się. One są takie wesołe, a najweselsza – garbata Liza. Na śniadanie, jak w każdym anszalcie, kawa i bułka. Dostałam aż półtorej bułki. Wystarczyło.

W drzwiach widać poważną twarz Elisabeth. Przyszła z doktorem Rehbergiem. Znowu mnie pogłaskał, znowu jestem jego „Schafchen”. Ogląda nogę, szepcze z przeoryszą. Nic nie rozumiem. Słyszę tylko, że dziś sobota i że zaraz po świętach...

Racja, jutro Zielone Świątki! Czy mama dostała list? Na pewno dostała. Ale czy przyjedzie? Oczywiście, że przyjedzie. Ale musi znaleźć pieniądze na podróż. Pożyczy. Ale kto tam tyle ma! A przecież będzie chciała i to, i tamto przywieźć, i jeszcze zabrać ze sobą Anię. Czyli teraz obmyśla, skąd wziąć pieniądze. No, pewnie ojciec da. Jeśli ma. Nie, Ania pracuje teraz w cegielni, ma. Dziś jest w domu, robi masło, ciocia Dūdjonisowa robi ser. Ciocia Skrandysowa... prawda, ta jest daleko, mieszka w Mizeikiai.

Wszystko dobrze. Przyjedzie, na pewno przyjadą obie. Ale czy zdążą przyjechać przed operacją. Może... A tak chciałabym porozmawiać z nimi przed tym. Dlaczego oni tak strasznie się spieszą? Czy dlatego, że boli? Może. Ale przecież mówi się, że zawsze pytają o pozwolenie rodziców, jeśli rodzice żyją. Dlaczego nie mogą poczekać, aż mama przyjedzie?

– No, może poczekają. – uspokajam się. – Nie, na pewno poczekają.

Pierwszy i drugi dzień świąt minęły pod znakiem zmartwień i strachu. Ach, ten okropny strach! Piękna pogoda, inne chore są wynoszone z łózkami na dwór, do słońca. Moje łóżko jest duże, korytarze wąskie – zostałam w środku.

Tęsknię. Przynieśli mi książkę do czytania. Wiadomo, umiem czytać, bardzo to lubię. Dostałam znowu bajki. W domu mało ich słyszałam, jeszcze mniej – czytałam. Są ciekawe. Ale nawet czytanie mnie męczy, ponieważ nie wszystko rozumiem.

Dość często słyszę, jak kuka kukułka. Zaczyna wydawać mi się podejrzana. Przecież tu nie ma żadnego drzewa w okolicy... A nie, jest – widzę. Ale wcale nie tak blisko, żeby kukułka... A czemu nie? Przecież w Vanagai tak samo kukały bliźiutko, w lasku. No tak, ale... tutaj jakoś zbyt często. Zaczynasz się przyzwyczajać do kukania, przywykasz, przestajesz się wsłuchiwać. No, dość o tym!

W drugi dzień świąt, po południu, do sali weszła Ida. Ma ze mną spędzać czas. Ale jest bardzo zła. Wcale nie chce ze mną rozmawiać. I nie robi tego. Może już się dowiedziała, że jestem Litwinką. Skoro tak, to nie nie trzeba się ze mną cackać. Przecież jestem taka sama, jak Urté Labrencytė.

A mnie się chce pobyć samej, poczytać książkę. Książka stała się bardzo ciekawa. Tam, na przykład, w jednym miejscu jest napisane: „Wenn der Grund der Gründe aller Gründe Grund wäre, ja, darni...”⁴⁶. Dalej jeszcze nie czytałam, bo weszła ta zawada, Ida. Tam jakaś filozo... nie, jak to powiedzieć... mądrość się kryje, trzeba ją jakoś wydobyć. Ale jak to zrobić, kiedy przysyłają ci taką „przeszkadzaczkę”. Rano czytałam bardzo wesołą historię o dziewczynie, która była „całkiem zwariowana”. Kiedy chciała powiedzieć „tak”, to zawsze mówiła „nie”. Znalazł się podobny chłopiec. Postanowił ją odwiedzić i spytać, czy jej się podoba. Powiedziała: „Nie, fuj, ty brzydału!”. Chłopak zrozumiał: „Tak, ty mi się podobasz”. No, krótko, jasno, wzięli ślub i jeśli nie umarli, to wciąż gdzieś tam żyją...

Kiedy tak się złościłam, znów zakukała kukułka. Tym razem zrobiła to dokładnie cztery razy i zamilkła. Ucichła, jakby jej nie było. Nie wytrzymałam, zaczęłam pytać Idę, gdzie jest ta kukułka.

– Schwarzwalduhr⁴⁷ – odpowiedziała krótko, ponuro. Zauważyłam, że wzruszyła ramionami, co było bardzo wymowne „Głupia i tyle”.

– A... – mruknęłam, jakbym wszystko rozumiała, chociaż niczego się nie dowiedziałam. Ale poczekajcie, zaraz się dowiem. Jedno już wiem, że to nie jest żywa kukułka. Dobrze. Chcę, żeby Ida wyszła, żeby się stąd wyniosła. Sto, tysiąc razy lepiej mi samej niż z taką zawadą. Co by tu zrobić. Nie umiem kłapać jęzorem. Grzecznych słów, żeby ją wyprosić, nie znam. I nie chcę znać. Jak ty mnie, tak ja tobie. Więc zawołałam:

– Ida, wyjdź stąd!

– Was?⁴⁸ – pyta Ida nie tyle ze złością, co ze zdziwieniem.

– Na dworze świeci słońce, ciepło, kukułka kuka. Tu jest zimno. Idź na dwór.

Ida pomyślała, pomyślała i zaczęła się śmiać.

– Jeśli umiesz się śmiać, to mi się podobasz – powiedziałam. – Ale nie chcę widzieć cię takiej jak... sieben Tage Regenwetter⁴⁹! – wydukałam, wspiąwszy się na wyżyny swojej niemiecczyzny.

⁴⁶ (niem.)

⁴⁷ Zegar szwarcwaldzki (niem.)

⁴⁸ Co? (niem.)

⁴⁹ Dosł. siedem dni ulewy, idiom – jak burza gradowa (niem.)

– Skoro tak, to i ja cię lubię. Dobrze, nie pójde na dwór.
I zostałyśmy przyjaciółkami.

MATKA

– Zähle, mein Evchen...⁵⁰

Skąd mam wiedzieć, co to znaczy! Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcą. Wcale nie chcę rozumieć. Ja tylko odczuwam – wielkie rozczarowanie, wielki strach. Jak odrętwiała, ale wciąż bardzo posłusznie, położyłam się na stole operacyjnym – i już. Czego oni jeszcze ode mnie chcą?

Matka w końcu nie przyjechała. A mnie nikt nie pytał, czy chcę, żeby mnie leczyli, czy nie. Nikt! Tylko siostra, która roznosiła śniadanie, oświadczyła rano:

– Eva nie dostanie śniadania.

Wszyscy – a raczej: wszystkie – w sali spojrzwały na mnie, i od razu zrozumiałam, dlaczego nie dostanę. Wtedy już miałam jakieś rozeznanie.

Weszła oberka Elisabeth i zaczęła mnie uspokajać:

– Dein Bein wird nur ein bischen knacksen⁵¹ – usłyszałam, i to by było tyle. Podobno wszystko ma skończyć się szybko. Podobno nic nie będę czuła. Tak mówią – przynajmniej ta Grete Petereit.

Dobrze, dobrze, niech sobie mówią, ale nie urodził się jeszcze taki, któremu bym mogła uwierzyć!

Ale teraz, kiedy tak leżę na stole operacyjnym, strach zaczyna powoli mijać. Na zawód/rozczarowanie zobojętniałam, nawet zapominam, że nie doczekałam się matki.

Jak szybko w tej głowie wszystko się zmienia!

Na nosie – którego nikt nigdy nie nazwał noskiem – miałam coś jak gdyby kanciasty kamyk – sączek, nieprzyjemnie uciskał grzbiet nosa.

Kilka razy chciałam to zrzucić, ale jedną rękę przytrzymuje mi sam doktor Rehberg, a drugiej jakoś nie mogę podnieść. Poddaję się. Siostry Auguste i Mina coś poprawiają, coś owijają, gdzieś cieknie woda, a nad moją głową, biała niczym łabędzica, stoi oberka Elisabeth, która wlewa do wspomnianego wyżej sączka coś bardzo nieprzyjemnego. Ten nieprzyjemny płyn – Bóg jeden wie, jak to się nazywa – przypomina mi krople Hoffmanna⁵². Czując ten smak, postanowiłam, że do końca życia nie wezmę do ust kropel anodyny na cukrze. Dawniej za nimi przepadałam, w przyszłości dotrzymam obietnicy.

Nagle zaczynam lecieć – lecę w kąt sali operacyjnej. Lecę z całej siły, z prędkością błyskawicy.

– Zähle, mein Evchen – znów słyszę głos oberki, docierający do mnie jak gdyby z odległego, szumiącego jak nigdy lasu: – eins, zwei, drei...⁵³

Po odliczeniu do dwudziestu zaczynam od nowa.

– Nein, mein Evchen, einundzwanzig, zweiundzwanzig...⁵⁴

Po wszystkim, o wiele później, kiedy przestałam już mieć bóle i znów umiałam się śmiać, siostra Mina opowiedziała mi, jak to, po odliczeniu do pięćdziesięciu i czterech, kategorycznie oświadczyłam:

– Dalej naprawdę nic nie ma – i wtedy zasnęłam.

Samo przebudzenie w łóżku jest przyjemne. Ale lęk, groza, które wcześniej opanowały mój umysł, tak szybko nie mijają, chociaż jest już po narkozie. Trwa otumanienie, jak od eteru i od chloroformu.

⁵⁰ Licz, moja Ewuniu (niem.)

⁵¹ Noga zostanie tylko troszeczkę nadłamana. (niem.)

⁵² Krople Hoffmanna, in. anodyna – mieszanina eteru tzw. „siarczanego” ze spirytusem, popularny środek uśmierzający ból. (przyp. tłum.)

⁵³ Raz, dwa, trzy (niem.)

⁵⁴ Nie, Ewuniu, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa. (niem.)

– Proszę jeszcze nic mi nie robić – słyszę swój własny głos – ciągle mam czucie.

– Już po wszystkim, Eva – to doktor.

– Naprawdę?

– Sprawdź sama, skoro nie wierzysz – chirurg bierze mnie za rękę i kładzie ją na jeszcze ciepłym gipsie.

Dopiero teraz strach i groza znikają, jak gdyby ich nigdy nie było, i ustępują miejsca radości. Cieszę się nie dlatego, że noga jest już prosta i że wyzdrowieję, o nie! Cieszę się z tego, że jestem żywa, ciągle jeszcze żyję! I będę żyć!

Dzięki, Boże!

Ktoś się zaśmiał, ktoś zapytał:

– Boli?

– Nie!

– Widzisz, a tak się bałaś.

I to niby koniec. Postanowiłam, że znów zasnę. Przecież tak dobrze jest spać, kiedy wolno, kiedy nic nie boli... I coś jak gdyby wygasło, coś się poruszyło. Jakieś ciepłe ręce... Jakaś długa podróż – powrót... Ktoś jęczy, ktoś płacze; gdzieś jakiś klakson, gdzieś jak gdyby kukułka z ... Ale to już mało ważne. Ktoś dotknął mnie ustami i szybko się cofnął. Jakaś kropelka... gorąca. Coś znajomego... Ktoś z pośpiechem ciągnie krzesło... Niech nie będzie tak trudno, niech tak nie chce się spać... niech tak nie ściska... niech...

Próbuję otworzyć oczy. Chcą się znowu zamknąć, ale teraz przynajmniej przejaśnia mi się w głowie. Podnoszę powieki i widzę... Widzę! Tylko tego zachwytu, tej nowej radości jakby nawet za...

Przy łóżku, w nogach, stoi Ania – Ania Dūdjonisów! Jest ubrana odświętnie, na czarno, ma białą jedwabną chustę. Widzę ten drogi, znajomy sposób wiązania chustki: jasne włosy i czarna aksamitna kokarda wyglądają tak pięknie. Ale twarz Ania ma bladą... Nie, nie po prostu bladą, tylko trupioblada. Widzę, jak oczy wywracają się jej białkami do góry. Upadnie!

Ale siostra szybko podsuwa jej krzesło, ktoś przynosi szklankę wody.

Tymczasem ja czuję, że moją lewą dłoń otula czyjaś ciepła i znajoma twarda dłoń.

Matka! Nie! Matka nie ma zamiaru zemdleć. Siedzi pomiędzy dwoma łóżkami. Między moim i tym, które przez cały czas było puste, a teraz... I teraz odechciewa mi się snu, chcę się zbudzić, chcę być przytomna, bo teraz się zaczyna... Ach, teraz się zacznie!

Matka też w odświętnej czerni i z jasną chustą. Patrzę na tę chustę i przypominam sobie, że ta jasna chusta zawsze pasowała do czarnych włosów i ciemnej cery matki. Ale nie to jest ważne, nie o tym myślę. Co prawda, trudno mi o czymkolwiek myśleć, bo wystarcza to, co się dzieje.

Przyjechała! Matka przyjechała i zobaczyła mnie w takim stanie. Płonę, całe moje ciało płonie, bo z nogi, z kolana rozchodzi się na całe ciało nieopisany ból. Cierpię i płaczę. A matka cierpi jeszcze bardziej. Ona widzi nie tylko mnie, widzi również dziewczynkę w łóżku obok.

Jeszcze nie znam tej dziewczynki. Widzę ją po raz pierwszy i wcale mnie nie obchodzi. Jej cierpienie mnie nie wzrusza, wystarczy mi własnego cierpienia. Tamta jest cała w gipsie, ma odsłoniętą tylko buzię i chyba jeszcze klatkę piersiową, po lewej stronie. Musieli założyć jej gips, kiedy się wybudzałam.

Dziewczynka jęczy, może nawet płacze, ale oczy zasłania gips, łez nie widać. Dziewczynka prosi o coś do picia. Mama wypuszcza moją dłoń, wychodzi, przynosi wodę. Ale nie wie, jak ją podać. Kolejna dziewczynka – poznaję głos Lisy – radzi, żeby wlewać po kropki łyżeczką. Dziewczynka chyba się uspokaja.

Teraz ja proszę o wodę, mama już niesie szklankę. Wtedy cała sala – wszystkie dziewczynki jednym głosem – woła:

– Nie wolno, nie wolno! Eva nie może!
– Dlaczego Eva nie może? – szłocha rozgniewana matka.
– Eva jest świeżo po narkozie, i to długiej – słyszę wyjaśnienia Grete. – Nie wolno w żadnym wypadku.

– A co z tą? – Mama wskazuje sąsiednie łóżko.
– Tej dziewczynki nikt nie usypiał. Mają jej zrobić gipsowy gorset. Z nią nic już się nie będzie działo.

– A dlaczego... – mama chyba chce o coś zapytać, ale nie wie jak.
– Nie rozumie pani? – słyszę Lisę. – Ma garb, prawie taki jak mój. I żeby przestał rosnać, zrobią jej gorset. Będzie musiała nosić go codziennie. Sama pani widzi. A Èvie nie dało się naprawić nogi bez usypiania. Za bardzo by bolało, nie mogłaby tego znieść/wytrzymać. Zresztą nikt nie robi takich rzeczy bez usypiania...

– Ze mną było tak samo – odzywa się Grete. Znów ściąga kołdrę, jak wtedy ze mnie, i pokazuje swoje zagipsowane, ale nadal bardzo pokrzywione nogi.

Widzę, że Ania znów straci przytomność. Wstaje i wychodzi z sali, podtrzymując się ścian. W korytarzu coś nagle szeleści, ktoś biegnie, uspokaja:

– Aber, aber, Frau...⁵⁵

Moja kuzynka, Ania Dūdjonisów, jest zbyt potężna i masywna, żeby zwracać się do niej „Fräulain”⁵⁶. Ale to nieważne, to, co dzieje się na korytarzu, nie ma znaczenia. Przecież wydarzył się cud – wybudziłam się z narkozy, a przy mnie jest matka. Czy może być coś lepszego, wspanialszego, bardziej interesującego? Czy może być większy cud...

– Mam trochę kościelnego wina – zaczyna opowiadać matka, która już doszła do siebie. Ile w końcu można płakać! Ja też próbuję być bohaterką.

– Pobiegłam do księdza Bleiweissa, pokazałam mu list od ciebie. Ucieszył się, że mają ci zoperować nogę. To właśnie była jego cicha nadzieja. Tylko nic nie mówił, bo widział, że my – rozumiesz – „zaparłyśmy się”. A tak, jak jest – mówi – jest bardzo dobrze. Że to zrządzenie boskie, po to, żeby cię wyleczyli... Ale ja w to nie wierzę. W naszych czasach nie ma cudów/ cuda się nie zdarzają. Powiedziałam mu to. A on milczał i zapytał, czym mam pieniądze na podróż. Miałam. Boże broń – od księdza brać pieniądze! Ojciec się nie sprzeciwiał, dał. Mówi: „Jedź”. I przejechałyśmy dziś w nocy. Nie, wczoraj wieczorem.

I jeszcze długo opowiadała, o Marysi, o Šauklisach i o wszystkich innych, i o czym tylko sobie przypominała. Chciała, żebym zapomniała o bólu, ale o tym nie da się zapomnieć, to niemożliwe.

– Mogłaby tak nie cierpieć! – to znów matka. Spoglądała na dziewczynkę w sąsiednim łóżku. – Ach, Boże, przecież jej zimno/musi marznąć! Wargi ma prawie białe. Ach, przecież gips już wystygł, musi być zimny. Ona ma rączki jak z lodu. Jak długo jeszcze będą ją tu męczyć? Przecież to jest piekło, ach, Boże, istne piekło! – nagle lament matki się urywa: – Ewuniu, dokąd ty trafiłaś! Gdybym tylko wiedziała, ach, gdybym wiedziała! – Matka płacze, płacze na cały głos. Płacze nade mną. Żal jej mnie, żal jej tamtej dziewczynki, żal jej Grete, żal jej Urtè, która, co prawda, cały czas śpi, jak gdyby działała na nią moja narkoza. Żal jej Lisy, która teraz, najwyraźniej dla efektu, „wpięła się” w swoją gipsową kolebkę. Matka wszystko to widzi. I dlatego, że jest prawdziwą matką, cierpi ze wszystkimi. Nie zamierza mdleć. I tylko jednego nie potrafi zrozumieć – tego samego, czego mnie nie udało się zrozumieć do samego końca – czy w całych Niemczech nie ma niczego, co choćby troszeczkę zmniejszyłoby taki ból jak mój? Najwyraźniej nie ma.

Wchodzi oberka, tłumaczy i uspokaja, że te bóle szybko miną, jutro już ich nie będzie. Trzeba cierpliwości.

⁵⁵ Ależ, proszę pani! (niem.)

⁵⁶ Panienko (niem.)

Matka nic jej na to nie odpowiada, tylko dalej swoje, tym razem po niemiecku, oberka może ją zrozumieć:

– Das ist Hölle, das ist eine Hölle!⁵⁷

I może oberka naprawdę ją usłyszała, bo nagle umilkła, odwróciła się do tamtej zagipsowanej dziewczynki i nakazała siostrze natychmiast ją wynieść do sali operacyjnej, na wycięcie czegoś. Zobaczyłam tę dziewczynkę wiele wiele tygodni później w domu dla rekonwalescentów, ledwie ją poznałam.

Tego samego wieczora mama i Ania wyjechały do domu. Ania nie mogła przestać mdleć, a mnie nic nie mogło pomóc. Pozostał mi piękny list Bleiweissa, pozdrowienia od Bleiweissowej i Ursuli, butelczyna z kościelnym winem, czekolada i cukierki. Za to ciasto, masło i ser powędrowały do kuchni Kolmarstiftu:

– Nie dla jednostki, tylko dla ogółu. „Komuna” – wyjaśniła mi siostra.

⁵⁷ To jest piekło, to istne piekło! (niem.)

DUCHY

Oczywiście, tamtej nocy nie spałam. Nie mogłam zasnąć. Jęczałam i płakałam już nie tylko dlatego, że bolała mnie noga, ale teraz także dlatego, że matka tak szybko odjechała.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby przyjechała sama, a nie z tą ciamajdą Anią, co nic tylko mdleje – złościłam się.

Siedzi sobie, siedzi, tylko patrz: już nieprzytomna.

Gdyby matka przyjechała sama, mogłaby nawet zostać tu na noc. A przecież ona by nie spała. Siedziałyby tuż przy mnie, przy moim łóżku. Byłoby mi łatwiej, lepiej. Nie czułabym takiego bólu.

A tu masz – ta Ania... Obie nie mogłyby przesiadywać przy moim łóżku. A kto da nocleg dla dwóch osób. Trzeba by było wprosić się do Krüppelheim I. Tam – widziałam na własne oczy – był jeden pokój gościnny z dwoma łóżkami. Ale nie, Ania uparła się, żeby wracać do domu. Że nie zniesie tego wszystkiego...

No, sama widziałam, jak wywraca białkami oczu.

Tamtej nocy przypadał dyżur siostry Ottilie. Podobnie jak pozostałe siostry, które dyżurowały w Kolmarstifcie, była z Kinderhilfe. Widziałam ją po raz pierwszy. Z początku nie byłam z niej zadowolona, bo z wyglądu przypominała mi Anię Dūdjonisów, która właśnie wyjechała do domu. Tak samo duża, masywna, z tak samo dużą, masywną twarzą o niemałym nosie. Tylko welon nieco zacierał to podobieństwo.

Siostra Ottilie zaglądała do mnie często. Z przewieszonym przez ramię zegarem kontrolnym, z lampą naftową w ręce.

Za każdym razem dawała mi po łyżeczce wody, przyglądała się śpiącym i wychodziła.

Nagle, zdyszana, jak gdyby uciekała przed pościgiem, siostra Ottilie znów wpadła do naszej sali. Wtedy już zaczynałam drzemać i to nie było nic przyjemnego, tak się nagle obudzić, można powiedzieć – wystraszyć. Bo wbiegła z wielkim hałasem.

– Co się stało, tante Ottilie? – zapytałam zdziwiona, a nawet rozzłoszczona. – Ledwie uda się zmrużyć oczy, a tu znów człowieka budzą.

– Nic takiego, Eva. Śpij.

– To dlaczego siostra tak biegnie?

– Wcale nie biegnie – broni się Ottilie. – Słyszałaś, żebym biegnie? Coś podobnego!

– Nie, niech się siostra nie wykręca. Siostra naprawdę biegnie przez calutki korytarz. Jakby tabun koni siostrę gonił. I zdawało mi się...

– Co, co takiego ci się zdawało? – tante Ottilie chyba się gniewa. – Sama widzisz, wszystkie śpią, tylko ty jedna masz jakieś majaki. Co prawda, jesteś tuż po operacji, nie możesz spać. Jutro już poczujesz się lepiej. Będiesz spała jak zabita. Teraz też spróbuj się zdrzemnąć. Ja tu posiedzę, przy tym stole. Posiedzę sobie cichutko i popracuję. Będę szyła, może poczytam książkę.

Ale nie usiadła przy stole, tylko podeszła do mnie i usiadła na znów pustym łóżku obok. Tak, tak, byłam tego pewna, wcale nie chciała, żebym zasnęła. Zresztą i tak bym nie zasnęła. Bóle wróciły. Ale łatwiej znieść ból, kiedy ktoś jest obok ciebie. Zaczęła wypytywać mnie o chorobę, jak to się stało, że mam taką nogę, i tak dalej. Opowiedziałam jej wszystko, co sama wiedziałam, i dodałam, że była dziś u mnie matka, i że przywiozła mi kościelnego wina. Tylko że mi jeszcze nie pozwalają...

– A dlaczego nie pozwolili? Kto ci nie pozwolił? Przecież miałaś operację nogi, a nie brzucha... Gdzie to wino? Zaraz ci podam. – I siostrzyczka Ottilie zaczęła się wokół mnie krzątać. Teraz poila mnie nie tylko wodą, ale i winem. Niedużo było tego wina, ale zawsze.

– Jutro będziesz mogła więcej. Teraz tyle wystarczy. – Siostrzyczka Otilie znów starannie zakorkowała butelkę i niemal z czcią, jak jakąś relikwię, odstawiła ją w kąt szafki, żeby nikt nic nie zauważył. Potem potrząsnęła poduszkę, wygładziła kołdrę. Sprawdziła, jak jest ułożona zdrowa noga, wymacała puls, przyniosła z szafy termometr. Czułam, że nie mam gorączki, że nie trzeba nic mierzyć. Ale niech sobie mierzy, skoro sprawia jej to przyjemność.

Wtedy nie rozumiałam jeszcze, nawet przez głowę nie przemknęło, skąd ta nagła troska o mnie. A okazało się, że to wszystko – dzięki kościelnemu winu, dzięki księdzu, który tak się o mnie troszczył, że aż kościelne wino mi przesyłał. Widocznie musiałam być „ważnym” pacjentem...

– Pięta nie boli?

– Nie, to nawet pięta powinna boleć? Ale za to wino – pyszne. Da siostra jeszcze – dopraszałam się.

I rzeczywiście, dostałam kilka kropli prosto w usta. Tak mi dobrze, tak dobrze. Dlatego, że ona tu jest ze mną, dlatego, że jest taka podobna do Ani Dūdjonisów, dlatego, że tak się o mnie troszczy, dlatego, że daje mi tego wina, po kropelce. Ale to nie znaczy, że zapomniałam, jak przerażona była, kiedy tu wpadła.

Żeby nie zasnęła, siostrzyczka Otilie zaczęła mi pokazywać konstrukcję zegara kontrolnego. Niedużo tam było do oglądania. Taki owalny przedmiot, cały w czarnej skórzanej obudowie. Zamknięty na amen. A w środku coś tyka, jak w prawdziwym zegarze – w budziku. Można by powiedzieć – nie tyka, tylko stuka, bez przerwy. I w jednym miejscu jest taka ledwie widoczna dziurka. Wkłada się do niej kluczyk i co pół godziny nakręca. Siostrzyczka Otilie mówiła o tym „spikken”.

– Die Kontrolluhr muss jede halbe Stunde gespickt werden⁵⁸.

– Po co? – zainteresowałam się.

– Po to, żeby nie zasnęła. Każdego ranka otwierają pokrywę i sprawdzają, czy zegar rzeczywiście był nakręcany co pół godziny.

Teraz czas mijał mi szybciej, i nie wiem, ile razy, ale na pewno dużo było tych „szpiknięć”, kiedy siostra Otilie siedziała przy mnie.

I dopiero pod koniec dowiedziałam się wreszcie, dlaczego wbiegła z takim impetem do sali i dlaczego teraz tu przesiaduje. Przez cały czas miałam to pytanie na końcu języka, aż wreszcie je zadałam. I dostałam odpowiedź:

W Kolmarstifcie straszy!

– Co? W Kolmarstifcie straszy? Czyli są tu duchy? – Czuję, jak włosy stają mi dęba, jak twarz drętwieje, krew szumi gdzieś czy nawet zastyga w żyłach – kto to może wiedzieć!

– Tak, w Kolmarstifcie straszy – zaczyna opowieść siostra Otilie. – Wiedziałam o tym od dawna. Wiedzą wszyscy w Kinderhilfe, w Genesungsheim. Ale nic nie można na to poradzić. Musimy wszystko znosić, wszystko przetrwać. Przecież jesteśmy siostrami Czerwonego Krzyża. Nie wolno nam się bać. Ale i tak się boimy.

– Co siostra widziała dziś wieczorem? – oto mój palący problem. Mój Boże. Wiadomo, ja też się boję. Ale przez całe swoje życie (wcale nie takie krótkie – mam już piętnaście lat!) czekałam na taki moment – a raczej: chciałam zobaczyć od środka dom, w którym naprawdę straszy. I oto – nieoczekiwanie mieszkam w takim domu... Zapomniałam o operacji – to nie miało teraz znaczenia, operacja znalazła się teraz na ostatnim miejscu, w ostatnim rzędzie. Teraz liczą się duchy! Boże, jakie to ciekawe! A co z moimi bólami? Jakimi bólami? Nie ma żadnego bólu!

– A co siostra widziała? – powtarzam pytanie, bo siostrzyczka zaraz umilknie, przynajmniej na to się zanosi.

– Nie widziałam, tylko słyszałam.

⁵⁸ Zegar kontrolny musi piknąć co pół godziny. (niem.)

– Co siostra słyszała?

– Nie chcę ci teraz opowiadać – kryguje się siostra Ottilie – później sama będziesz się bała. Albo wygadasz. Oberka nie może wiedzieć o tym, co ci opowiedziałam.

– Nikomu niczego nie powiem – obiecuję, jak pod przysięgą. Widzę zresztą, że sama chce mi wszystko powiedzieć.

Było tak: siedziała sobie spokojnie w jadalni sióstr. Nagle usłyszała – a ty niczego nie słyszałaś? naprawdę nie? – nagle usłyszała, jak z piętra po schodach z przeraźliwym hałasem stacza się coś, jak beczka, i odbija od drzwi korytarza. A ponieważ tam nie mogło być żadnej beczki (magazyn na piętrze jest zamknięty na klucz), pomyślała, że może to któryś z chłopców – w małej sali na piętrze leży trzech – zaspany, wyszedł i spadł ze schodów. Dlatego pobiegła na pomoc. A tam – nikogo nie ma. Wbiegła na piętro – dzieci śpią sobie w najlepsze. Ale kiedy wracała do jadalni, wyraźnie słyszała, że ktoś za nią idzie. Odwraca się – ani żywej duszy. (Boziuniu, jakie to ciekawe!). Wtedy, wiadomo, już się naprawdę złąkła. Weszła do jadalni i zamknęła drzwi. Aż tu nagle ktoś szarpie za klamkę – z taką siłą, że drzwi się otworzyły. Na oścież. Tak! Ona, cała drżąca, znów zamknęła drzwi i znów miała usiąść przy stole, kiedy przerażający łomot przeszedł po klawiaturze pianina tak, że aż całe pianino się zatrzęsło.

– A przecież pianino też jest pod kluczem. Wtedy zrozumiałam, co to było.

– Co takiego? – zapytałam jak głupia.

– Zrozumiałam, że tu są duchy. Jasne? Nie mogłam tam dłużej usiedzieć, chwyciłam zegar kontrolny i lampę, wybiegłam... A teraz znów powinnam iść na piętro – tam też leży chłopiec po operacji – i przejść przez cały ten korytarz, ale ja tam więcej nie pójdę. Nie mogę. Niech się dzieje, co chce. Niech mnie wyrzucą.

– Tante Ottilie, kto by siostrę wyrzucal – i to przez coś takiego! Niech siostra idzie!

– Oberin Elisabeth jest bardzo surowa, a tante Frieda jeszcze surowsza. Ale ja się boję, i basta.

To szalenie interesujące! Dlaczego właśnie w tamtym momencie musiałam drzemać i nic nie słyszeć? A tak chciałoby się usłyszeć...

– Tante Tili, a powie mi siostra, dlaczego tu tak straszysz?

– Naprawdę nie wiesz, dlaczego?

– Nie, skąd miałabym wiedzieć? Przecież jestem tu od niedawna.

– Po pierwsze, tutaj kiedyś była komórka⁵⁹. Pewnie ktoś ssię tu powiesił albo podciął sobie żyły. Ale to jeszcze nic takiego. Po drugie... Na... nie powiem.

– Niech siostra powie, tante Tili, bardzo proszę. Przecież mówiła, że nikomu ale to nikomu...

– W sali operacyjnej jest kościotrup. Najprawdziwszy ludzki szkielet! Kiedy Oberin Elisabeth wchodzi do swojego pokoju, każdego wieczoru słyszy, jak w jej ścianę stuka koścista ręka. Z sali operacyjnej... Nie patrz tak na mnie... Eva, co się z tobą dzieje? Co ci jest? Może zawołam...

– Nie, to nic takiego. Tylko tak sobie myślę... Przecież tutaj, za ścianą... to ta sama...

– nagle boję się wypowiedzieć słowo „operacyjna”, kiedy już wiem, że tam jest kościotrup.

– Tak, ta sama sala operacyjna... – powtórzyła siostrzyczka.

Noc jest długa, zupełnie nie chce mi się spać. Poza tym, czuję, że powinnam czuwać razem z Ottilie. Ona jest taka młoda. Kto wie, czy nie młodsza od Ani Dūdjonisów. Jak tu ją zostawić samą na pastwę duchów!

I teraz już obie trzęsiemy się ze strachu. Co jakiś czas, ciągle w tym strachu, nastawiam ucha, czy nie usłyszę stukania w ścianę albo jakiejś staczającej się z piętra beczki, czy nie... Ale nic więcej się nie wydarzyło.

⁵⁹ niem. dial. Schune (przyp. tłum.)

Szkoda, że już jestem po konfirmacji i że mam – jak wiadomo – aż piętnaście lat. Duchy mogą mi się ukazywać. Dzieci przed konfirmacją nie widzą duchów, tak mi kiedyś tłumaczyła Bertaitisowa–Tabaleikisowa. A przecież ona wie z doświadczenia...

– Całe szczęście – mówi siostra Otilie – że w Kinderhilfe jest nas więcej, nie trzema tak często samej dyżurować w Kolmarstifcie. Przecież od tego można postradać zmysły.

– To inne siostry też spotkały duchy?

– Nie wszystkie o tym gadają. Zresztą, nie każdej nocy straszy. Mnie dzisiaj przytrafiło się to po raz pierwszy. W ubiegłym tygodniu z jedną siostrą było podobnie, dlatego... W Genesungsheim też straszy. Siostra Helene opowiadała...

WYŻSZE SFERY

W Kolmarstifcie przeleżałam ponad sześć tygodni. Co do duchów... Co noc czekałam na szelesty, chroboty, stukanie, ale czy to moja confirmacja nie zadziałała tak, jak powinna, czy to za szybko zasypiałam i spałam – jak to mówią – „snem sprawiedliwych”... W każdym razie – nic więcej się nie wydarzyło. Siostry dyżurujące nigdy więcej mnie nie budziły. Zrobiło się strasznie nudno, bo nic szczególnego się nie działo. A nie – jednak coś się stało. Stało się to, że znów mnie wywyższono – choć na krótko – w oczach innych.

Pewno wczesnego ranka oberka Elisabeth wyjechała na urlop. Drzwi naszej sali były otwarte, może specjalnie ktoś tak je zostawił. Widziałam, jak nasza oberka na pożegnanie siostrzyczkom i służącej z kuchni podsuwa dłoń w czarnej jedwabnej rękawiczce. A one, zginając kolana, bardzo nisko się kłaniając, całowały tę urękawiczoną rękę.

Nie mogłam się nadziwić: całować komuś dłoń, i to jeszcze w rękawiczce!

Oberka wyjechała, i niemal w tym samym momencie zobaczyłam... zobaczyłam... Okulary, broda – znajome do bólu. Ale wtedy drzwi sali się zatrzasnęły, a ja zapadłam w drzemkę. Zdążyłam jeszcze sobie pomyśleć, że podobnie jak to całowanie rękawiczki, tak i te złote okulary i broda, musiały mi się przyśnić.

Potem przyniesiono śniadanie, a wtedy... Nie, to nie była senna mara.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Oczywiście, żadna z nas nie powiedziała „herein”⁶⁰. Przecież nie byliśmy zwyczajnie takich uprzejmości. Nikt nigdy nie pukał wchodząc do nas. Drzwi otworzyły się jak gdyby same i wszedł, naprawdę wszedł ksiądz Bleiweiss.

To było wydarzenie. Cały Kolmarstift jak gdyby zamarł – zapadła taka cisza. Bleiweiss przywiózł pozdrowienia od matki, pozdrowienia od Ani, która została już przewodniczącą kościelnego stowarzyszenia dziewcząt (jaki zaszczyt!). Mówił, że ma urlop i pojedzie do Rosenthalu, gdzie mieszka mój patron. Wreczył mi jako upominek tabliczkę czekolady i zdjęcia kościoła w Vanagai.

– A paczuszkę, którą przywiozłem, przecież już dostałaś?

– Teraz? Dziś rano? – zdziwiłam się.

– No tak, dziś rano raz już u ciebie byłem. Przyszedłem prosto z pociągu. Ale było za wcześnie, więc mnie nie wpuścili. A tamten pakunek – dała mi go Anie, kiedy wyjeżdżałem, poleciłem, żeby ci przekazali.

– Nie, księżo pastorze, niczego nie dostałam.

Co to był za widok! Bleiweiss zerwał się na równe nogi, jednym skokiem wypadł na korytarz, i już po chwili wrócił z paczuszką w rękach. Była rozerwana i przejrzana. Robota siostry kuchennej.

– Spójrz, czy wszystko na miejscu.

Nie wiedziałam, co mi zapakowano, ale powiedziałam, że chyba jest wszystko. Najbardziej zależało mi na złotym serze i na maśle, a to było nienaruszone.

– Nie oddawaj tego, tylko trzymaj tutaj, w sali. Musisz nabrać sił.

Bleiweiss zabawił niedługo, może dwadzieścia minut. Ale o tym, że Evę Simoneit odwiedził ksiądz, dowiedziały się wszystkie anształty. A oberka z Kinderhilfe, która zastępowała naszą oberkę, zwróciła na mnie łaskawą uwagę. Kiedy przyszła wieczorem na obchód, postąpiła przy moim łóżku nieco dłużej i opowiedziała mi swój sen...

Następnego wieczoru, później, już po kolacji, kiedy przygotowywałam się do snu, drzwi otworzyły się bez żadnego pukania i pojawiła się w nich czarna postać z białą brodą:

– Która z was to ta Evchen von Wannagen?

– Hier!⁶¹ – podniosłam obie ręce, w przed chwilą lewde włożonej koszuli nocnej.

⁶⁰ Proszę wejść (niem.)

⁶¹ Tutaj! (niem.)

– Aha, guten Abend!⁶² – drzwi znów się zamknęły i zjawa zniknęła.
– Kto to mógł być? – zaciekwiliłam się.
– Nie wiesz? – strasznie zdziwiła się Lisa. – To ty go nie znasz? To był ksiądz biskup Braun, ojciec anształtów.

Przybiegły siostrzyczki, złąknione, przejęte. Zdążyły tylko zobaczyć, jak zniknął za drzwiami, i tyle.

– Co mówił, czego chciał ksiądz biskup?

– Nic takiego – powiedziała wyniośle – chciał tylko mnie zobaczyć. – Próbowałam odchrząknąć uroczyście, tak, jak robiła to czasami moja matka. Niestety, nie wyszło mi.

Rok później, kiedy wydano nową książeczkę „Kreuz und Liebe”⁶³, znalazłyśmy w niej istny romans o takim oto tytule:

„Ein Pfarrer aus Litauen und das Evchen von Wannaggen”⁶⁴.

Więc ksiądz z Litwy był z wizytą u niego, u biskupa Brauna. Trzeba tu przypomnieć, że w tamtych czasach sami Niemcy Litwą nazywali nie tylko tereny wokół Kłajpedy, ale również większą część Prus Wschodnich, chyba aż do rzeki Dejmy. Ale ten ksiądz z Litwy chciał odwiedzić nie biskupa, tylko tę Evchen von Wannaggen, swoją parafiankę.

– „Oświadczyłem mu, że zaprowadzę go tam, gdzie ona przebywa, ale najpierw chcę pokazać mu swoje anształty, na których utrzymanie i on łoży, przekazując datkki ze swojej parafii. Powiodłem go zatem przez dom starców i pokazałem mu, jacy są tu spokojni i szczęśliwi, ci staruszkowie, i z jaką tęsknotą i wiarą oczekują oni zmiżchu swego żywota”.

– Und wo ist das Evchen?⁶⁵ – takie było jego pytanie.

– „Proszę poczekać, znajdziemy i ją”. – I tak go oprowadzałem, pokazałem mu dom inwalidów, warsztaty. Pokazałem mu cuda prawdziwe: jednorękich i bezrękich wykonujących w cudowny sposób przeróżne dzieła... Ale on z wielką nieciepliwością spieszno było do tej Evchen von Wannaggen.

– „Proszę o cierpliwość. Proszę o cierpliwość. – mówię. I zaprowadziłem go do Krüppelheim I, potem do Krüppelheim II. Jego oczy jednak ciągle wypatrywały czegoś w oddali... Wtedy przyprowadziłem go do Kolmarstiftu. Jakże poruszające było ich spotkanie!

– Herr Pfarrer, lieber Herr Pfarrer!⁶⁶ – schluchzte das Evchen von Wannaggen.

– Evchen, mein liebe Evchen! – rief der Pfarrer aus Litauen. Und sie umarmten sich...”

Nie chcę twierdzić, że biskup Braun z Angerburga był kłamcą. Słowo to jest obraźliwe i niestosowne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że dzięki staraniom biskupa i dzięki takim opowiastkom setki ludzi miały tam dach nad głową i kawałek chleba, czasem nawet coś do chleba.

Nie, Hermann Braun, biskup Angerburga, był – poetą.

⁶² Dobrego wieczoru! (niem.)

⁶³ Zob. przypis 147.

⁶⁴ Ksiądz z Litwy i Ewunia z Vanagai (niem.)

⁶⁵ A gdzie to jest Ewunia? (niem.)

⁶⁶ Księżę pastorze, kochany księżę pastorze – łkała Ewunia z Vanagai. (niem.)

RÓWNA WŚRÓD RÓWNYCH

Leżałam długo, zdążyłam przeczytać mnóstwo bajek. Ale nadszedł czas na zdjęcie gipsu, a wtedy już pozwolono mi chodzić. Oczywiście, chodziłam, mimo że musiałam opierać się na dwóch kulach. To nic. Znow oglądałam słońce, prawie jak w Vanagai. Nie było sosen i brzóz, ale za to były nieopisanie piękne – przynajmniej mnie się tak wydawało – klomby, rabaty z przeróżnymi kwitnącymi kwiatami. Takie klomby i takie rabatki widziałam po raz pierwszy w życiu, więc przyćmiły mi nawet sośniaki Vanagai.

Wystarczyło przejść trzydzieści, może czterdzieści kroków i oto park Krüppelheim II, czyli – jak tu zwykle mówią – Kinderhilfe. Może niezupełnie park, bo miał stosunkowo niewielką powierzchnię. Za to było tam dużo drzew i trawników. Tylko że po tych trawnikach nie wolno było chodzić, one były tylko dla ozdoby. Zresztą, kto miałby po nich chodzić.

Mnie ten park kusił, tylko nie miałam śmiałości tam spacerować. Nie należał do Kolmarstiftu. A ja pamiętałam jeszcze z Krüppelheim I, że nie wszędzie i nie wszystko jest dla wszystkich. Na przykład, nasz ogródek był tam, obok oddziału dla idiotów.

Ale poczekaj: z parku dobiega pokrzykiwanie małych dzieci, może nawet piosenka, chociaż zaśpiewana niezupełnie równo, bez harmonii – na próżno szukać tu harmonii... Tak, przyjemnie, jakoś znajomo brzmi:

Kommt ein Vöglein geflogen,
Setzt sich nieder auf meinen Fuss.
Hat einen Zettel im Schnabel...⁶⁷

Ale druga grupa śpiewa coś zupełnie innego:

Barbuschke, Barbuschke, flieg auf, flieg auf,
Dein Häuschen brennt.⁶⁸

Pierwsza grupa jednak zdobywa przewagę i zakrzykuje drugą, jeśli można tak powiedzieć:

... Von der Mama einen Gruss.
Liebes Vöglein, fliege weiter,
Nimm den Gruss und den Kuss,
Denn ich kann dich nicht begleiten,
Weil ich hier bleiben muss.⁶⁹

Zrobiło mi się jakoś smutno. Czy oni rozumieją, o czym śpiewają? Raczej nie: kończą piosenkę z radością. A ja, mimo że nawet nie doszłam do nich, odwracam się i idę do łóżka.

„Weil ich hier bleiben muss...”

⁶⁷ Leci ptaszek fruwa

Ląduje mi u stóp

W dziobie trzyma liścik... (niem.)

⁶⁸ Biedronko, biedronko, wznies się, wznies,

Twój domek płonie (niem.)

⁶⁹ ... Pozdrowienia od mamy.

Miły ptaszku, leć dalej,

Zanieś uścisk i pocałunek,

Nie mogę lecieć z tobą

Tutaj zostać muszę.

I oto pewnego dnia wyszłam z domu, zapominając o swoich kulach. To „zapomnienie” było zaplanowane i może nieco przedwczesne. Ale – idę i czuję, że jestem w stanie iść. Cud. Widzą siostry, widzą dzieci, że chodzę bez żadnych podpór, ale nikt się nie dziwi. Wydaje się, że tak należy. Otwiera się furka w wysokim ogrodzeniu, wchodzi doktor Rehberg:

– Na, man los, Eva! Das ist aber fein! So!...⁷⁰

Jestem już „dużą dziewczynką”, ale i tak głaszcze mnie po głowie, dopiero potem odchodzi do Kolmarstiftu.

Skoro tak, to ja też już pójdę. Ciekawi mnie ten park Kinderhilfe. Ciekawią mnie tamcy śpiewacy. I oto co widzę. Na obrzeżach, między placem Kolmarstiftu i parkiem Kinderhilfe, urządzono szalasy, cztery, może nawet pięć. Są oddzielone tylko rozłożystymi drzewami czy krzewami – to właśnie ich gałęzie tworzą te cudowne altany. Nawet się nie zorientowałam, kiedy doszłam aż do śpiewających dzieci. Zatrzymałam się i patrzę. Dzieci siedzą na maleńkich krzeselkach albo leżą na dziwnych, składanych łóżeczkach. Kilkoro dzieci jest ślepych. Kilkoro ma rączki takie dziwne, że nie przypominają rąk. Zwróciłam uwagę na jedną dziewczynkę. Miała zrosnięte paluszki, pomiędzy nimi – błonę, jej rączki przypominały gęsie łapki. Nie widziałam nóg tych dzieci, ale miałam wrażenie, że żadne nie jest w stanie chodzić. Ale wcale się tym nie martwiły – usłyszałam, jak znów podśpiewują wesoło:

Meister Jakob, schläfst du schon?

Hörst du nicht die Glocken lauten bimm, bamm, bumm!⁷¹

Czy mnie nie przerażały? Czy nie budziły we mnie obrzydzenia?

O, nie! Dawno już zmańdrałam. Wszyscy jesteśmy równi. Kiedy byłam w ich wieku, miałam zdrowe ręce, zdrowe ciało, a nogami władałam tak słabo, jak te dzieci. W pewnym momencie pomyślałam sobie: co się z wami stanie, kiedy podrośniecie, kiedy będziecie w moim wieku? Czy będą was leczyć jak mnie, czy może... A jak mieliby was wyleczyć z gęsich łapek?

Było to coś w rodzaju złołka. Opiekunka, a może nauczycielka – prawdziwa grubaska – próbowała nauczyć dzieci śpiewania w kanonie. Grupka śpiewa początek, inni – środek, a jeszcze inni powtarzają „bim, bam, bom”, co, oczywiście, najbardziej im się podoba.

Inne szalasy były puste, bo starsze dzieci przebywały w tym czasie w szkole, która tutaj, podobnie jak w Krüppelheim I, jest podzielona na klasy. Tak, wszyscy muszą umieć czytać, pisać, liczyć. Tylko idiotów nie można niczego nauczyć. Kto nie jest idiotą, musi się uczyć. Nagle rozlega się gong. Robi się zamieszanie, i oto już pierwsze dzieci kuśtykają naprzód, zajmują swoje miejsca. Inne są przynoszone, sadzane albo kładzione.

Z kuchni rozchodzi się zapach obiadu.

Odwracam się, żeby wrócić do domu, i boleśnie się przekonuję, jak bardzo się pomyliłam, zostawiając kule gdzieś przy łóżku. Ból i jakieś osłabienie wyczerpały mnie tak bardzo, że ledwo dowlokłam się do łóżka, położyłam się ostatkiem sił.

„Weil ich hier bleiben muss...”

Ale tego samego dnia wyfrunęły listy do Vanagai.

„Dziś po raz pierwszy wyszłam na spacer bez kul. Nigdy więcej nie wezmę ich w ręce. Teraz naprawdę widzę, że wyzdrowieję. O, mateńko! Czy to nie powód do radości?”

Podobny list, oczywiście, dostanie ksiądz Bleiweiss.

⁷⁰ Naprzód, Eva! Wspaniale! Tak... (niem.)

⁷¹ Panie Janie, panie Janie, pora wstać.

Wszystkie dzwony biją: bim, bam, bom! (niem.)

W nocy śnię. Śnię, że idę przez wieś Vanagai, mijam Šauklysów, mijam Sudmantasów – idę w stronę Dūdjonisów. Ale idę z wielkim trudem, podpieram się laskami. A z parku dobiega piosenka dzieci:

„Weil ich hier bleiben muss...”

Aż pewnego pięknego dnia wyruszyłam do Genesungsheimu. Genesungsheim znajdował się nie dalej niż śliczne altany parku Kinderhilfe. Wiedziałam, że w końcu tam trafię, i to na dość długo, więc nigdy nie kierowałam swoich chwiejnych kroków w tamtą stronę.

Zresztą nie było tam niczego, co mogłoby przyciągnąć wzrok albo wzbudzić ciekawość. Nie było widać żadnych drzew, żadnych krzewów, żadnych kwiatów. Prowadzącą do Genesungsheimu ścieżkę wzdłuż płotu obsadzono słonecznikami. Budynek Genesungsheimu było widać z Kolmarstiftu – nie był ani bardzo duży, ani bardzo mały. Po obu stronach przylegały do niego pawilony, z jedną ścianą otwartą, ale kryte dachem, do tego jeden osobny domek, do którego – tak mówiono – po pewnym czasie trafiali wszyscy, którzy przeżyli operację. Mieli tam się gimnastykować, bo to tam były wszystkie potrzebne urządzenia, czy raczej – jak raz powiedziała Ida – Marterinstrumente⁷²... Mówiąc między nami – muszę to wyznać – ja tego domku gimnastycznego panicznie się bałam. Tylko pomyślcie: a jak zaczną mi tam nogę naciągać? To był ten najważniejszy powód, który mnie odpychał od Genesungsheimu. Kiedy już mi powiedzieli, że czas tam się przenieść, serce ścisnęło mi się z przerażenia.

Pozbierałam swoje manatki, których wówczas nie było dużo, i ruszyłam za siostrą. Oczywiście, nie o kulach, bez laski, z samym tylko gipsem. A dopóki noga w gipsie, domek gimnastyczny niestraszny.

Każdy, kto wybierał się do Genesungsheimu, musiał wiedzieć o pewnej rzeczy, mnie już wcześniej oświecono.

Była taka dziewczynka – Auguste Stegemann, wielki autorytet Genesungsheimu. Mieszkała tam od dawna i wszyscy ją bardzo szanowali. Jeśli ona wejrzy na ciebie łaskawym okiem, to znajdziesz przychylność u wszystkich mieszkańców Genesungsheimu. Ale jeśli spojrzy na ciebie z ukosa, przez ramię – to sama wiesz...

Auguste Stegemann wejrzała na mnie łaskawym okiem. Kiedy tylko mnie zobaczyła, zwróciła się do mnie po imieniu i uśmiechnęła się. Wtedy uśmiechnęły się wszystkie pozostałe dziewczynki. To znaczyło bardzo dużo.

Chłopcy się nie liczyli.

Z Auguste zaprzyjaźniłam się w okamgnieniu. Naszej naglej zażyłości sprzyjało to, że ona leżała w wózku, a mnie pozwolono go pchać. W ten sposób – kiedy ją woziłam, sama opierałam się na wózku – zaczęłam coraz sprawniej chodzić. Z każdym dniem czułam się lepiej, przybywało mi sił.

I tak pchając wózek autorytetu Genesungsheimu, poznałam historię jej choroby, strasznej choroby.

Rodzice Auguste byli najemnymi robotnikami rolnymi. Mieszkali we dworze gdzieś pod Insterburgiem. Auguste była zdrową, silną i pełną energii dziewczynką. Od kilku lat uczęszczała już do szkoły. I oto, pewnego dnia – była to zima – wracając ze szkoły, postanowiła przeskoczyć rów przy szosie. Nie wiadomo, czy chciała skrócić sobie drogę do domu, czy po prostu skakała dla zabawy, żeby pokazać, co potrafi. Pokazać sobie, nie innym – nikt nie patrzył.

Ach, nie wiedziała, że ten rów jest nie do przebycia – szeroki i głęboki. Nawet się nie spostrzegła, a już w nim tkwiła, w śniegu po brodę. Nogami wciąż nie sięgała gruntu. Nie miała ani od czego się odepchnąć, ani czego się przytrzymać. Tymczasem robiło się coraz

⁷² Narzędzia tortur (niem.)

zimniej, w końcu przemarzła tak, że nie była w stanie krzyknąć, a co tu dopiero marzyć o poruszaniu się.

Kiedy ją w końcu wyciągnęli, była nieprzytomna. Nie pamięta, co działo się później. Po dość długim czasie odzyskała świadomość – wtedy się dowiedziała, że jest sparaliżowana.

Ojciec i matka codziennie wychodzili do pracy, do dworu, a ona leżała na swoim posłaniu, sama samiuteńka, z bezwładnymi rękami i nogami, nie będąc w stanie nawet poruszyć głową. Przeleżała tak wiele lat. W nieopisanym bólu i męczarniach. A jej stan wcale się nie poprawiał. Nie było nadziei, że wyzdrowieje. Raz czy dwa zawieziono ją do doktora. Ten potrząsnął głową i poradził, żeby więcej jej nie fatygować/ męczyć.

Aż pewnego razu przybiegł ksiądz proboszcz (wyobraziłam sobie, że był podobny do naszego pastora Mehlhorna) z nowiną: oto tam, wcale nie tak daleko, jest taki Angerburg, gdzie przyjmują obłożnie chorych, jak Auguste. Ile trzeba płacić? Nic, tam wszystko jest za darmo. Co roku, stale na anształty angerburskie zbierane są datki, „dary serc”, od ludzi, od całych parafii, jeszcze inaczej.

– A może... A może tam nawet trochę podleczą...

– I tak tu się znalazłam, to było tyle lat temu – opowiada dalej Auguste. – Byłam w Krüppelheim I. Ale sama wiesz, że tam się nie leży, chyba że na oddziale dla idiotów. I pewnego dnia przyszedł mnie obejrzeć doktor z Kolmarstiftu. Nie ten, który jest teraz, jego poprzednik. I przewieźli mnie tutaj, do Kolmarstiftu. Nie mogli mnie wyleczyć, ale przynajmniej nie czuję takiego bólu. A teraz... – Gucia pokazuje, jak rusza ręką. – Widzisz, co mogę zrobić? A nie mogłam nic, nawet palcem ruszyć nie mogłam...

Tak, Gucia ma już dwadzieścia lat, jest z nas najstarsza. Ale też najbardziej niedołączna.

Leży na swoim wózku jak kłoda. Głowę ma przechyloną na bok, twarz wykrzywioną (nawet gdyby chciała, nie jest w stanie na nikogo spojrzeć koso, „przez ramię”). Nogi wyprostowane, ułożone ciasno jedna przy drugiej, spuchnięte. Ramiona skrzyżowane na piersi, jak u nieboszczyka, tylko dłonie nieco rozchylone, jak gdyby się bawiła albo próbowała coś chwycić. Rękami nie dosięga do ust. Trzeba ją karmić, poić, myć, czesać.

Należy tu jednak dodać, że każda z dziewczynek czuje się zaszczycona, jeśli Auguste pozwoli się jej karmić albo wozić.

I oto co mnie spotkało: Gucia zażyczyła sobie, żebym to ja siedziała obok niej przy stole w jadalni, gdzie, oczywiście, sadzano ją na specjalnym krześle. Teraz to mnie przypadł w udziale ten stały zaszczyt pomagania jej podczas śniadania – przy jedzeniu bułki albo przy picu kawy – czy podczas kolacji, jeśli dawano herbatę i buterbrody. Obiad zwykle zaczynała jeść sama, łyżką. Czerpała z talerza prawą ręką, potem przekładała łyżkę do lewej, sprawniejszej, i wtedy podnosiła ją do ust. Trwało to dość długo. Ale jeśli tylko obiad można było jeść łyżką, Auguste nie pozwalała, żeby ktoś jej pomagał.

To właśnie Auguste napisała mi pierwszy niemiecki list do księdza Bleiweissa.

Dziś nie umiałabym pokazać, w jaki sposób pisała, jak ona w ogóle mogła pisać. A przecież pisała. Charakter pisma pozostał jak u dziecka. Błędów ortograficznych narobiła tyle, co dziesięcioletnia dziewczynka. Ale to nic. Ja nie umiałam nawet tego.

Teraz poczułam się lepiej. Czułam, że jestem zadowolona z życia. W razie czego: jest tu Auguste. Ona nie pozwoli mnie skrzywdzić. Ona będzie umiała przywołać do porządku złych ludzi. Poczułam się jak równa między równymi.

Chociaż nie. Nie do końca. Nie dla wszystkich.

Z Idą Puodżius, tą z Ragnit – znałam się już wcześniej. Była jak gdyby gwiazdą Genesungsheimu. Zachowywała się tak, jakby była nadzwyczaj piękna, więc i my uważaliśmy ją za piękną. Szczerze mówiąc, ja wcale tak nie myślałam. Ale skoro wszyscy tak mówili, nie wyłamywałam się. Ida miała chorą nogę, przeszła wiele operacji kostki. Utrzymywała jednak, że jest już zdrowa, i kuśtykała z wielką elegancją. Poza tym, kiedy

przeszłam do Genesungsheimu, przez kilka godzin rozmawiała ze mną „z góry“ i uśmiechała się łaskawie. Grała na dombrze⁷³ „mit Zungenschlag“⁷⁴, miała piękny głos – sopran.

Nie, nigdy nie dorównam Idzie.

Charlotte pochodziła z Wehlau. Była córką naczelnika poczty. Nie była piękna ani nie rościła sobie pretensji do bycia piękną. Miała za to cudowne, srebrzystopopielate warkocze. Cały jej lewy bok był sparaliżowany. Mogła chodzić, ale ramię miała bezwładne. Rękę operowano jej kilka razy, bez większego powodzenia. Jak wspomniałam, była córką naczelnika poczty, nosiła własne ubrania, jak nam się wtedy wydawało – niezwykle eleganckie. Miała szalowy nowoczesny kapelusik. Miała piękny głos – alt.

Nie mogę się równać z Charlotte.

Lene była z Gerdauen. Długo nie mogłam zrozumieć, co jest z nią nie tak. Miała zdrowe nogi, zdrowe ręce, trzymała się prosto jak kij i stąpała leciutko jak duszek. Nosiła gipsowy gorset z łukowatym wykończeniem, które tworzyło jak gdyby aureolę nad jej głową. Miała oczy barwy bursztynu, czarne włosy, obcięte krótko, sięgały podbródka. Była piękna.

Jak mam jej dorównać?

– Jesteś bardzo piękna, Lenchen – zaczęłam pewnego razu. – Ach, gdybym tylko była taka, jak ty!

Widziałam, że to jej się spodobało. Podniosła wyżej głowę... nie, kłamię! wyżej już głowy trzymać nie mogła, ale wyprostowała się, jak gdyby kij połknęła, i oświadczyła:

– Tak, Eva, ale ty przecież jesteś naprawdę brzydka. Nie chciałam ci tego mówić, ale skoro sama zaczęłaś... Masz wielki nos, podbródek taki... no, jakiś taki nieładny... za długi za masywny. A twoje zęby... Na ja⁷⁵, białe i równe, ale... Nie wiem, nie pasują.

Uwierzyłam. Wierzyłam jej święcie. Przecież nikt nigdy mi nie mówił, że jestem ładna.

– Ty masz ząbki jak perełki – chwaliłam ją dalej. A chwaliłam nie dlatego, że rzeczywiście była śliczna i że miała „ząbki jak perełki” – nie miałam pojęcia, jak wyglądają perełki, dotąd oglądałam tylko szklane paciorki – nie: chciałam zyskać kolejną przyjaciółkę. Nie wystarczała mi przyjaźń Guci i Idy, a Lene aż do tej rozmowy wydawała mi się miła.

– Eva, ty chyba nie wiesz... Skoro nie wiesz, to nie chciałabym ci tego mówić... Nie, nie powiem. Będzie ci potem smutno – mówi, a ja rozumiem to tak: Lene aż się pali, żeby wbić mi kolejną szpilkę.

– Co takiego? Powiedz. Ja niczego się nie boję.

– Wiesz, Eva, ty jesteś garbata.

Nie, tego nie wiedziałam. Nikt mi nigdy o tym nie powiedział, nikt nigdy o tym nawet się nie zająknął, sama tego nigdy nie zauważyłam, nawet w najśmielszych snach nie wyśniłam.

Nie trzymałam się, co prawda, tak prosto jak moja matka, ale żeby garb...

Tego samego dnia, przechodząc obok okien, przejrzałam się w szybie – innych luster tu nie było – i rzeczywiście: miałam garb! Pięknie wygięty na zewnątrz, okrągły garb. Uwydatniony jeszcze przez pasiastą staromodną bluzę.

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć, przelałam tyle łez, ile tylko miałam.

Akurat, równa wśród równych... Zresztą, skoro tak, to może naprawdę jestem taka jak one...

Wszystkie byłyśmy mniej więcej w tym samym wieku i wszystkie sypiałyśmy w tej samej sypialni, tam, gdzie Gucia.

⁷³ Drewniany instrument muzyczny przypominający lutnię, najczęściej z dwoma strunami; narodowy instrument kazachski (przyp. tłum).

⁷⁴ Iron. „Z akcentem” (niem.)

⁷⁵ No tak (niem.)

I kiedy tak płakałam nad swoim garbem, Auguste nie spała. Nasze łóżka stały obok siebie, między nimi był tylko mały odstęp na nocny stoliczek, należący do nas obu. Gucia kilka razy pytała, czy coś mnie boli. Odpowiadałam, że tak, i płakałam dalej. Byłam najniebezpieczniejszym ze stworzeń na tym padole łez. Czy może być coś gorszego od garbu... Przypomniała mi się Lisa, przypomnieli mi się inni mieszkańcy Krüppelheim I, którzy pozostali dla mnie bezimienni.

Nagle słyszę, że moja Gucia też płacze. Boże mój, co robić! Chusteczkę pewnie trzyma teraz pod poduszką, ale nie jest w stanie ani po nią sięgnąć, ani z niej skorzystać. Zaczynam myśleć o tym, że koniecznie trzeba pomóc Guci.

– Gustchen, dlaczego ty... – Wstaję, podchodzę do jej łóżka. A ona już wie, po co.

– Gdzieś tu powinna być moja chusteczka...

Znajduję chusteczkę. Noc nie jest ciemna. Siadam na brzeжку łóżka Guci – dalej się nie da, przecież ona nie może się przesunąć. Widzę, jak łzy spływają jej we włosy. Tak mi jej żal, aż serce pęka. Dlaczego płacze? Nad swoim nieszczęściem czy nade mną?

Robi mi się wstyd, przecież – w porównaniu z nią – jestem zdrowa, Boże, i to jaka zdrowa! Może jeszcze z rok pomęcę się z tym gipsem, a wtedy... A wtedy! Za to Gucia...

– Gustchen, dlaczego płaczesz? – pytam.

– A ty dlaczego?

Ach, że też musiała mi przypomnieć o tym, o czym na chwilę zapomniałam. Objęłam Gucię za szyję i prawie rozryczałam się na głos.

– Gustchen, ach, Gustchen, widzisz, ja mam... garb... Dzisiaj się dowiedziałam.

– Co masz? – zapytała głośnym szeptem Gucia, jak gdyby nie dosłyszała, ale bardzo chciała się dowiedzieć.

Pochyliłam się, przysunęłam bliżej do jej ucha – ucho miała ciągle wilgotne od łez – i szepnęłam wyraźnie i dobitnie:

– Lene powiedziała mi dzisiaj, że mam garb. Nie miałam o tym pojęcia. Teraz wiem. Widziałam na własne oczy, w szybie. – I fontanna łez trysnęła na nowo.

– Ty? Garb? Lena tak powiedziała?

– Ciii. Jeszcze usłyszysz.

– Eva – Gucia przerwała. Czuję, że zaczyna się dziwnie trząść. Znowu płacze? Nie widzę łez. Nie, uśmiecha się, błysnęła zębami. Gucia się śmieje! Śmieje się i podnosi ręce, jak wysoko jest w stanie, i uderza nimi w pierś.

– Ach, Eva, bist du dumm! Ach, bist du dumm!⁷⁶ Lena powiedziała ci tak tylko dlatego, że ona sama jest garbata i że jej garb jest coraz większy. Ona zazdrości innym, że są zdrowe. A ty, Evo, jesteś zdrowa, przecież sama to wiesz. Spójrz na nas. Chciałabyś się zamienić na choroby z którąś z nas? Może z Idą Maksim? Co, chciałabyś?

Ida Maksim miała taką nogę, jak Bertaitis Dūdjonisów. Milczałam. Nie, nawet z nią bym się nie zamieniła.

– Sama widzisz! A ty w ryk – bo ta próżna Lena coś ci wmówiła. Ach, gdybym tylko mogła być taka zdrowa jak ty! Wtedy nawet z garba bym się ucieszyła!

– Guciu, nie gniewaj się na mnie. Może to ja jestem próżna, nie Lena. Ale ja naprawdę, naprawdę jestem zdrowa, Guciu. Dobranoc, moja kochana, dobranoc, ty moja... Ach, ty mój... – nie byłam w stanie dokończyć. Uspokojona, wróciłam do łóżka i zanim zasnęłam błogim snem, usłyszałam jeszcze, jak głęboko oddycha moja Auguste.

⁷⁶ Ale z ciebie głuptasek. (niem.)

SKĄD MIAŁAM WIEDZIEĆ

Zaczęłam, że tak powiem, nowe życie. Na samym początku, dopóki miałam trudności z chodzeniem, ja też byłam traktowana jak dziecko. Było to widać, kiedy siostra pucowała mi buty, tak samo jak innym dzieciom. Właściwie był to jeden but – przecież druga noga była w gipsie. Później przyszedł czas na inny gips – z nim mogłam już spacerować. Obie nogi były teraz równe. Chora noga była przedłużona żelazną szyną. W ten sposób zrównano ją ze zdrową. Teraz zaczęłam chodzić już prawie normalnie, chociaż to było męczące. Ale kto za młodu przejmuje się zmęczeniem. Przecież można odpoczywać w nocy i to aż przez jakieś dziewięć godzin – więc odpoczywałam. Zapomniałam, jak ileś tam miesięcy temu chodziłam o lasce, jak bolała mnie ręka i całe ciało, jak często przez to płakałam. Teraz przydzielili mi pracę. Na początku trzeba było skrobać kartofle w Kinderhilfe. Najpierw obierałam dla Kolmarstiftu, gdzie gotowano, potem dla Genesungsheimu, a na koniec dla Kinderhilfe. Wiadomo, że obranie trzech czy czterech cetnarów⁷⁷ kartofli dziennie to nie jest zadanie dla jednej osoby. Obierających było dużo. Obierała i Lene, i obie nasze Idy. Czasami do pracy w piwnicy z kartoflami przysyłano kilka dziewczyn z samego Kinderhilfe, gdzie dzieci w naszym wieku było mało. A tak naprawdę – nie było ich aż tak mało, tylko albo nie mogły chodzić, albo nie miały rąk.

Z czasem nałożono na mnie kolejny obowiązek – musiałam „pokręcić się” w kuchni Kolmarstiftu – to znaczy zmywać naczynia po posiłkach chorych Genesungsheimu i Kolmarstiftu.

To nie była trudna praca. Obieranie kartofli było nawet przyjemne, a to dlatego, że ze stołówki obsługi Kinderhilfe dostawaliśmy coś do jedzenia jeszcze przed obiadem – był to chleb z margaryną albo z marmoladą. Za każdym razem było to dla nas święto. W domu przedobiadku nie mieliśmy, a przecież rosłyśmy i chciałyśmy jeść, dużo jeść. Ale uchowaj Boże! O tym nie mogła się dowiedzieć żadna oberka, żadna Petzschwester⁷⁸ – wszystkie ściany miały uszy. Ale nauczyłyśmy się zdobywać jedzenie po kryjomu i zjadać je niezauważone.

Nasze naczynia – kubki do kawy i talerze obiadowe – były z emaliowanej blachy, nie do zdarcia i łatwe w myciu.

W naszej stołówce – w Genesungsheim – były dwa podłużne stoły. Przy jednym siedziałyśmy my, dziewczyny, przy drugim – różni chłopcy, wśród nich także ci starsi, którzy już opuścili Kolmarstift, ale jeszcze nie odzyskali pełnej sprawności.

Raz, kiedy jedliśmy obiad, przyszła siostra Elisabeth. Zaczęła coś liczyć i nagle zapytała mnie, ilu nas jest przy stole.

– Dwadzieścia i cztery łącznie, tante Elisabeth – odpowiedziałam bardzo głośno, z przekonaniem. Poczułam się wyróżniona, że zapytała właśnie mnie. – A wśród nas jest jedenaścioro...

– Ależ nie, Eva – siostra potrząsając głową, jak gdyby z politowaniem, odpowiedziała: – dwadzieścia i pięć. Widzisz, Guciu, Eva nie wie, to ty mi powiedz, dlaczego dwadzieścia i pięć?

– Otóż dlatego dwadzieścia i pięć – oznajmiła Auguste Stegemann – że do stołu zaprosiliśmy gościa: Komm, Herr Jesu, sei unser Gast⁷⁹

Skąd mogłam wiedzieć... Poczułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę, poczułam się jak ostatni nieuk, gamoń, który niczego, ale to niczego nie rozumie. Co za

⁷⁷ Jednostka masy, ok. 50 kg (przyp. tłum.)

⁷⁸ „Siostra donosicielka” (niem.)

⁷⁹ Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem! (niem.)

wstyd! A jednocześnie mi ulżyło: widzisz, a więc to tak, już nie trzeba i nie będzie trzeba szukać, On sam przychodzi... Czemu siostra Bertha tego nie wiedziała?

W Genesugsnsheimie był taki chłopiec może trzynasto-, może czternastoletni, nie tyle z idiotów, co z cyników, jeśli tak można powiedzieć. Miał na imię Otto, a nazwiska nikt nie znał. Ale przezywali go Frosch, to jest żaba czy nawet ropucha. I rzeczywiście wyglądał bardziej jak ropucha niż żaba. Twarz z dziwnie wybałuszonymi oczami, żółtawa, chropowata skóra z brodawkami. Nogi wykrzywione, dlatego wydawały się krótkie. Chodził o dwóch kulach, jakoś dziwnie się przy tym kołysząc.

Już nie pamiętam, o co się pokłóciliśmy, ale pogniewaliśmy się nie na żarty. Za każdym razem, kiedy się mijaliśmy, rzucaliśmy sobie pogardliwe spojrzenia i uszczypliwe docinki.

I oto co wydarzyło się pewnego razu.

Kiedy jak zwykle odmawialiśmy przy stole modlitwę „Komm, Herr Jesu, sei unser Gast”⁸⁰, przy stole chłopców znów ktoś zachichotał.

– Nanu⁸¹ – gniewa się siostra Bertha, która w tym czasie przyuczała się w Genesunsheim – czyli jednym z oddziałów Kolmarstiftu .

Tak to już jest: jeśli w trakcie modlitwy ktoś się uśmiechnie, zaraz śmieją się wszyscy. A uwaga siostry Berthy „nanu” wywołuje salwę śmiechu. Robi się niemiło. Ale modlitwa się kończy i... zaczepia mnie jakiś chłopiec:

– Eva, a wiesz jak Frosch się modli?

– Skąd niby mam to wiedzieć? – złoścę się.

– Przecież to o tobie!

– Co ten gamoń wygaduje? – Siostry Berthy już nie było i mogliśmy rozmawiać wprost, bez ceregieli. Chociaż siostry Berthy i tak nikt się nie bał.

– Wiesz, jak Frosch się modli? Mówi: „Simoneit, die Welt vergeit, wegen deiner Dammlichkeit. Amen”⁸²

Okropnie się wtedy zezłościłam i, żeby pokazać jak bardzo krzyknęłam na cały głos, że teraz to na pewno poskarżę się tante Elisabeth. Nie patrzyłam na Ottona, bo brzydziłam się nim. I – żeby nie popsuć sobie apetytu – starałam się na niego nie patrzeć.

Nagle, chłopcy przy stole znów ryknęli śmiechem i właśnie wtedy weszła siostra Bertha.

– Co to znów za gaudium⁸³ – zawołała Bertha.

– Nic takiego. Tylko Frosch pokazał Evie język.

– Będziecie wreszcie jeść jak ludzie czy nie? Poczekajcie, wszystko powiem tante Elisabeth, dopiero wam się dostanie. – pokrzykiwała siostra Bertha.

Jeść – jedliśmy jak trzeba, jak się tylko dało w tych warunkach i położeniu. Nie mieliśmy ani widelców ani noży, same łyżki. Ale siostry Berthy nikt się nie bał. Czasami nawet się z niej naśmiewano – od czasu, kiedy zapomniała słów podczas wieczornej modlitwy „Ojcze nasz”.

– No i widzicie, już nie umiem... – krzyknęła w środku modlitwy. – jak to szło...

Jak tu zachować spokój, nawet nie połowa modlitwy, a tu takie słowa... Cała sala zaczęła piszczeć z uciechy. Ale tutaj, nasz autorytet, Auguste Stegemann, odnalazła zgubiony watek i snuła dalej modlitwę.

Rzecz jasna, po takim zachowaniu, Frosch już dla mnie nie istniał. Chociaż w głębi serca poczułam jakieś samozadowolenie, jakby dumę. Przecież gdyby tak się modlił Albert

⁸⁰ Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem’ (niem.)

⁸¹ Cóż to znowu? (niem.)

⁸² Simoneit, zawali się świat, a to dlatego, że mózgu ci brak. Amen (niem.)

⁸³ Radość (łac.)

albo Fritz, albo chociaż... mogłabym pomyśleć, że oni może...Cóż, niestety, tym razem to tylko Frosch...

Przez kilka dni nic się nie działo. A potem – kolejna salwa śmiechu, w tym samym czasie i podczas tej samej modlitwy.

Zrozumiałam, że Frosch wymyślił jeszcze jeden sposób, żeby zszargać moje nazwisko:
„Simoneit, die Welt vergeit
Mit alle sure Gurke”⁸⁴

Tego już było za wiele. Zezłościłam się nie tylko ja, ale i wszystkie dziewczyny, a nawet niektórzy chłopcy. Nie wszyscy, ale ci „szczerze” wierzący.

Co robić?

– Eva, nic na to nie odpowiesz? – wbijają mi pierwszą szpilkę.

– Eva, tylko pomyśl, co jeszcze ten Frosch wykombinuje – kolejny cierń.

– Eva, musisz koniecznie powiedzieć tante Elisabeth. Przecież tak nie można. On zaraz zacznie wszystkich tak przezywać, jeśli nic nie powiemy. Jeśli ty nic nie powiesz.

Powiedzieć tante Elisabeth! Innymi słowy: donieść. Nigdy dotąd w życiu nie skarżyłam, na nic, na nikogo i nigdzie. Ledwie wyrosłam z pieluszek, a matka skutecznie oduczyla mnie donosić. Bolało. Kiedy tylko ośmielałam się na kogoś się poskarżyć, dostawałam albo „po głowie” albo „po grzbiecie”. Chociaż to nie bolało aż tak, jak jej surowe, ostre spojrzenie. Nie, ja nigdy nie donosiłam. A w razie potrzeby starałam się sama zaprowadzić porządek... Ale jak doprowadzić do porządku Froscha? Mam go pobić? Wystarczy, że dotknę go palcem i od razu przewróci się jak kłoda. I będzie tak pełzał mi przy nogach i nie da rady wstać, a jeszcze trzeba go będzie podnosić. Nie, nie mogę się z nim rozprawić na własną rękę.

Ale coś trzeba zrobić. Koniec końców Froschowi można by odpuścić, byle tylko przestał tak mówić. Inni mogą iść w jego ślady i już w ogóle nie dadzą mi spokoju. Trzeba zdusić to w zarodku...

Następnego dnia tuż przed obiadem, kiedy tylko przyszła oberka Elisabeth, wygarnęłam:

– Tante Elisabeth, Otto... zamiast „Komm, Herr Jesu”⁸⁵ mówi...

No i powiedziałam wszystko, bardzo szybko wyrecytowałam oba jego „poematy” żeby nie zapomnieć, co mam do powiedzenia. Żeby tylko się nie pomylić. Od razu poczułam ulgę. A oberce nawet nie przeszło przez myśl, żeby mnie ukarać za skarżenie. Nie, nie! Natychmiast zwróciła się do Froscha.

Frosch siedział przygarbiony, ze spuszczoną głową. A mnie wydawało się, że jego język błyszczy, jakby... nie, odwróciłam się. Nie chciałam go oglądać w takim stanie.

– Otto, dzisiaj po obiedzie przyjdiesz do mnie do Kolmarstiftu. Zrozumiałeś?

– Tak, tante Elisabeth – odpowiedział Frosch.

Oberka Elisabeth mruknęła jeszcze coś o aparacie do galwanizacji, o jakiejś uprząży czy o czymś podobnym – i wyszła.

– Teraz ci się dostanie, Frosch – słychać było krzyki – jak już dostaniesz, to dostaniesz. Oj, tante Elisabeth jest w tym dobra.

– A co dostanę? Raz pacnie mnie w policzek, jak wtedy Viliusa Romanasa, i tyle.

– Nie widziałeś, jak mu się jej palce odbiły na policzku?

– Tobie się odbijają na obu – tym razem nie wytrzymałam.

– To mnie się odbijają, a nie tobie.

– Ja nie przezywam się tak jak ty.

– Ojejku! Niewinna Evieczka. Proszę, proszę.

⁸⁴ Simoneit zawali się świat, jak ogórki kwaśniejają od lat (niem.)

⁸⁵ Przyjdź, Panie Jezu (niem.)

– Znowu zaczynasz? – jestem bojowo nastawiona i nie mogę się doczekać, kiedy Frosch dostanie w skórę.

– Idź, poskarż się jeszcze raz, Petzjule⁸⁶! Droga wolna!

Petzjule⁸⁷ ...To wyryło mi się w pamięci. Zabolało. Zamilkłam.

Zabrałyśmy z Idą talerze ze stołu i wyszłyśmy do kuchni Kolmarstiftu. Obejrzałyśmy się i zobaczyłyśmy się, że Frosch idzie wolno. Nie wiem dlaczego, ale moje serce zaczęło bić mocniej. Chciałam być zupełnie obojętna, ale...gdzieś tam w sercu wezbrał niepokój. Słyszę, jak Frosch wchodzi do korytarza, jak puka do drzwi kancelarii. Drzwi się otwierają.

– Da bist du, mein Junge. Schon. Komm.⁸⁸

I tante Elisabeth sama prowadzi Ottona do drzwi naprzeciwko kuchni, gdzie znajduje się pokój zabiegowy. Pospieszyłyśmy z Idą myć naczynia. Ida zaczyna nucić piosenkę, ale jakoś nam nie wychodzi. Zamieniamy się w dwie pary uszu. Cisza.

– Niezłe kazanie mu teraz prawi – próbuje żartować Ida.

I w tym momencie straszny krzyk przeszywa ciszę Kolmarstiftu.

– Tante Elisabeth, ach! Es tut weh! Oh!..⁸⁹

– Ja, mein Junge, es soll auch. Wirst du...⁹⁰

Następnych słów nie dosłyszałam. Ida trzasnęła drzwiami i wybiegła z Kolmarstiftu. Zaraz po tym, jak drzwi się otworzyły i zamknęły, usłyszałam to, co musiałam usłyszeć. Bolało. Bolało bardziej niż niegdyś, w dzieciństwie, spojrzenie matki.

To było jednocześnie jakieś buczenie, jakieś głucho postukiwanie, tajemniczej maszyny, a zarazem jakby człowiek walczył ze śmiercią, jakby... Nie, nie umiem tego nazwać. I wtedy zapadła cisza. Ogarnęło mnie przerażenie, którego nie da się opisać. Przecież to moja „zasługa”. To moja sprawa... to ja się poskarżyłam... Czuję straszny szum w głowie i widzę, jak moje ręce automatycznie wkładają kubki do wiadra. Poczulałam, że powtarzam, jak jakaś nakręcona maszynka

– Skąd miałam wiedzieć, nie, nie wiedziałam...

Jak długo to trwało – nie mam pojęcia. Weszła siostra kuchenna Charlotte. Powiedziała mi coś, ale nic nie zrozumiałam. Wzięłam wiadro z kubkami, wyszłam z kuchni, a w tym samym czasie przez drzwi pokoju zabiegowego wytoczył się Otto Frosch. W pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały. I nagle zapomniałam, że wcześniej przypominał mi wszystko, ale nie człowieka. Teraz przypomina człowieka aż za bardzo, wygląda jak człowiek, który cierpi. Jego twarz jest wilgotna od potu i łez. Usta mocno zaciśnięte, jakby jego męka jeszcze się nie skończyła. Chwiejąc się rusza przodem. Widzę, z jakim trudem wlecze biedne, porażone prądem ciało. Z jakim trudem pokonuje nie tak wysoki w końcu próg korytarza.

Nie wiem, co to było. Ja usłyszałam tylko wrzask rozlegający się echem w wysokich, pustych korytarzach:

– Menschenfresser! Men–schen–fres–ser⁹¹

Jednocześnie usłyszałam potworny łomot.

Kiedy otworzyłam oczy, siostry Auguste i Mina podnosiły mnie z ziemi. A stojąca obok oberka Elisabeth wskazała mnie palcem i zakomenderowała:

– Delirium... Położyć natychmiast do łóżka. Wezwać doktora. Chyba będzie trzeba zdjąć gips...

Siostra Charlotte zbierała rozsypane kubki...

⁸⁶ Skarżypyta (niem.)

⁸⁷ Skarżypyta (niem.)

⁸⁸ Ach, jesteś, mój chłopcze. Doskonale. Wejdz (niem.)

⁸⁹ Au! Ciociu Elisabeth... Ach! To boli! Au! (niem.)

⁹⁰ Tak, mój chłopcze, ma boleć. Będziesz jeszcze... (niem.)

⁹¹ Ludożerca (niem.)

Zanieśli mnie do domu, położyli. Doktor przyszedł i zaczął badać stan mojego ciała, a może i rozumu...

Zaczął wypytywać, gdzie, jak, co, dlaczego. Milczałam, nie chciałam powiedzieć za dużo. Nagle sobie przypomniałam, że nawet doktor Rehberg raz wspomniał Albertowi coś o podłączaniu do galwanizacji. Albert miał może dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, był po wielu operacjach, ale wciąż nie w pełni władał nogami. Z tego powodu doktor był niepokieszony. Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy, co to jest, słowo tylko obito nam się o uszy. A teraz to podłączanie wypróbowali na Froschu.

Poza tym stopniowo przypominałam sobie, że to nikt inny, tylko ja krzyknęłam na korytarzu Kolmarstiftu „Menschenfresser⁹²”. A jeśli... przeszedł mnie dreszcz.

– Panie doktorze, nie wiem, co to było, ale ja szybciotko wstanę. Jutro...

– Nein, mein Schäfchen⁹³, jutro jeszcze nie wstaniesz. Zobaczymy, jeśli nie będzie temperatury, to nie trzeba będzie zdejmować gipsu. Jeszcze za wcześnie. Musisz poleżeć. Dają ci za dużo pracy, każą ci za dużo chodzić. Ja im powiem...

Co to wszystko ma znaczyć? Nic już nie mówiłam, ale położyłam się z poczuciem ulgi, tylko nie mogłam zasnąć.

Dziewczyny zbierały się do spania, a ja tylko udawałam, że śpię. Chciałam usłyszeć, co o tym myślą. Ida opowiadała, inne słuchały w ciszy. Lene nie miała wątpliwości, że jestem „Petzjule⁹⁴”, ale Gucia jej przerwała:

– A przypadkiem to nie wy ją podjudzałyście? I jeszcze na nią naskakujecie. Myślicie, że skoro nie słyszy, możecie mówić wszystko, co przyjdzie do głowy. Wiadomo, nie powinna skarżyć... Nie wolno skarżyć...

⁹² Ludożerca (niem.)

⁹³ Nie, moja owieczko (niem.)

⁹⁴ Skarżypyta (niem.)

KOLEJNA HISTORIA

To nie był koniec historii z Froschem. Leżał po operacji w Kolmarstifcie. Ciężko chorował. Ale nas nie wpuszczali do sali chłopców. Nawet gdyby wpuszczali, i tak bym nie poszła.

Tamtej historii nikt już nie wspomina i wygląda na to, że wszyscy o niej zapomnieli. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym o tym zapomnieć.

Pewnego razu siostra salowa odpowiedzialna za salę chłopców w Kolmarstifcie wniosła do kuchni paczkę. Przesyłka była już otwarta i Otto Frosch już ją widział. Siostra rozpakowała ją przy nas, to znaczy przy mnie i przy siostrze kuchennej Charlotte. Masło, kiełbasa i jeszcze coś tam było osobno, a pieczoną kaczkę włożono w jakąś miskę, którą postawiłyśmy w kredensie. Kredens musiałyśmy otwierać wiele razy w ciągu dnia, brałyśmy czyste naczynia, a już umyte znowu tam wkładać. Zazwyczaj ja to robiłam.

I któregoś dnia, a raczej wieczoru, kiedy znów weszłam z naczyniami, poprosiła mnie do swojego gabinetu oberka Elisabeth. Czekałam na list i dlatego bardzo się ucieszyłam. Przyjemnie jest dostać dobre wieści od „swoich”, zwłaszcza kiedy jest się tak daleko. Tylko jedna rzecz była nieprzyjemna: za każdym razem musiałam już otwarty list przeczytać na głos i przetłumaczyć go oberce na niemiecki. To była męczarnia. Każdy chce najpierw sam przeczytać list i nacieszyć się nim. Nic nie poradzisz, trudno... Wiadomo, czasem w listach zdarzały się dość ostre słowa pod adresem Niemców. Takie „pochwały” najchętniej bym przemilczała. Ale w Kinderhilfe były trzy albo i cztery siostry z Litwy albo przynajmniej mówiące po litewsku. A co ja tam wiem, może list był już przeczytany i przetłumaczony oberce Elisabeth, a teraz chcą mnie sprawdzić: czy mówię całą prawdę? Pewnie właśnie tak było.

Tym razem, kiedy weszłam do gabinetu oberki, było jakoś inaczej. Oberka stała przy oknie plecami do drzwi. Nawet nie odpowiedziała na moje powitanie, odezwał się tylko kanarek. A to popiskiwał domagając się jedzenia, a to śpiewał hymn tęsknoty, a to skrzeczał, jak gdyby wyczuwając nastrój swojej pani. Na biurku nie zauważyłam żadnego listu. Czekałam przy drzwiach bardzo długo, aż się zmęczyłam tym stanem.

W końcu oberka się odwróciła i powoli podeszła do mnie. Nadal bez słowa, wbiła we mnie jak nóż stalowe spojrzenie. Nie wiedziałam, co takiego zrobiłam, ale poczułam, że kara się już zaczyna.

– Eva – w końcu przemówiła oberka – wszyscy wiemy, że jesteś Litwinką i z tego powodu jesteś traktowana ulgowo. Wiemy także, że litewska moralność leider, lässt viel zu wünschen übrig⁹⁵. Tak długo jesteś wśród Niemców, a ciągle jeszcze się zapominasz. Sama nie wiem już, co powiedzieć, i jak dalej mam z tobą postępować.

Mam nadzieję, że udało mi się zblednąć i zadrzeć, opuściłam głowę jakbym była najgorszą zbrodniarką, chociaż nadal nie wiedziałam, o jaką zbrodnię chodzi. Zrobiłam pospieszny rachunek sumienia. Wypadek z Froschem to już przeszłość, a zresztą wtedy nikt mnie o nic nie obwinał, tylko... Było, minęło.

Co takiego mogłam zrobić?

Co prawda, pewnego razu, sama najedzona do syta, wzięłam ze stołówki pomocnic dwie kromeczki chleba posmarowane marmoladą – nawet nie tyle wzięłam, ile mi wcisnęli – resztki z talerza. Niosłam je do domu, do Genesungsheim, dla mojej Auguste, a jeśli wystarczy, to jeszcze i dla kogoś.

⁹⁵ Niestety, pozostawia wiele do życzenia (niem.)

Ale po drodze staję oko w oko z oberką Friedą. Ale jestem głupia! Dłoń z chlebem szybko chowam pod fartuch.

– Eva, co tam chowasz? – jej brązowe oczy szlachcianki aż się nie mieściły pod czołem, tak się zdenerwowała.

– Nic nie chowam, tante Frieda – odpowiedziałam i pokazałam chleb.

– Skąd wzięłaś ten chleb?

Oczywiście milczę. Gdybym powiedziała, że dała mi go pomocnica Johanna, jakie gromy ściągnęłabym na jej głowę. Dlatego milczę.

– Ty wzię...ty wzię...łaś?

– Nie, to znaczy: tak, tante Frieda.

– Aha.

Wpadłam do domu i szybko opowiedziałam wszystko Guci. Nic nie mówiła, jadła chleb. Była głodna, ale widziałam, że jej nie smakuje.

A już po godzinie wzięły mnie na spytki. Prym wiodła oberka Elisabeth. Znowu milczałam.

Następnego dnia nie dostałyśmy już przedobiadku ze stołówki pomocnic.

Na tym sprawa się skończyła.

Koniec to koniec, więcej się o tym nie mówi...

No tak... A może... Ale to przecież nie ja! To była Ida. Kiedyś późnym wieczorem przyniosła z kuchni Kinderhilfe parówki. Zawołała mnie i jakby roztrzęsiona wyszeptęła:

– Co robić? Dostałam aż tyle. Trzeba by jakoś...

Jasne, skąd mogła tyle dostać? Ale wiem, że nie ukradła. Zgasiłyśmy światło i najpierw skubnęłyśmy same, a później poczęstowałyśmy wszystkie dziewczyny z pokoju. Niestety, Ida miała słabość do chłopców. Wślizgnęła się jak kot do ich sypialni i wszystkich obdzieliła parówkami, a tam... a może ktoś nie dostał? A może któryś naskarżył? Och, Boże, Boże, wszystko przez ten przeklęty brzuch...

Wciąż czuję na sobie wzrok oberki Elisabeth. Co mam robić? Nie mówi, co przeskrobałam, a pytać przecież nie można. W końcu jeszcze raz przemyślałam wszystkie za i przeciw, nie wytrzymałam i podniosłam wzrok.

– Bist du so verstockt, Eva? Ja, ja, so ist die Litauer.⁹⁶

– Co zrobiłam, tante Elisabeth? – nie wytrzymałam i ośmieliłam się zapytać.

– Jak śmiesz jeszcze pytać? – obrusza się oberka.

Ale tym razem nie spuszczałam wzroku i „śmiej” dalej na nią patrzeć. Przecież w końcu będzie musiała mi powiedzieć, co zrobiłam.

– Wiesz, że Otto dostał paczkę?

– Wiem, tante Elisabeth.

– Wiesz, że w tej paczce była kaczka?

– Wydaje mi się, że... chyba była, tante Elisabeth.

– Co to znaczy: „wydaje mi się”? Dlaczego patrzysz na mnie tak zuchwale, jakbyś nic nie wiedziała?

– Bo ja nic nie wiem, tante Elisabeth.

– Kto wobec tego ukradł z kredensu udko z kaczki? Kto zjadł? Mów, Eva!

– Tante Elisabeth, to nie ja wzięłam i nie widziałam, żeby ktoś brał.

– Nie dość, że kradniesz, to jeszcze kłamiesz – oczy Elizabet, gdyby mogły, byłyby jak dwa sztylety.

– Nic nie ukradłam i nie kłamię, tante Elizabet – nastroszyłam się.

– Wiesz, co cię za to czeka?

⁹⁶ Czy jesteś aż tak uparta, Evo? Tak, oczywiście, tacy są wszyscy Litwini (niem.)

Przypomniałam sobie cierpienia Froscha. Przypomniałam sobie, jak wyczołgał się z pokoju zabiegowego, jak... Pociemniało mi w oczach... Nie miałam dość odwagi, żeby wypomniła to takiej znakomitości jak oberka Elisabeth. A może dlatego, że jestem wielkim tchórzem, z wielkiego strachu wymknęło mi się:

– Czekaj na mnie... galwanizacja...

Może w jej stalowym sercu drgnęła żyłka człowieczeństwa, a może tymi słowami jej dopieklam – kto to wie. Wskazała ręką drzwi:

– Wyjdź, ty... i nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie zrozumiesz, nie przyznasz się i nie przeprosisz.

Wysłałam. Powoli wlokłam się w stronę kuchni. Korytarz Kolmarstiftu nie jest znowu taki długi, ale ja szłam długo, długo... i szczerze powiem, że zupełnie jak po galwanizacji. Chociaż... co naprawdę wtedy się dzieje – tego nikt nie wiedział, o tym nikt nie mówił. Ale czułam się, jakby ktoś wycisnął ze mnie resztki życia. Dlaczego?

Bo jestem Litwinką... Gdybym nie była Litwinką, a w dodatku „upartą Litwinką”, może nikt by mnie nie oskarżył. Ale teraz... Czemu nie... Vogelfrei⁹⁷, Litwin bez praw...

Zatrzymuję się przy kuchennych drzwiach i rozmyślam: Boże, za co Ty mnie tak karzesz? Czym Ci zawiniłam, że jestem „napiętnowana”, jak Kain w Twojej Biblii? Nawet jeśli nie ukradłam, nawet jeśli nie kłamałam, to Litwinką jestem. Jestem Litwinką, czyli mogę kraść i kłamać, i na pewno to robię... A może ja naprawdę jestem winna i właśnie dzisiaj dosięgła mnie kara w osobie oberki. Przecież w tej samej Biblii napisano.....

Spokojnie, znałam Biblię już od dziecka, więc jak jej teraz nie...

Nagle myślami wróciłam do przeszłości. Tak, zgrzeszyłam, bardzo zgrzeszyłam. A pamiętasz, jak to było, kiedy Lekna pobił swoją żonę?

Pamiętam. Następnego ranka, kiedy Lekna znów poszedł pić, Leknina wyniosła się z domu Vilkasa, zabierając prawie wszystkie rzeczy do sąsiadów. A ja – oczywiście – pomagałam jej się zebrać. Cieszyłam się, że coś się dzieje. Najważniejsze, że teraz Lekna będzie miał się z pyszna. Na co mu to wieczne pijaństwo, na co mu te wieczne burdy? Masz teraz za swoje?

Wieczorem niecierpliwie czekałam na powrót Lekny. Wrócił, wszedł do środka. Wyobrażałam sobie jego twarz, kiedy znalazł tylko jedno łóżko, a w nim nic prócz słomy, nic więcej. Matka z ojczymem wymienili znaczące spojrzenia, ja parsknęłam. Wszyscy w domu, nie muszą bać się Lekny.

– Co to ma znaczyć? – mówi Lekna. Jego słowa niosły się przez pusty pokój tak dziwnie, jak echo w lesie. Wtedy usłyszeliśmy, jak zachrząściła słoma. Lekna musiał spać na gołej słomie, bo Leknina zabrała całą pościel. Zrobiło mi się go szkoda. Czemu musiałam pomóc tej Lekninie?

Następnego dnia rano Lekna przyszedł do mnie i zaczął wypytywać o żonę, o córeczkę. Powiedziałam, że nic nie wiem. A przecież wiedziałam wszystko!

Lekna wyszedł i wrócił z ładną, gumową piłeczką.

– Marysi już nie ma, masz, będziesz miała piłeczkę. Pobaw się nią, zatrzymaj sobie i nikomu nie oddawaj.

Powiedziałam „dziękuję”, ale jakiejś szczególnie radości nie poczułam. Żeby pobawić się piłką, trzeba mieć zdrowe nogi i wolne ręce. A ja? Poza tym, ta piłka nie była kupiona dla mnie, tylko dla Marysi.

Leknina z Marysią wróciły po tygodniu, a z nimi wróciły wszystkie rzeczy wyniesione do sąsiadów. I znów wszystko było po staremu. Piłkę ukryłam na dnie swojej skrzyni.

Po jakimś czasie Leknina zapytała przez ścianę:

⁹⁷ Dosł. wolny jak ptak, tutaj: pozbawiony praw, parias (z niem.)

– Ewuś, papa mówi, że kupił Marysi piłkę, ale gdzieś się zapodziała i on nie wie gdzie. Może ty ją widziałaś?

Odpowiedziałam dopiero po dłuższej chwili:

– Nie, nic nie wiem, nic nie widziałam.

Natychmiast pożałowałam, że tak odpowiedziałam. Ale nie mogę tego cofnąć. Niech już tak zostanie. I tak zostało. Tylko – wyjęłam piłkę ze skrzyni, pocięłam ją na kawałki i zakopałam w sosnowym lesie.

A teraz dosięgła mnie kara...

Nie chcę więcej chodzić do kuchni. Jeśli ktoś tam będzie, popatrzy na mnie jak na wstrętną złodziejkę – to ta, co ukradła udko Froscha, to znaczy kacze udko z paczki Froscha... A ja wbiję oczy w ziemię, chociaż nie zawiniłam. Nie, no przecież zawi...

Otwieram drzwi kuchni. W kuchni przy oknie stoi Ida. Jej twarz promieniuje jakimś szczególnym, tajemniczym blaskiem. To wygląda na... coś w rodzaju współczucia, ale jest w tym też złośliwy triumf. Śmieje się na cały głos, złośliwie, z takim strasznym szyderstwem.

A przy otwartym kredensie klęczy siostra kuchenna Charlotte i trzyma w dłoni... kacze udko.

– Myślę, że teraz siostra znów pójdzie do tante Elisabeth – drwi Ida. – Czy siostra pozwoli, żeby na honorze Evy została taka plama? A co z tym złotym zegarkiem, który siostra tak opłakiwała? Kto go znalazł? Przypadkiem nie Eva? Czy by go zwróciła, gdyby była złodziejką, tak jak siostra wszystkim naopowiadała? Co siostra na to, tante Lotchen?

– Du hast recht, Ida, aber so sie doch endlich still.⁹⁸

Swoją drogą, Ida miała na stałe pracować jako pomocnica w kuchni Kolmarstiftu. W rozmowie mogła pozwolić sobie na więcej, więc mówiła. Może chciała nie tyle się za mną wstawić, ile pokazać Charlotte, że się jej nie boi.

I rzeczywiście – Charlotte wstała, stanęła przede mną. Była malutka, sięgała mi może do ramion, więc, chcąc nie chcąc, musiała podnieść głowę. Ale nie: wbiła wzrok w udko, jakby widziała je po raz pierwszy, i wtedy zwróciła się do mnie.

– To moja wina. Nie sprawdziłam. Najpierw trzeba było... Widzisz, to kacze udko było... cały czas było za miską...

– To jak będzie z tante Elisabeth? – Ida była bezlitosna.

⁹⁸ Masz rację, Ida, ale o tym – ani słowa (niem.)

WIGILIA

Charlotte wyszła niosąc udko z kaczki.

Moją nogę leczyli na różne sposoby. Kiedy zdjęli mi gips, wkładali ją do jakiegoś piecyka, który był podgrzewany od dołu lampą spirytusową. Noga powinna się spocić, ale często sucha wypadała z tej „smażalni”. Później robili mi kąpiel z soli. Ponieważ nogi nie można było ruszać, wchodziłam cała do wanny z czerwoną solą. Na tym etapie leczenia miałam też masaże. Masowały różne praktykantki, masowały też prawdziwe siostry. Siostrzyczka Helene Kessler masowała cudownie. Mniej więcej po miesiącu, a może po trochę dłuższym czasie, rzeczywiście poczułam, że noga zaczyna stawać się silniejsza. Zaczęłam spacerować nie tylko bez lasek, ale i bez gipsu.

I znów poczułam, że jestem „zdrowa pośród chorych”. Poczułam się tak zdrowo, że nawet zaczęły mnie gryźć jak jakby wyrzuty sumienia – dlaczego jestem taka zdrowa, a oni wszyscy i one wszystkie nie?

Podczas gdy ja się zamartwiałam, siostra Helene Kessler postanowiła wyjść za mąż za brata jednego z chorych, Fritza Kozana. Siostra nie tylko była piękna, ale i intrygująca, podczas gdy on – przeciętny gospodarz, ale też: były żołnierz czy nawet oficer. To było widać po jego sposobie chodzenia i niezłej postawie.

Dlatego przełożeni przydzielili mi siostrę Minę.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak sadyzm. Po wielu latach ciągle jeszcze próbowałam zrozumieć, kto, jak, dlaczego... czemu siostra Mina tak mnie masowała...

Myła ręce w zimnej wodzie i nie wycierała ich ręcznikiem, tylko od razu zaczynała masować nogę, która i bez tego niejedno przeszła.

– Tante Mina, dlaczego siostra nie używa tamtego proszku, którego zawsze używała tante Lene Kessler? – pytam już ze łzami w oczach.

– Nie chcę – ucina Mina.

– Tante Mina, ale mnie boli. Dlaczego siostra takimi mokrymi rękoma...

– Gdzie boli? Co boli? – i siostra Mina zaczyna nogę przekręcać, wykręcać, prawie wyszarpywać. Boję się jeszcze tego: żeby tylko nie zaczęła jej zginać. To byłby koniec!

– Au, cała noga mnie boli! Tante Mina, niech siostra już przestanie. Nie widzi siostra, co się dzieje?

– Du bist zimperlich, Eva, weiter nichts⁹⁹ – odpowiada i dalej robi swoje.

Zniosłam kilka pierwszych masaży, z zaciśniętymi zębami i ze łzami w oczach. Kiedy jednak dostałam jakiejś dziwnej wysypki, która w dodatku zaczęła ropieć, nie wytrzymałam i pokazałam nogę doktorowi.

Doktor wzdrygnął się, odskoczył.

– Co to... – ale zaraz się opanował. Kazał położyć mnie do łóżka, aber sofort¹⁰⁰, i leczyć. Sam nie zdążył nawet zamknąć drzwi, już pobiegł do oberki z pretensjami. Nie rozumiałam, co mówił. Strasznie krzyczał. Zawsze kiedy krzyczy, połyka słowa.

Chwilę później w pośpiechu wpadła oberka i jeszcze raz obejrzała wrzody na moim udzie – zrozumiałam, że musiała być straszna awantura. Twarz oberki pałała, była czerwona jak żar. A ręce jej się trzęsły, kiedy pomagała mi się rozebrać. Tego samego wieczoru siostra Mina opuściła Genesungsheim.

Dla mnie niewiele się zmieniło. Byłam pozostawiona sama sobie przez wiele tygodni. Najbardziej dokuczała mi nuda. Nadeszło Boże Narodzenie i Nowy Rok, a ja nie mogłam

⁹⁹ Eva, ty jesteś rozpieszczona, i tyle (niem.)

¹⁰⁰ Natychmiast (niem.)

w nich brać udziału. A oprócz świąt w naszym domu miała być uroczysta kolacja świąteczna¹⁰¹ w Kinderhilfe.

Ida powiedziała mi już wcześniej, że mają być jasełka, że do sali Kinderhilfe przetaszczyli nie jakąś tam choinkę, tylko olbrzymią jodłę. No i... coś tam jeszcze. Świetnie, a ja muszę leżeć. Ropiejąca wysypka źle się goi, zupełnie jak jakieś straszne zakażenie. Doktor przychodzi dość często, ale to nie pomaga. Noga robi się coraz słabsza. Wiem, że kiedy pozwolą mi wstać, znów włożą ją w gips. I leczenie zacznie się od nowa...

Wieczór wigilijny. U nas, w Genesungsheim, prezenty bożonarodzeniowe rozdano już wcześniej. Wczoraj dostaliśmy po „tytce”¹⁰² i jakieś drobiazgi, z których nikt się specjalnie nie cieszy.

Za to w Kinderhilfe świętują. Na dworze burza, ni to ulewa, ni to zamieć, bo mocno zacina w okna. U mnie jest ciemno i nie wiem, co się dzieje na zewnątrz. I tak mnie to nie obchodzi. Myślami jestem już w Kinderhilfe. Wszyscy – nawet Auguste tam zawieźli – podziwiają wielką choinkę, na której czubku fruwią anioły z trąbami w rękach. Niby wiadomo, jak wyglądają takie anioły. Ale zawsze miło jest zobaczyć coś nowego. A prawdziwej świątecznej choinki jeszcze nigdy dotąd nie widziałam. Mówią – Ida tak powiedziała – że całe drzewo pływa w srebrze. I nawet świece są tylko białe. Może tak jest ładnie, ale dla mnie musi być też coś złotego i czerwonego.

Już sobie wyobrażam, jak wszyscy się zbierają, jak zasiadają do stołu, jak brakuje miejsc; siostry biegają i przynoszą więcej krzesel. Widzę, że niedaleko choinki, na łóżeczku, leży moja Auguste. Tego wieczora jej zazdroszczę. Dookoła niej kręcą się wszystkie dzieci Genesungsheim. A ta to umie rozkazywać, oj, ona umie wydawać polecenia! A tylko spróbuj jej nie posłuchać! Co by wtedy było – nie wiem, nikt tego nie wie, ale wszyscy jej słuchają, nie zadając niepotrzebnych pytań.

Auguste! Moja kochana Gucia! Jak ja się cieszę, że ją tam zanieśli. Przecież teraz zima, a ona dzień za dniem pólleży tym swoim krześle. Nic nie widzi, nic nie słyszy, tylko kilka małych płoteczek, które przynosi Ida. Listów też Gucia nie dostaje. Wydaje się, że wszyscy o niej zapomnieli. Moja kochana Gucia. Daję jej sobą rządzić choćby tylko dlatego, że jest taka nieszczęśliwa. Inni pewnie myślą sobie to samo...

A teraz... No, na pewno był biskup i odprawił nabożeństwo. On umie dosyć ciekawie opowiadać.

Zna wszystkie zwrotki pieśni, nawet takie, których jeszcze nie słyszeliśmy. Potem pogada, pogada, no i....

Kroki... Co to za kroki? Aha, to te „eleganckie” kroki Idy. Tylko tym razem brzmią jakoś inaczej. Rzeczywiście, do pokoju wpada Ida. Rzuca się na moje łóżko. Wtula twarz w pościel i... Czy ona płacze? Chyba nie. Ale jest jakaś zmartwiona. Trzęsie się jak liść osiki na wietrze.

– Co się stało, Idchen, jak było?

– Już po wszystkim, Eva, już po wszystkim! Ach...

– Tylko nie mów, że święto się już skończyło.

– Nie, nie.

– No to co? Powiedz wreszcie!

– Poczekaj, daj mi... daj mi... złapać oddech. Straszne... nieszczęście w sali Kinderhilfe.

– O Boże, czyżby Auguste...

– Nie, nie, nie! – i powoli dowiedziałam się, co się stało. Już miało się zacząć przedstawienie. Zapalono świece na choince. A Święty Mikołaj...

¹⁰¹ Wigilia protestancka (przyp. tłum.)

¹⁰² Tyta, rozek obfitości, niem. Wundertüte – zwyczajowy podarek dla dzieci (przyp. tłum.)

– Wiesz, świętego Mikołaja grał Hannes, ten z jedną nogą. No bo Hannes jest spośród wszystkich dzieci największy. I jak należy – ma czapkę, brodę i rękawy „obłożone” watą...

– Wyglądał zupełnie jak jakiś... po prostu pięknie.

Ida znów schowała twarz w mojej pościeli. Hannes nagle zauważył, że tam, na samym czubku choinki, gdzie żadna z sióstr nie dosięga, jedna świeczka zgasła, a może jeszcze jej nie zapalono. I... i on sięgnął, żeby tę świeczkę zapalić. No i... i... od świeczek na niższych gałęziach zajął się ogniem jego „obwatowany” rękaw, broda, czapka...

– I w jednej chwili Hannes zmienia się w słup ognia. A te nasze siostry – jakie one głupie! Rzuciły się, żeby go ratować, ale... jak? Co zrobiły? Zaczęły dmuchać... Dopiero oberka Frieda zerwała z siebie fartuch, owinęła nim głowę Hannesa i w ten sposób przyduśiła płomienie. Nijak nie mogła przedrzeć się przez siostry, które stały jak te kury. A Hannes już był nieprzytomny. Siostry w końcu się ocknęły. Więcej już nic nie wiem. Wybiegłam.

– A gdzie Gucia, Ida, gdzie Gucia? – Mnie obchodzi Gucia, tylko Gucia. Przecież ona leży jak kłoda, nie może się ratować, nie może uciec z tego koszmaru.

– Ach, biedny Hannes! On jest takim miłym chłopcem – wzdycha Ida. – A Gucię siostry już niosą z powrotem.

Wiedziałam, że Ida ma słabość do chłopców. Ale i mnie szkoda było Hannesa. On był zawsze grzeczny. Wyobraźcie sobie, że witał się nawet ze mną...

Siostry wniosły Augustę, rozebrały ją, położyły. Auguste chciała płakać, ale bała się – kto jej obetrze łzy. Ja mogłam to zrobić. Byłam w stanie się tyle podnieść, byłam w stanie zrobić nawet więcej, chociaż mi nie pozwalali. Ale przecież nie mogłam powiedzieć Guci: „Gustchen, popłacz sobie kapkę – ja obetrę ci łzy”. Dlatego Gucia wstrzymywała łzy. Długo jeszcze wspomniano Wigilię, której nie było.

ZNOWU TO SAMO...

Oberka Elisabeth znowu zaczęła się mną bardziej interesować. Dopóki leżałam, cerowałam jej jedwabne pończochy, haftowałam serwety. Kiedy dostałam gips i znowu zaczęłam chodzić, oberka zaczęła zmieniać moje życie. Oddzieliła mnie od dzieci i przenieśli na piętro. Były tam trzy pokoje. W środkowym mieszkały dwie siostry z Genesungsheim. W jednym z końców domu, bliżej Kinderhilfe, mieszkały dwie czy trzy pomocnice Kinderhilfe. Z nimi nie dzieliłyśmy nic, może tylko klatkę schodową i same schody, którymi chodziły, ale ich nie sprzątały. W drugim końcu domu był pokój przydzielony Idzie, jako pomocnicy w kuchni Kolmarstift.

Trzeba wiedzieć, że w anształtach nie było „służących”, tylko „pomocnice”.

Teraz i ja zostałam pomocnicą – pomocnicą Genesungsheim – i przeniesiono mnie do pokoju Idy. Siedziałyśmy przy tym samym stole, z dziećmi, ale obowiązki były inne. Oprócz mycia naczyń i obierania ziemniaków zajmowałyśmy się werandą, którą trzeba było myć o wieczór, a dwa razy w tygodniu musiałyśmy pucować okna. Do tego jeszcze sprzątanie korytarza na górze, już wspomniane schody, nasz pokój i tak dalej. Pracy było niemało i nie było mi łatwo, ale za to była pewna zapłata. Przez okna naszego pokoiku było widać szerokie, równe pola, a nawet łąki. Zwróciwszy głowę w lewo, widzisz stację kolejową, która zresztą, wywoływała bolesne uczucie tęsknoty. A wśród pól jeździły pociągi. Jedne skręcały na zachód, inne na wschód – do Goldap, Labiau lub Darkehmen, do Tilsit, do Kłajpedy.

Nie, to nie był parter, z jego wysokimi, nieprzebytymi murami (choć my nie myślałyśmy o żadnej wspinaczce, przynajmniej nie ja). Gdzie się ruszysz – wszędzie tylko ściany, jak w jakimś więzieniu. Mnie to aż tak bardzo nie przeszkadzało. Myślałam sobie, że skoro tak jest, to tak być musi. Ale Ida często narzekała, a nawet – jeśli nie za dużo zdradzam – przeklinała. Niezbyt ją rozumiałam. Po co denerwować się z powodu ścian? I gdzie byś poszła? Gdzie ty musisz iść? Przecież jak trzeba, to...

Tak to było – a jednak pewnego razu postanowiłam odwiedzić Krüppelheim I. To było jeszcze latem. Przygotowali mnie, wyszorowali, wystroili, nawet oberka obejrzała mnie od stóp do głów: czy dobrze wyglądam, czy diakonisy się nie oburzą? Nie, kolorów żadnych nie było. Założyłam szarą, wełnianą sukienkę z długimi rękawami. Aby jednak nie wyglądało to zbyt smutno, dostałam biały fartuszek wyszywany w jasnożółte kwiaty. No, to nie powinno oburzyć diakonis. Włosy... Zwykle kąpałam się w sobotę wieczorem, jak wszyscy. Wtedy zaplatałam sobie mnóstwo warkoczyków, żebym w niedzielę miała piękne „fale” na głowie. Tym razem przestrzegli mnie, żebym tego nie robiła.

Wtedy zaczęły się telefony. Najpierw, wiadomo, do biskupa, potem do doktora, wreszcie do Berthy Benke, głównej diakonisy Krüppelheim I.

W Krüppelheim I nie było takich ceremonii. Weszłam, przywitałam się z siostrą. Cieszyła się, że mnie widzi i że chodzę już bez laskek i bez kijka. Wtedy nałożyła mi do miski konfitury z malin, poczęstowała. I powedrowałam – już ostatni raz – tamtym długim korytarzem z oknami o kolorowych oknach, gdzie kiedyś dostałam w twarz. Później przemierzyłam niezliczone pokoje i pokoiki, aż wreszcie trafiam do łóżka Emilii.

Niestety, trafiłam na jej smutny dzień. Płakała. Łzy płynęły strumieniami, szlochała jak niemowlę, które czeka, żeby je ktoś pocieszył. Zaczęłam do niej mówić jak dawniej. Otarłam jej łzy, zaśpiewałam jej ulubioną piosenkę:

Lott, lott, lott, lott Leierkasten,
Morgen kommt die Tante...

Kto wie... może przez jej główkę przemknęła jakaś myśl. Emilia długo, długo na mnie patrzyła. Potrząsnęła głową, zaśmiała się i przez łzy wspomniała, że Marie wciąż pokazuje język.

Odwiedziłam Emilię, niczego więcej nie chciałam i niczego mi nie było trzeba. Przyszła Mina, popatrzyła na mnie i nie posiadała się ze śmiechu, że już chodzę bez laski.

– Ist das aber komisch!¹⁰³

Nie powiedziałyśmy sobie ani „cześć” ani „do zobaczenia”. Mina nie rozumiała sensu powitań i pożegnań, a mnie nie obchodziła Mina. Z siostrą Berthy Schwabe nie chciałam się spotkać. Pożegnałyśmy się z Emilią ostatni raz w życiu. Weszłam tu przez wielkie drzwi, a przez małe wyszłam do domu. Do Genesungsheim

Zarówno Idzie, jak i mnie nasz pokoik podobał się choćby dlatego, że poczułyśmy tam prawdziwą wolność: mogłyśmy czytać. I czytałyśmy wieczorami, często zapomniałyśmy, że rano trzeba wcześniej wstać.

Książki dostawałyśmy z biblioteki anształtów. Biblioteka nie była aż tak mała, ale były w niej tylko bajki, najróżniejsze książki i książeczki o religii, o nawróceniach, o cudownym ocaleniu dzięki wierze i tym podobne. A tego miałyśmy już po dziurki w nosie. Były też opowiadania Petera Roseggera¹⁰⁴ i jemu podobnych. Jednak to już czytałyśmy, chciałyśmy czegoś nowego. Czego – żadna z nas nie wiedziała, tylko czułyśmy, że musi być jeszcze. Ale kto nas nauczy, kto nas oświeci. Biblia – to wszystko. Tak się mówi, ale żadna z nas nie chciała już czytać Biblii. Sprzykrzyła nam się, znudziły się wszystkie „cudowne nawrócenia”. Ale nie można o tym głośno mówić. Nawet same przed sobą nie mogłyśmy i nie chciałyśmy się do tego przyznać.

Później Ida dostała skądś „romanse za dziesięć fenigów”. Najpierw czyta sama, potem mi przekazuje. To coś zupełnie innego. Z ciekawością czyta się o parze zakochanych, którym rodzice nie pozwalają się pobrać. Albo pojawia się jakiś czarny charakter, który na niczym się nie zna, a tylko knuje. No i wiadomo, zakochani nie mogą, zupełnie nie mogą... Ale oto na ostatniej stronie biorą ślub i wreszcie się całują. Długo to trwało, ale w końcu...

Pewnego razu Ida skończyła czytać powieść Courts–Mahler¹⁰⁵. Kto by pamiętał tytuł. Potem książkę dostałam ja. Czytałam z zachwytem. Zapomniałam nawet, że jestem w Angeburgu. Poczulałam się tak, jakbym była w luksusowym pałacu, gdzie pokoje wyłożone są różnymi dywanami, podobnymi do tych u oberki, a może jeszcze piękniejszymi. A firanki, a lustra – „jak w niebie, jak w niebie”. A w tym niebiańskim pałacu ja... Ja, zwykła służąca. Pani mnie wysyła to tu, to tam. Biegam, staram się służyć jak najlepiej, żeby tylko państwo byli ze mnie zadowoleni i żeby nie wyrzucili mnie na bruk. Przecież jestem bez ojca, bez matki... I nagle w domu zjawia się dostoyny gość – graf. Taki przystojny, że ja... Nagle mnie zauważa...

Słyszę płacz. Gubię się: gdzie ja jestem, kto to płacze, przecież... Podnoszę wzrok znad książki: nie, to nie jest bogaty pałac, to nasz wspólny pokoik. Okna – czarne dziury bez firanek, na ścianie ani jednego obrazka, po polach hula wiatr. A w łóżku obok płacze Ida.

– Ida, czemu tak płaczesz? Co się stało? – Ida zaczyna jeszcze rzewniej płakać. Muszę odłożyć na bok książkowe cuda i uspokoić przyjaciółkę.

Ach, więc to o to chodzi. Okazało się, że kiedy Ida przeczytała książkę, przypomniała sobie o pewnej rzeczy. Ach, ona jest pamiętliwa.

– Co sobie przypomniałaś, Ida? Co? Możesz mi powiedzieć. Nie będę się z ciebie śmiać i nikomu nie powiem.

Cóż, przypomniała sobie Arthura.

¹⁰³ Ale to śmieszne? (niem.)

¹⁰⁴ Peter Rosegger (1843–1918) – poeta i prozaik austriacki (przyp. tłum.)

¹⁰⁵ Hedwig (w Polsce zwykle: Jadwiga) Courts–Mahler (1867–1950) – niemiecka pisarka, autorka popularnych romansów o dość schematycznej fabule (przyp. tłum.)

– Co to za Arthur?

Naprawdę go nie znam? Przecież Arthura znają wszyscy w anształtach. To Artur Binsau z warsztatów. Ida poznała go latem na cmentarzu – cmentarzu anształtów. Kiedy ja wciąż jeszcze leżałam w Kolmarstifcie, Ida z Auguste i jeszcze z innymi dziewczynami wychodziła na spacer. Ponieważ nigdzie indziej nie można było iść, chodziły na cmentarz. Tam się spotykali.

– Ach, jaki on wspaniały, jaki miły... No, może nie miły, tylko... Ach, nie wiem, jak to powiedzieć. Powiedz, Eva, czy ty kiedyś byłaś zakochana?

– I to wiele razy – powiedziałam, szczerze przyznając, z pewną dumą, przypominając sobie wszystkich Martynasów, Mikisów i kogoś jeszcze.

– No i jak to było? – Ida wlepiła we mnie oczy. Czeka, jest spragniona jakiejś ciekawej odpowiedzi. Przecież to musi być coś oszałamiającego.

– Jak to było? – niecierpliwie się.

– Co – „jak to było”? A jak mogło być. Oni do tej pory nie wiedzą, że się w nich kochałam.

– Ach, Eva, bist du dumm! Ach, bist du dumm!¹⁰⁶

– Dlaczego?

– Jeśli kochasz, musisz się całować.

– Ach so...¹⁰⁷ Fuj, wcale nie chciałam, żeby mnie całowali. To bardzo nieładnie. To wręcz nieprzyzwoite. Czy Artur cię całował?

– Oczywiście, że nie. Widzieliśmy się tylko trzy razy.

– Aha... – Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć. I zupełnie nie mogłam zrozumieć, że jak się jest zakochanym, to trzeba się całować. A to, że jej nie pocałował, to znaczy, że już trzeba płakać.

– Przecież Arthur to moja pierwsza miłość, Eva. Naprawdę nie rozumiesz, co to znaczy? Pierwsza miłość.

Boziu! Miałam tyle pierwszych miłości... Nie, nie: może miłość Idy do Artura jest zupełnie inna. Może dla takich starych dziewczyn... ona ma już szesnaście lat. Mówię, że może miłość takiej starej dziewczyny rzeczywiście jest inna niż moja miłość do Martynasa młynarza albo do Martynasa krawca. Ale przecież ja też już mam szesnaście lat...

– Ida, czy ten Arthur jest ładny?

– Gdyby nie był ładny, to bym go nie kochała.

– Może on nie ma ręki albo nogi?

– Nie żartuj sobie, Eva, jest zdrowy.

Nie wiedziałam już, co powiedzieć, nie wiedziałam, jak ją uspokoić. Zdmuchnęłam światło i położyłam się. Kto jak kto, ale Ida w moich oczach już jest „upadłą” dziewczyną. Jak to wyjaśnić, nie wiedziałam. Ale tłumaczyłam sobie tak: dla szesnastoletniej dziewczyny miłość nie jest powodem do płaczu.

Jakiś czas później zdarzyło się coś dziwnego. Do piwnicy z kartoflami w Kinderhilfe przybiegła siostra z Kolmarstiftu. „Gdzie jest Eva? Natychmiast do Kolmarstiftu, czeka na nią jeden pan”.

Mój Boże! Pan – czyli gość. Czy aby tylko nie Bleiveiss? Tak, to musi być on. Oplukuję tylko ręce, ale iść się przebrać do Genesungsheimu – nie ma czasu. Co tam, dla Bleiweissa nie trzeba.

Widzę: na progu Kolmarstiftu stoi mężczyzna. „Pan”. Wysoki, postawny, bez brody, ale z wąsami. Z potężnymi, szlacheckimi wąsami. Nie, to nie Bleiveiss. Idę bojaźliwie,

¹⁰⁶ Ach, Eva, ty jesteś głupia! Jaka jesteś głupia! (niem.)

¹⁰⁷ Ach, tak (niem.)

zatrzymuję się o jeden stopień niżej niż on. Mówię: „Guten Tag”¹⁰⁸. On odpowiada uprzejmie, nawet uchyla czapki.

– To ty jesteś Eva Simoneit?

– Tak, to ja... – Odpowiedź niegrzeczna, ale co robić, przecież nie znam ani jego imienia, ani nazwiska.

– Jak ci się tu podoba?

– Bardzo.

– Miło to słyszeć. A powiedz mi...

Oboje ciągle stoimy na progu Kolmarstiftu. Mijają nas siostry, wydaje się, że patrzą na nas podejrzliwie. A my rozmawiamy. On słucha, ja odpowiadam. Męczy mnie to stanie. Ziębną mi nogi. Do dziurawych butów wdziera się woda z roztopionego śniegu .

– Czy ty wiesz, kim jestem?

Opuszczam głowę, wzruszam ramionami, czuję się winna, że nie wiem, i tyle.

– Jestem twoim patronem. Herr von Rosenthal auf Rosenthal¹⁰⁹.

Boję się, bo nie wiem, co mam odpowiedzieć. Uśmiecham się, czuję się dość głupio.

Nagle – pytanie. Już dawno o nim zapomniałam. Znowu to samo.

– Sage mal, mein Kind, hast du Jesus gefunden?¹¹⁰

Znów spuszcza głowę. Kryguję się, głupiej być nie może. Ale co odpowiedzieć – nie ma pojęcia.

Ale on sam mnie ratuje z opresji:

– Suche, mein Kind, suche, und du wirst finden¹¹¹ – i podsunął mi swoją rękę. Wydawało mi się, że uniósł ją za wysoko, jakby... Czyżby chciał, żebym ją pocałowała?

Ja? Całować rękę? I to komu? Nie, Bleiveissa może i bym pocałowała w rękę, ale on o to nie prosi. A tu...

Pan von Rosenthal auf Rosenthal pożegnał się bardzo chłodno i wyszedł. W tym samym momencie widzę, jak przez furtkę w wysokim ogrodzeniu wchodzi oberka Elisabeth. Spotykają się na środku trotuaru. On uchylił kapelusza, ona wyniośle, ale uprzejmie skinęła głową.

– Czemu tu stoisz, Eva? – zainteresowała się oberka.

– Miałam gościa, tante Elisabeth.

– Nanu, a cóż to za gość?

– To pan von Rosenthal auf Rosenthal. On jest moim... on jest moim...

– Herrgott¹¹²! Wiem wszystko, wiem. Gdzie się spotkaliście? W moim pokoju?

– Fuj, nie! Tante Elisabeth. Rozmawialiśmy w progu – wyjaśniam otwarcie.

Tego wieczora wszystkie siostry z Kolmarstiftu chodziły po klinice z czerwonymi twarzami i zapłakanymi oczyma.

¹⁰⁸ Dzień dobry (niem.)

¹⁰⁹ Pan von Rosenthal z Rosenthal (niem.)

¹¹⁰ Powiedzże mi, moje dziecko, czy ty już odnalazłaś Jezusa? (niem.)

¹¹¹ Szukaj, moje dziecko, szukaj, a na pewno znajdziesz (niem.)

¹¹² Mój Boże! (niem.)

WIOSNA

Ida wychyla się przez okno i tęsknie odprowadza wzrokiem odjeżdżający pociąg. Jej pociąg jechałby w tym samym kierunku co mój – na północ. Śpiewa sobie rozmarzona.

Die linden Lüfte sind erwacht,
Sie säuseln und wehen Tag und Nacht,
Das Blühen will nicht enden.
Du, armes Herz, nun sei nicht bang, nun sei nicht bang:
Es muss sich alles, alles wenden...¹¹³

Jak mówiłam, Ida śpiewa niby sobie, jednak i mnie wtedy coś mocno ściska w gardle. Wiosna. A ja się starzeję. Za rok będę miała już siedemnaście lat, a... No cóż.

Ale nie tylko ta piosenka mnie męczy, ani nawet nie to, że się starzeję. Męczy mnie coś jeszcze: Ida już ze mną nie rozmawia. Od niedzieli. I tyle.

A jak do tego doszło? Och, przez jedno głupstwo! W niedzielę poszliśmy do kościoła. Nie pierwszy raz zresztą.

Poszliśmy całą gromadką, jak zawsze. Była z nami siostra, ale nie za bardzo zwracała na nas uwagę. Usiadła z innymi siostrami, a my usadowiliśmy się jak zwykle na chórze, w drugiej ławce. To też nic nowego. Kiedy idziemy do kościoła, zawsze tu siadamy. My z Genesungsheim. Ta ławka już jest jakby nasza.

A pierwsza ławka „należy” do chłopców z warsztatów. Do tej pory jednak ich nie spotkałyśmy. Może dlatego, że nie chodziliśmy do kościoła co niedzielę, ale tylko czasami.

I nic nie wiedziałam...

Nagle zabrzmiały dzwony, drzwi znów się otworzyły, a do środka wszedł cały oddział chłopaków. Od razu wiedziałam, że to podopieczni szkoły rzemieślniczej. Dwóch czy trzech garbatych, kilku na wpół ślepych, kilku kulawych, no i jeden...

I właśnie z powodu tego jednego Ida już ze mną nie rozmawia. To był ten jedyny zdrowy, ten piękny i interesujący. Spojrzałam na Idę i już wiedziałam, że to jest właśnie Arthur Binsau. O Boziu, on nie patrzy na Idę, patrzy na mnie. Na mnie? Tak, na mnie! Kiedy Ida go dostrzegła, poczerwieniała i spuściła oczy. Potem przez cały czas coś sobie szeptały z Charlotte i Lene.

A ten paskudny Arthur usiadł tak, żeby gapić się na mnie przez całe nabożeństwo. I się gapił.

A czy mnie się podobał? Nie. Jego twarz jest taka, jak i on sam – długa i chuda jak szpagat. Oczy wybałuszone jak u cielaka. Cała reszta – co tu dużo mówić. Drażni mnie, że tak tępo się na mnie gapi. Przez niego nie mogę nawet słuchać kazania. Dlaczego nie mogę? Ano dlatego, że gdybym chciała słuchać, musiałabym patrzeć na twarz mówiącego, czyli biskupa Brauna. Ale jak tu patrzeć, gdy wszystko zasłania nos tego Binsau. Przecież tak się nie da. Jeszcze ktoś pomyśli, że zależy mi na tym chłystku. I Ida zacznie coś podejrzewać. Patrząc w dół i wyraźnie czuję, że się czerwienię. Tylko dźwięki organów pozwalają na chwilę zapomnieć o tej niezręcznej sytuacji.

¹¹³ Łagodne wiatry budzą się,
Szeleszczą, wieją noc i dzień,
Kwitną kwiaty wśród zieleni.
Kochane serce, nie bój się, już nie bój się:
Wkrótce wszystko się odmieni (niem.)

Organista ma piękne litewskie nazwisko: Kristelaitis. Wydaje mi się, że to wielki artysta. Zanim przyjechałam do Angerburga, nie słyszałam niczego piękniejszego niż jego *Hosianna, Hosianna in der Höh...*¹¹⁴

A gdy się wychodzi z kościoła, jakże weselą się i radują organy Kristelaitisa. To nie Maćiulis! I chciałoby się tak słuchać bez końca.

Oczywiście organy Kristelaitisa to zupełnie co innego niż pacierze Brauna. Poza tym on jest taki natchniony, że ktoś taki jak ja niczego nie może zrozumieć. I niech tam.

Wychodząc z kościoła przystaję zasłuchana i czekam, aż ucichną organy, chociaż wcale nie chcę, żeby ucichły. Wychodzę więc ostatnia. Wszyscy już się rozeszli. Rozglądam się za swoimi i co widzę? Przede mną znowu Arthur Binsau. Paskud pewnie sobie wyobraża, że jest zdobywcą serc czy coś podobnego, i...

– Co za bałwan! – prawie mi się wymknęło. Z wysoko podniesioną głową zeszłam po kamiennych schodach. I oto co widzę: niedaleko sklepu Sternberga stoi ta sama grupka ze szkoły rzemieślniczej. A oto idą Charlotte, Ida i Lene. Na ich widok chłopcy szybko się odwrócili do okna wystawowego i zaczęli się czemuś usilnie przyglądać. „Nie widzą” dziewczyn z Genesungsheim.

Idę sama, powoli. Nie mam po co się spieszyć. Przecież nie będę gonić tych „panien”. Na co mi one. Mam o czym rozmyślać. I tak zdążę na obiad. Zdążę umyć naczynia. Zdążę do Auguste. No, teraz tamte obkoczą Auguste. Zaraz jej wszystko opowiedzą, obgadają mnie i...

– Fräulein? – odwracam się zaskoczona. A tu Binsau wyrasta jak spod ziemi. O Boże! Jeszcze tego brakowało, żeby zobaczył nas ktoś z zakładu. Wtedy dopiero sobie pomyśla...

– Czy można dotrzymać towarzystwa, Fräulein? – proste i bardzo głupie pytanie „miastowych”. Słyszałam je wtedy po raz pierwszy, ale wcale mnie nie poruszyło.

– Nie, w żadnym razie! Proszę mnie zostawić.

Zbliżamy się już do reszty chłopaków. Oni nagle na baczność, ruck zuck¹¹⁵ kapelusze z głów. To znaczy, że pozdrawiają mnie z szacunkiem.

– Miło mi – odpowiadam i idę dalej. Czuję, że się czerwienię! Przecież cały szwadron...

– Arthur! – słyszę ostrzegawczy głos. – Zostaw dziewczynę w spokoju. Przecież wiesz, skąd ona jest.

Widzę jeszcze, jak Arthur unosi kapelusz w geście pożegnania. A ja spieszę do domu, całkiem sama. Spieszę, choć nie mam po co. W piersi czuję jakieś radosne uniesienie.

To by było tyle.

Kiedy dotarłam do domu, oberka właśnie odpytywała dzieci, które wróciły z kościoła. Akurat stały przed nią Ida, Charlotte i Lene.

– O czym ksiądz biskup mówił dzisiaj w kościele?

Charlotte i Lene były blade jak ściana. Wbiły wzrok w ziemię i milczały. Ida z początku próbowała się elegancko uśmiechać, ale to nie podziałało. W końcu wyznała zaskoczona:

– Właśnie, o czym mówił ksiądz biskup... Wiedziałam, tylko teraz...

– No, Eva – zwróciła się do mnie tante Elisabeth. – Ty najpewniej nie jesteś z tych, co to w kościele myślą o niebieskich migdałach zamiast słuchać słowa Bożego. Powiedz mi, co czytał dziś ksiądz biskup? Który fragment Biblii?

Dobry Boże! Może gdyby nie ten nos Binsau, to bym sobie przypomniała. Ale czy to dobre usprawiedliwienie?

Poczułam się okropnie, jakbym rzeczywiście była winna. Tutaj nikt nigdy nie wypytuje, czy odnalazłam Jezusa. Przynajmniej mogłam zapamiętać jakiś szczegół. Przecież

¹¹⁴ Hosanna, Hosanna na wysokości (niem.)

¹¹⁵ Raz–dwa (niem.)

to naprawdę nietrudne, która tam Ewangelia, może Pawła, może Mateusza, może nawet list apostoła Pawła... Och, ten przeklęty nos Binsau!

Kiedy oberka już z nami skończyła i wyszła, siedziałyśmy przygnębione, nie mając nawet odwagi spojrzeć sobie w oczy. Wreszcie nadszedł czas obiadu. Z obiadem przyszła odwaga. Jak zawsze siedziałam obok Auguste, pomagałam jej w jedzeniu. No i... nie wytrzymałam, musiałam się pochwalić.

O Boże! Co ja narobiłam!

Teraz Ida zerka przez okno, patrząc za odjeżdżającym pociągiem, marzy o czymś i nuci wiosenną piosenkę. Ale smutno! Ciężko jej na sercu i nie rozmawia ze mną od tamtej niedzieli.

Taka już moja przeklęta natura – nie umiem błagać. I nie będę. Nie umiem przeproszać i nie przeproszę. Niczego złego nie zrobiłam. Nie ja biegłam za Binsau, tylko on łąził za mną jak jakiś... Mimo to gryzie mnie sumienie. Może i jestem trochę winna. Tylko czego? Chyba tego, że się urodziłam i teraz istnieję. Ale nie z własnej woli przecież. A tego jej Arthura kijem nawet bym nie dotknęła. On jest okropny. Okropny dlatego, że w kościele cały czas się na mnie gapił i jeszcze narzucał mi się w mieście. Zaczepiał. Na ulicy!

Ach, jak dobrze teraz rozumiem, co miała na myśli Ania Macaitisów. „Jeśli w mieście na ulicy zaczepia cię obcy mężczyzna, to nie odzywaj się albo powiedz mu: Willst du eins in die Fresse haben?¹¹⁶”.

Ale ja tak nie powiedziałam. I jeszcze się odezwałam. Na szczęście jego koledzy, jak to mężczyźni, mieli więcej rozumu i przywołali go do porządku...

Jak tu zaczepić Idę i nie stracić przy tym godności? Jak jej powiedzieć, że tylko jakiś głupi strach powstrzymał mnie przed powiedzeniem mu: „Willst du eins in die Fresse?”. Och, gdyby wiedziała, jaki on mi się wydaje okropny. Ale tego też nie mogę powiedzieć. Obrazi się jeszcze bardziej. Przecież ten, którego kocha, musi być piękny i „jest” piękny.

Jak by tu do niej zagadać? Może ona już nie jest zła, tylko nie wie, jak zacząć rozmowę, zupełnie jak ja...

– Ładny wieczór mamy dziś wieczorem... – odchrząkam.

I nic.

– Miło by było pójść na łąki i nazrywać kwiatów. Gdyby tylko nam pozwolili... Ale kto tam pozwoli!

Cisza.

– Nie mamy na stole ani jednego kwiatka. W ogrodzie nie można zrywać...

Ida zakasłała.

– A wiesz co, jeszcze nigdy nie byłam na cmentarzu ansztaltów. Idziemy w niedzielę, co ty na to?

Ida mruknęła coś pod nosem.

– Zrobimy tak: ja zajmę się Gucią, a wy wszystkie sobie pospacerujecie. Gdzie tylko będziecie chciały...

Czy nie przesadziłam z tą uprzejmością? Czy to nie wygląda jak błaganie?

– Naprawdę nigdy tam nie byłaś? – odezwała się nagle Ida.

– Naprawdę nie! – cieszę się i szybko mówię dalej. – Kiedy jeszcze byłam „tam”, zmarło kilkoro dzieci. Ale nie byłam w stanie wtedy chodzić na pogrzeby. A tak się chciało wyjść, coś zobaczyć.

– Zapytam tante Elisabeth – z radością zaoferowała się Ida.

Cmentarz był miejscem spotkań wszystkich mieszkańców ansztaltów. Tam też Ida zapoznała swojego szczapowatego Arthura. Powiadają, że ci, którzy poznali się na cmentarzu, spotkają się przed ołtarzem. Może i Ida nosi się z tą myślą. Kto tam wie.

¹¹⁶ Chcesz dostać w mordę? (niem.)

W sobotni wieczór dowiedziałyśmy się, że będziemy mogły iść na spacer na cmentarz ansztaltów.

– Ale tylko z Auguste Stegemann!

– Tak, tak! Taki miałyśmy zamiar.

I jak zaczęłyśmy kręcić loki, jak zaczęłyśmy się szykować! Ja też się oczywiście szykowałam, chociaż szłam tam nie dla chłopców, tylko żeby sprawić przyjemność Idzie. A przynajmniej miałam nadzieję, że sprawię jej przyjemność. Ale ja też byłam młoda, też chciałam być piękna, chociaż wiedziałam, że piękna nie jestem, że te moje zęby... a ten podbródek... nos wielki i cały w piegach. Ale co tam, zapomniałam o wszystkim. Cieszyłam się, bo one wszystkie się cieszyły. Zaplotłam nawet Guci mnóstwo warkoczyków, żeby jutro miała piękne loki.

Następnego ranka Auguste miała loki, ale jakieś takie... Mimo tych loków wszystkie wyglądałyśmy należycie. Oberka, która przysłała nam powiedzieć „dzień dobry”, od razu potrząsnęła głową i zwróciła mi uwagę:

– Eva, Eva, wie siehst du aus mit deiner Lockenpracht?¹¹⁷

Przestraszyłam się i pobiegłam do pokoju przejrzeć się w lustrze. O Boże! Rzeczywiście. Twarzy prawie nie widać, wszędzie tylko loki. Zrobiło mi się wstyd. Zamiast tego uczesałam się jak zwykle. Tylko z tyłu wpięłam czarną wstążkę, która zawsze do wszystkiego pasowała.

Wyruszyłyśmy po obiedzie. Bez siostry, bez nadzoru. Mnie było wszystko jedno. Ida się cieszyła. Widziałam, że naprawdę liczyła na spotkanie z Arthurem. Milczałam, słowem nie wspominałam, że boję się tego paskuda. Bo niby po co! Tym razem się Idzie nie wymknie. Kurczowo trzymałam się wózka Guci.

Mnóstwo grobów. Jeden przy drugim – krzyże, krzyżyki, tu i ówdzie pomniki. Tu pochowano księdza, dalej przełożonego zakładu, gdzieś dalej kilka sióstr. Brakuje mi tu drzew. Ten cmentarz jest zupełnie inny niż te w Żagarai czy Vanagai.

To tak wygląda to nasze miejsce spotkań.

Kiedy dotarłyśmy z Gucią na szczyt wzgórza i znalazłyśmy się na cmentarzu, przystanąłam zdyszana. Podparłam wózek, żeby nie zjechał po zboczu, i usiadłam na jakiejś ławeczce. Wszystko stąd widać. Tory kolejowe, na których przed chwilą dudniły koła pociągu. Miasto, pojedyncze budynki i zwarte zabudowania ansztaltów. A te niekończące się pola! Ale Ida Maksim odwróciła się w przeciwnym kierunku.

– Tam... Widzisz?

O! Warsztaty widać stąd jak na dłoni. A stamtąd nadchodzi grupa chłopaków. Ledwo się obejrzałam, a mojej Idy Puodżius już nie było. Jakby ją wywiało.

– Ida dostrzegła Arthura – szepnęła Gucia. Reszta dziewczyn powoli się rozeszła i zostałyśmy z Gucią same.

Jest tak pięknie i pogodnie, że przypomina mi się dom, Vanagai. Co tam się teraz u nich dzieje? Matka na pewno drzemie obejmując Marysię. Cały tydzień ciężko pracowała i teraz chce odpocząć. Šauklyswie... podobno i Juris, i Ilżunia już poszli do kogoś na służbę. Ania Dūdjonisów wyniosła sobie za ogród poduszkę i śpi. Pracuje w cegielni, też jest zmęczona po całym tygodniu. A ile dziś słońca w Vanagai! Tam słońce świeci zupełnie inaczej. Jaśniej, czystiej, przyjemniej. A te sosny i świerki koło domu Vilkasa, jak one pachną! Tak, sosny... Tutaj nie ma ich wcale. A czy już kwitną łubiny? Nie, jeszcze za wcześnie.

Ech, przecież nie jestem w Vanagai, tylko w Angerburgu. Nie w Vanagai, tylko w Angerburgu siedzę na cmentarzu. Oczywiście słońce w Vanagai świeci jaśniej, ale tam nadal chodziłabym z laską i... i w taki dzień też bym poszła na cmentarz, bo gdzieżby indziej! Ale

¹¹⁷ Eva, Eva, jak ty wyglądasz z tymi lokami! (niem.)

chodziłabym boso, a teraz mam trzewiki i ciemne, bawełniane pończochy... Na obiad było dzisiaj jakieś podejrzané mięso i zupa z owoców, chyba zeszłorocznych. Wszystko było bardzo smaczne. W domu w niedzielę nie jadalіśmy obiadów. Na śniadanie była pusmarszkonka¹¹⁸, kawałeczek mięsa, a wieczorem – kartofle ze śledziem...

– Eva! – usłyszałam głos Guci. – Śpisz?

Nie, nie śpię. Wracam szybko myślami do Guci. Delikatny wiatr muska jej kosmyki, które wyśliznęły się z warkocza. Bawi się nimi. Włosy opadają Guci na nos, łaskoczą ją po twarzy. Widzę, jak Gucia próbuje zdmuchnąć niesforny kosmyk, bo rękami przecież nie może tego zrobić. Ale na nic to dmuchanie. Wiatr wieje mocniej. Trzeba wstać i pomóc Guci. Nie chce mi się. A może jednak... Może...

Ktoś nadchodzi ścieżką, którą tu przyjechałyśmy. Idzie sam. Młody, zdrowy... Nie, naprawdę zdrowy. Zdrowe ręce i nogi. Czemu w takim razie uczy się w warsztatach? No, w sumie Arthur też jest zdrowy... Nie, jak się przyjrzeć, to z bliska przecież widać – wystarczy spojrzeć, jak on chodzi. Za to ten, który teraz tu idzie... Jest już przy nas. Uchyła kapelusza.

– Guciu, znasz go? – ale Gucia nie zdążyła mi odpowiedzieć.

– Guten Tag! – chłopak podchodzi do wózka Guci i ujmuje jej dłoń delikatnie. Bardzo delikatnie. Pewnie wie, że może ją urazić. Tak samo delikatnie kładzie dłoń Guci z powrotem na kołdrę. Gucia uśmiecha się do niego.

– Guten Tag, Bruno. Myślałam, że dawno wyjechałeś.

– Tutaj mi dobrze. Matka już nie żyje, też gruźlica. Gdzie miałbym pójść? Gdzie zajmą się mną tak jak tu, jeśli... Kto wie, jak długo ja jeszcze...

– Bruno, nie można tak mówić – karci go Auguste. Urywa. Co tu jeszcze można dodać.

– To nasza Eva – odzywa się po chwili. – Eine Litauerin.¹¹⁹

– Interessant!¹²⁰ – Bruno podchodzi do mnie i kłania się szarmancko. – Bardzo mi miło. Jestem Bruno Hoher, Fräulein... Fräulein Eva? Jak dalej?

– Eva Simoneit – odpowiadam przytomnie.

– Eva Simoneit, jakie dźwięczne nazwisko! – zachwyca się. – Czy wszystkie litewskie nazwiska są tak dźwięczne?

– Chyba nie. Jest i Vilkas, Skrabas, Skvirblis...

– Ale każde nazwisko ma swoje znaczenie. Co znaczy na przykład... jak to mówicie...

– Ma, tak jak u was – odpowiadam, bo jak tu wytłumaczyć, co znaczy Skrabas albo Skvirblis. Wiem, co to znaczy, ale jak mam to wyrazić. – Bruno Hoher, czyli do góry, ciągle w górę... To znaczy dążyć do czegoś, tak? A co do mojego nazwiska, to nie wiem, jakie ma znaczenie.

– Gdybym był tak wierzący, jak być powinienem, to nadałbym swojemu nazwisku bardzo ważne znaczenie...

– No przestańcie, co wy wygadujecie? – zaczyna się złościć Auguste. Zostawcie w spokoju przeszłość. I te swoje znaczenia. Ha. Wiesz, jak pisał ten... jak mu tam, Eva ... Przecież czytałaś: „Stworzyli mnie bogowie (powinno się mówić Bóg, ale przecież nikt nas nie słyszy), a imię dali mi ludzie”.

Zamilkliśmy oboje i z podziwem spojrzeliśmy na Auguste, nasz autorytet. Święta racja. Przez głowę przemknęła mi myśl: dlaczego nie chce mówić „Bóg”? Dlaczego mówi „bogowie”? Nie pamiętam, żeby tak było gdzieś napisane, ale niech już będzie.

¹¹⁸ Rodzaj potrawy przygotowywanej z ziemniaków i mąki. Na Żmudzi obok pusmarszkonki (lit. *pusmarškonė košė*) istnieje też marszkonka z jednego rodzaju produktu. (przyp. tłum.)

¹¹⁹ Litwinka (niem.)

¹²⁰ To ciekawe! (niem.)

Zamilkliśmy. O czym jeszcze mielibyśmy rozmawiać. Czy koniecznie trzeba rozmawiać z człowiekiem? Tak, z człowiekiem.

Bruno Hoher. Jakie czyste i pełne blasku są jego oczy, jakie głębokie i rozumne. A może to smutek... Co on powiedział na początku: „Matka też już nie żyje”... Czuję, jak łyżę cisną mi się do oczu, ścisną mnie w gardle... Znow patrzę na Brunona. On patrzy na mnie. Trudno znieść to jego spojrzenie...

– Ciekawe, gdzie nasze dziewczyny – odezwała się w końcu Gucia.

Rzeczywiście nigdzie ich nie widać. Nie ma też kolegów Brunona. Tylko kilka nieznanym kobiet spaceruje po cmentarzu, oglądają krzyże i pomniki, w końcu odchodzą. Zostaliśmy we trójkę. Auguste uśmiecha się jakoś dziwnie, a Bruno znow patrzy na mnie. Mam wrażenie, że znamy się z Brunonem od wielu lat... Nie, raczej tak, że po tym spotkaniu już się nigdy nie rozstaniemy. Poszłabym za nim albo on musiałby za mną.

Siedziałam na wąskiej ławeczce. Odruchowo położyłam rękę na jej oparciu – nie dla ładnej pozy, chciałam się po prostu oprzeć. Tak sobie siedząc, zmagalam się z Bogiem... Tak, z Bogiem. Może nie tak należałoby powiedzieć, może to zbyt patetycznie. Ale w głębi serca krzyczałam: dlaczego, dlaczego! Boże, dlaczego?

Od tamtej chwili, od tamtego angerburskiego cmentarza niemal do dziś... nie, do wczoraj... prześladowało mnie to „dlaczego”...

Nawet nie zauważyłam, kiedy Bruno podszedł do mojej ławki. Poczulałam tylko coś delikatnego i ciepłego na wyciągniętym ramieniu. Nie, to mnie nie przestraszyło, choć była to młoda, łagodna twarz Brunona Hohera. Jeszcze raz spojrzeliśmy na siebie.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, nawet nie myśleliśmy o tym, że patrzymy tak na siebie po raz ostatni.

Auguste tego nie widziała, niczego nie widziała. I choć rozmawiałam z nią potem o Brunonie codziennie, to tamtą wyjątkową chwilę zachowałam tylko dla siebie.

Pojawiły się pozostałe dziewczyny. Wróciła Ida Puodžius. W rękach trzymała jakąś kartkę. Dostała ją od Arthura. Zapisał jej tekst najnowszego szlagieru.

Denn das haben die Mädchen so gerne,
Die im Stübchen, wie die im Salon.
Schaun des nachts auf ihr Bettchen die Sterne,
Und dann träumen sie alle davon.

W drodze do domu Ida nie posiadała się z radości. Nucila melodię szlagieru twierdząc, że właśnie się jej nauczyła od Arthura. Wiedziałam jednak, że w Kinderhilfe nawet ptaki ćwierkają ją z pamięci, taka jest znana. Ale co tam! Skoro z Arthurem wszystko się ułożyło, to Ida i ja możemy już żyć dalej w zgodzie i radości.

Ida zwierzyła się, że wyszli z Arthurem za ogrodzenie cmentarza, tam, gdzie rosną krzewy i skąd rozpościera się piękny widok. Siedzieli na trawie we dwoje. Ona siedziała tak, o tak, i pokazała jak. Protezę miała oczywiście pięknie i elegancko zasłoniętą plisowaną spódnicą. On wcale nie patrzył na jej nogi, tylko zbierał dla niej kwiaty i tak dalej. I już mieli do nas podejść, ale... ale zobaczyli, że po cmentarzu spaceruje też ta z Kinderhilfe. Ta, jak jej tam... no taka garbata.

– Wiecie, ta z pralni. Musieliśmy się z Arthurem szybko schować.

– Wiesz, Ida – zauważyła Auguste. – Mądrzej byście zrobili, gdybyście zostali z nami. Przyszedł do nas Bruno Hoher.

– Ach, on – Ida pogardliwie machnęła ręką.

To dziwne, ale wcale mnie tym lekceważeniem nie uraziła. Nawet się cieszyłam, że nie muszę rozmawiać z nią o Brunonie.

Teraz wózek pchała Ida Maksim. Nikt nie zauważył, że zostałam nieco w tyle.

Zaczynałam mieć już powoli dość Idy i tego, jak obnosiła się ze swoim szczęściem.

Bruno... przecież nawet nie pamiętam, jak my się pożegnaliśmy. On chyba... Ach, jak to było? On jak gdyby się uniósł nad ziemię i... Nie, nie tak. Jakby stał się tchnieniem wiatru. Jednak wciąż czuję na sobie jego spojrzenie. I wciąż czuję, jak jego usta muskają moją dłoń.

W domu czekała już na nas oberka Elisabeth, jak to się mówi, „in hochst eigener Person¹²¹.” Serce tłukło mi się w piersi, jak gdyby już przeczuwało coś niedobrego. Ida najpierw zbladła, potem się zaczerwieniła. Pozostałe dziewczyny zerknęły na siebie porozumiewawczo, po czym spojrzały na Idę i odwróciły się, żeby ukryć drwiące uśmieški.

– Dziewczęta, gdzie byliście? – ostro spytała oberka.

– Na cmentarzu, tante Elisabeth – odparłyśmy niemal jednym głosem.

– Dziękujemy, tante Elisabeth – dodałam od siebie.

Ale oberka nie słuchała, tylko spytała jeszcze ostrzej.

– Czy wszystkie byliście razem? Wszystkie byliście z Auguste?

Nieprzyjemna cisza.

– Ida, gdzie byłaś? Z kim ty się... przechadzałaś? – oberka nie mogła przecież powiedzieć: „Z kim siedziałaś po krzakach?”

Grobowa cisza. Tylko proteza Idy zatrzeszczała złowieszczo.

– Nigdy już nie pójdziecie same ani na cmentarz, ani nigdzie indziej. Nigdy! – to był straszliwy wyrok. Wiedziałyśmy, że zostanie wykonany.

Całą tamtą noc Ida przepłakała. Ale ja mogłam myśleć tylko o miłych, spokojnych oczach Brunona.

¹²¹ W całej swej okazałości (niem.)

WAKACJE

A lato takie piękne, lato słoneczne, lato wesołe, lato ciekawe!

Przynajmniej dla mnie. Przecież jestem taka młoda. Co prawda już nigdy nie spotkałam Brunona. Ale nawet się jakoś specjalnie nie rozglądałam. Samo wspomnienie było miłe. Często rozmawialiśmy o nim z Auguste. Wiedziała o nim co nieco, ale tylko o rzeczach dobrych albo smutnych. Potrafiło to wypełnić serce szesnastoletniej dziewczyny. Nie trzeba było nic więcej, wystarczyły marzenia.

I marzyła.

Tuż przed Zielonymi Świątkami, niemal w tym samym czasie, co w zeszłym roku, dr Rehberg uznał, że należałoby mi zrobić jeszcze jedną operację – tym razem usunąć rzepkę i całkowicie unieruchomić nogę. Wtedy ból nie będzie tak często zmuszał do leżenia. Usunięto by ognisko gruźlicy i byłabym całkiem zdrowa.

Zgodziłam się, ale poprosiłam o kilkutygodniowe wakacje. Chciałam do domu. Matka tym razem już na pewno nie przyjedzie. Takie cuda jak ten zeszłoroczny zdarzają się tylko raz w życiu. Tak, chcę do domu przed operacją.

Wyjechałam na cztery tygodnie.

Nie sama. Auguste Stegemann też chciała do domu i pojechała. Na wakacje. Uzgodniłyśmy, że pojedziemy razem – przez Goldap i Darkehmen aż do Insterburga.

Ach, co za radość! Do Insterburga towarzyszy nam siostra Helene Schablowsky. Podróż z Gucią jest męcząca. Do pociągu muszą ją wnosić dwie osoby. Przy przesiadce w Goldap musiał pomóc kolejarz. Oczywiście każdy nam chętnie pomagał. Wszyscy rozumieli, że jesteśmy podopiecznymi zakładu w Angerburgu. Bardzo współczuli i nam, i siostrze Helene.

W Insterburgu spotkały nas pierwsze poważne rozczarowania. Mieli tam być rodzice Guci, mieli czekać na córkę z wózkiem i powitać ją jak należy. Nie było nikogo. Ktoś przyniósł krzesło z dworcowej restauracji. Siostra posadziła na nim Gucię, a sama pobiegła na pociąg powrotny. Zostałyśmy we dwie, przeraźliwie same i nieszczęśliwe. Słychać tylko huk pociągów przejeżdżających nam przed nosem. Niektóre zatrzymują się i wyrzucają gromady ludzi, które rozpraszają się na pojedyncze osoby, a te potem rozchodzą się na wszystkie strony. Na nas nikt nie patrzy. Nie jesteśmy dla nikogo interesujące.

Mój pociąg w kierunku Tylży i Kłajpedy odjeżdża za kilka godzin. To nieco uspokaja Gucię. Jeszcze dwie godziny! Przez ten czas... znajdą się oczywiście matka i ojciec. A ja spokojnie ruszę dalej.

Ale w międzyczasie podstawili już mój pociąg, a Stegemannów nadal nie ma. Rozpłakałyśmy się obie, wyczułyśmy i... jakie to było straszne! Musiałam wyjechać, zostawiając Gucię samą. Ale co miałam robić! Bilet jest ważny tylko dziś. Nie mam więcej pieniędzy, poza tym mam tylko szesnaście lat. Wiele razy mnie napominano, straszono, że mam trzymać się poleceń i słuchać. Poza tym pracownicy kolei o mnie wiedzieli. Szesnastolatka... Jeszcze zacznie gdzieś sobie chodzić, wałęsać się. Przecież jak wszyscy w tym wieku musi być głupia i ciekawska. A ilu porwaczy! Uważaj, żeby nie wpaść na jakiegoś ludożercę. To było ostatnie ostrzeżenie. Wiedziałam, wszyscy przecież wiedzieli, że w Niemczech nie ma ludożerców. Mimo to czasem tak mówiono. Kiedyś Idę wysłano gdzieś na obrzeża miasta. Było je widać z naszych okien. Widzę, jak oberka wskazuje ręką i słyszę, jak mówi:

– Ida, widzisz ten zielony dom? Broń Boże nie idź tamtędy. A gdybyś musiała o coś spytać, znajdź jakiś inny. Tylko nie idź do tego zielonego, tam mieszkają ludożercy. A ty taka młoda...

Tamten dom od strony podwórza wydawał nam się bardzo ładny i ciekawy, przynajmniej z daleka. Lubiłam czasem o nim marzyć. Obrastała go winorośl... Potem Ida mówiła, że pędem przebiegła obok tego domu. Tak bardzo ją przerażał. Od tego czasu sama bałam się nawet spojrzeć w tamtą stronę.

Co prawda pracownicy kolei wiedzieli też o Guci, dlatego nie trzeba było się aż tak martwić. Ale jednak zostałyśmy same – i jedna, i druga. Przecież nie ma się kogo poradzić. Na przykład wtedy, kiedy dzieje się coś takiego. Do tego samego przedziału wsiadł jakiś prawdziwy „pan”. Głośno rozmawiał, dużo się śmiał. Drażnił mnie. Właściwie można powiedzieć, że mnie zaczepiał, chociaż nie dotykał rękoma, tylko zalewał słowami. Nagle na ziemię wysypały mu się zapalki. Uczono mnie, że zawsze trzeba przyjść z pomocą starszej osobie, czyli teraz pochylić się i je pozbierać. Tego ponoć wymaga uprzejmość. Ale mimo że czułam, jak się czerwienię, postanowiłam nie być uprzejma, bo on wcale nie był aż taki stary, a poza tym zaczepiał mnie bez powodu. I tak się już nie spotkamy, pocieszałam się. Niech potem sobie myśli o mnie, co chce. Chyba naprawdę czekał, aż mu przyjdę z pomocą, bo dopiero po pewnym czasie się schylił i... zobaczył moją nogę w gipsie. Cicho pozbierał zapalki i wcisnął się w kąt, żebym mogła się wygodniej rozsiaść. Teraz było dla mnie jasne, że dobrze zrobiłam nie spiesząc z pomocą.

Wysiadłam w Szyłokarczmie. Matka stała tam już długo i czekała na mnie. Ach, cóż może być miłszego od widoku matki! Już gdy pociąg skręcał, dostrzegłam białą chustę, którą zawsze nosiła. Twarz ciemna i z natury, i od słońca. Jaka ona piękna. Moja matka! Nikogo piękniejszego nie ma na świecie...

– A gdzie twoja laska? – to były jej pierwsze słowa.

– Zapomniałaś, że nie chodzę już o lasce? – dziwię się. Jednak triumfuję – zapomniała...

– Nie, Ewuniu, pamiętam z listów, ale jakoś nie mogłam uwierzyć. Wspomniałaś tylko tak mimochodem, przy okazji. Myślałam sobie: ale jak to! Powiedz, dasz radę dojść pieszo?

– Oczywiście, że dam. Jak nie dam, to skąd weźmiemy wózek?

– Musiałabym pobiec z powrotem do Traksédźiai i tam jakoś poszukać.

– A daleko te twoje Traksédźiai? – mówię do matki wyniosłym tonem, bo przecież przyjechałam z „wyższych sfer”, czyli z Niemiec. Kto stamtąd wraca, musi być „mądry”.

Po drodze zauważyłam wielu ludzi stojących na progach domów. Wszyscy już wiedzieli, że córka Budrysowej wraca z bardzo daleka. Budrysowa nie tak dawno zamieszkała w Traksédźiai, ale dała się już poznać i zdobyła szacunek.

Tak więc przyjechałam niby do domu, ale nie do końca. Traksédźiai to nie Vanagai.

Doszłyśmy do chatki, która była dość kiepskim stanie. Dom Vilkasa nie był za wygodny, ale ja dobrze się w nim czułam. Choć wiedziałam, że matka teraz tu mieszka, to jednak moje myśli, te przyjemne, krążyły tylko wokół domu Vilkasa w Vanagai. Otaczały go zupełnie jak lasy sosnowe i świerkowe.

Przy tym domku nie było ani jednego drzewka. Naprawdę ani jednego. Budrys próbował tylko postawić płot, a matka siać czy też sadzić kwiaty i jakieś warzywa. Dwadzieścia czy trzydzieści kroków dalej biegła szosa Kłajpeda – Priekulė – Szyłokarczma. Chociaż o tyle dobrze. Do sąsiadów Piragynasów był rzut kamieniem. To drobni rolnicy. Domek należał do kolejnej staruszki na dochówku, Bedarbisowej. Żeby nie płątała się pod nogami młodszym gospodarzom, umieścili ją w tej chałupie. Domek popadał w ruinę.

Kiedy wróciłyśmy, zobaczyłyśmy Marysię siedzącą w rogu na ziemi. Dokoła leżało kilka jej zabawek.

– Marysiu – podchodzę do siostry, ale ta podniosła rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Usiądź tutaj – rozkazała przesuwając się trochę w bok. Było tam jednak tak mało miejsca, że nie dałam rady się usadowić z nogą w gipsie.

– Widzisz, Ewuniu – zaczęła wyjaśniać matka. – Tam w rogu jest kilka desek podłogowych. Jeszcze nie przegniły. Ona codziennie myje te deski i na nich siada. Widać wyobraża sobie, że u nas jest jak u Piragynasów, gdzie wszystkie pokoje są wykładane deskami. Dziś szczególnie długo uwijała się przy myciu. Widzisz, ma tam w rogu bukiet kwiatów i butelkę. Pochwal ją. Moje dziecko chce, żeby było tak ładnie i wytwornie, ale niczego nie mamy, to znaczy kiedyś...

Nie, nie mamy niczego, to było dla mnie jasne. W domu Vilkasa przynajmniej miałyśmy firanki, a tutaj nawet tyle nie zostało. Widać się zniszczyły.

Ale zostało jedno: słońce! Może tylko dlatego, że słońce oświetla ten pokój od wczesnego ranka do późnego wieczora, może naprawdę tylko dlatego Budrys go sobie wybrał. Jak to się mówi, wybrał instynktownie. Matka twierdziła, że pomysł przeprowadzki do okolic Szyłokarczmy wiązał się z pracą. W odległości kilkudziesięciu kroków była fabryka torfu w Traksėdžiai, kilka kilometrów dalej – bagniska Traksėdžiai i Aukštumalas. Można tam pracować, ile się da radę. Ile się zdoła, i to nie za bańkę mleka czy piętke chleba, ale za prawdziwe pieniądze. Może nie dają ich dużo, ale jeśli pracuje się co sił, to jest co jeść...

Matka i ojciec też chodzili tam codziennie do pracy. I... co prawda chleba wystarczało, ale przecież nie samym chlebem człowiek żyje. Trzeba jeszcze mieć coś do chleba. Tylko że w Szyłokarczmy trochę trudniej było się wyżywić. Stąd nie pójdziesz na Żmudź i nie kupisz mięsa za kilka fenigów, jak to robiliśmy w Vanagai, gdzie granica była za trzy kilometry albo i bliżej.

Przyjechałam na wakacje na Zielone Świątki. Miałam teraz wyruszyć do Vyžiai, gdzie przeniósł się ksiądz Bleiweiss. Z okazji święta zaprosił do siebie wszystkich mieszkańców Vanagai, zwłaszcza stowarzyszenia chórzystów i orkiestrę dętą. Chórem żeńskim kierowała moja siostra cioteczna Ania Dūdjonisów. Szacunek!

Rano w Zielone Świątki wyruszyłam na dworzec w Žibai w świątecznym nastroju. Wówczas ludzie mówili jeszcze „Žibai”, chociaż przyłączono to już do Szyłokarczmy. Stacja w Žibai nazywała się już Heidekrug.

Gdy wsiadłam do pociągu, przy oknie zobaczyłam mieszkańców Vanagai, wśród nich też Anię. Ale wszyscy na mój widok odwracali się w drugą stronę. Ania też. Później się dowiedziałam, że to przez to, że wsiadłam do pociągu z siostrą cioteczną Ilżunią Šauklysów. 15-letnia Ilżunia była ich zdaniem „bardzo dziwna”. Nikt nie chce się z nią zadawać i nikt się nie zadaje. Ilżunia przyjechała wczoraj zobaczyć się ze mną. Namówiłam ją, żebyśmy pojechały razem do Vyžiai. Zrzuciła swoje litewskie ubrania i ubrała się „po niemiecku”, czyli w przywieziony przeze mnie strój. W ciężkiej, szarej, wełnianej spódnicy i wielkim czarnym kapeluszu wyglądała naprawdę dziwnie i nawet zabawnie. Ale miała przecież tylko piętnaście lat, a ja szesnaście. Nie miałyśmy większego pojęcia o tym, co jest modne i gustowne. Ważne, że „niemieckie”.

Wysiadając w Juknaičiai, Ania przeszła obok mnie z dumnie zadartą głową i rzuciła po niemiecku (chyba jej się wydawało, że tak jest ładniej, a może poważniej):

– Du bist nicht mehr meine Kusine!¹²²

Mój świąteczny nastrój przysł. Rozplakałam się. Ilżunia Šauklysów spuściła wzrok. Grupki mieszkańców Vanagai błyskawicznie się rozpierzchnęły, a my z Ilżunią szłyśmy powoli we dwie. Nie dałam rady szybciej, a poza tym nie zamierzałam nikogo gonić.

Zaczęłyśmy jednak mieć wątpliwości – może lepiej wrócić i poczekać na pociąg? Skoro nawet swoi tak się wobec nas zachowują i mówią takie okropne rzeczy, to co będzie tam, wśród obcych? Tak strasznie mi zimno! Ale nie mogę wrócić. Przecież Bleiweiss napisał, żeby koniecznie przyjechać, jak będę w domu. Chce mnie zobaczyć bez laski.

¹²² Nie jesteś już moją siostrą cioteczną! (niem.)

Nagle na szosie do Vyžiai powstaje jakieś zamieszanie wśród idących, aż w końcu pochód z Vanagai się zatrzymuje. Co się stało? Nie możemy zrozumieć. Za daleko. Nagle... O Boże! Od grupy oddziela się jedna osoba. Coś powiewa na wietrze...

Ksiądz Bleiweiss w befce i w birecie wita mieszkańców Vanagai, a potem wysyła ich do kościoła i wychodzi mi na spotkanie.

Tak, to była obustronna radość. On, mój drogi Bleiweiss, zobaczył mnie bez kuli, bez laski, chociaż w gipsie. Ale to nic. Szłam może i powoli, ale za to wyprostowana. Wtedy po raz pierwszy, a może i ostatni w swojej młodości poczułam się piękna i elegancka. Jednak Bleiweiss tego nie widział. Patrzył na moją piegowatą twarz i szukał... szukał chyba oznak szczęścia. I naprawdę niczego mi w tamtej chwili nie brakowało. Byłam szczęśliwsza od tych wszystkich, którym szczęście mać jakąś, choćby niewielką, zadrę w sercu. To mnie wyszedł na spotkanie Bleiweiss, rezygnując z towarzystwa tych wszystkich zdrowych i „ważnych” ludzi. Można by powiedzieć, że wróciłam na łono ojczyzny bez laski, bez kuli. I jest to jego zasługa.

Kiedy doszliśmy do kościoła, spostrzegłam, że w naszą stronę idzie Ania, czerwona jak rak... Ale Bleiweiss, zupełnie jakby wiedział, co Ania nam powiedziała w pociągu, zaprowadził mnie i Ilżunię prosto do kościoła.

Po nabożeństwie Ania znów do mnie podeszła. Bleiweissa nie było, więc mogła teraz ze mną porozmawiać.

– Ewuniu, nie złość się... – zaczęła po litewsku. – Za to, co wcześniej powiedziałam.

– Jak tu się nie złościć? A czemu tak powiedziałaś?

– Wiesz, że chciałam, żebyś przyjechała do Vanagai. Nie przyjechałaś, a teraz łazisz tu z Ilżunią. Przecież wiesz...

– Ja miałabym do Vanagai... A przyjechalibyście mnie odebrać do Priekulė? Nie przyjechalibyście – rzuciłam ze złością.

– Odebrać? Przecież sama widzisz, że dobrze już chodzisz. Z laską dawałaś radę dojść tam do nas i jeszcze dalej.

– Dlatego że szybciej będzie sobie dali rękę uciąć niż... niż zaprzęgli dla mnie te swoje szkapy.

– Zaprzęgniemy, jeśli będzie trzeba. Po co się teraz złościć. Bądźmy znów siostrami jak dawniej. Kto przyjechał w zeszłym roku do Angerburga? Ilżunia? Ja przecież przyjechałam.

– Taa, przyjechałaś i ciągle mdlałaś. Nawet dnia matka nie mogła... Ilżunia przyjechała wczoraj, chciała mnie zobaczyć, gdy... A ty się ocknęłaś dopiero, jak zobaczyłaś, że ksiądz... – płacz ścisnął mi gardło, więc zamilkłam.

Ksiądz Bleiweiss oznajmił, że w ogrodzie pod jabłoniami rozstawiono stoły. Zaprasza drogich gości, by usiedli i się częstowali.

A stoły naprawdę się ugiwały od słodkich ciast i kawy. Ania wzięła mnie pod pachę i chciała poprowadzić, ale gdy przechodziłyśmy obok werandy, przybiegła Bleiweissowa, wzięła mnie pod drugą pachę, przeprosiła Anię i zaprowadziła mnie na werandę.

– Wie ich mich freue, wie ich mich freue, mein liebes, liebes Evchen!¹²³ – szczebiotała Bleiweissowa.

Na werandzie były te same ciasta i kawa co w ogrodzie. Ale byli tam też goście „z wyższych sfer”, którym nie wypadało siedzieć w ogrodzie z młodzieżą, zwłaszcza z taką z Vanagai. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało.

Oczywiście „Evchen” była teraz w siódmym niebie. A widok Fräulein Erny Neubacher usługującej jej i pozostałym państwu napawał ją swego rodzaju mściwą satysfakcją. Wiedziałam oczywiście, że był to honorowy obowiązek Erny. Ale przecież to ona naskarzyła

¹²³ Jak ja się cieszę, jak się cieszę, moja kochana, kochana Ewuniu! (niem.)

w dzieciństwie nauczycielowi, że nie chodzę do szkoły i nieźle wtedy za to ode mnie oberwała. Nigdy już potem ze mną nie rozmawiała. Ja byłam biedna, ona była córką gospodarza. A teraz Erna musi... musi! mnie spytać: „Darf ich einschenken?”¹²⁴ Tak, musi, bo tuż obok są Bleiweiss i Bleiweissowa. A ja odpowiadam:

– Ja, warum nicht!¹²⁵ – A gdy już nie chciałam: – Nein, genug!¹²⁶ Ale „bitte” albo „danke”¹²⁷ jej nie powiedziałam. Pokazałam jej, tej napuszonej Niemczynce... No może nie aż tak napuszonej, ale nosi białą, muślinową sukienkę z szykownym dekoltem i niebieskawymi, jedwabnymi wstążkami. A moja sukienka jest czarna, z długimi rękawami, prostym kołnierzem, który jest zresztą olśniewająco biały i „jest mi w nim do twarzy”.

Wieczorem Bleiweiss poprosił jakiegoś gospodarza, żeby zawiózł mnie na dworzec. Sam nadal nie miał ani koni, ani wozu.

Kolejnego dnia Zielonych Świątków czekał nas najazd krewnych. Wszyscy chcieli zobaczyć „tę Èvè” bez laski. I zobaczyli. Była radość, były i łzy – łzy radości. Było dużo gadania, dużo pomysłów i nadziei. Ale najważniejsza była tamta laska.

– Spójrzcie tylko, co wyrosło z tej Èvè! – z nieukrywaną dumą mówi ciocia Madlè Skrandysowa, jak zwykle ocierając łzy. Płacze przecież i z radości, i z zatroskania. Radość nie mieści się w jej sercu, więc łzy tryskają na prawo i na lewo.

– Tak tak, widzicie, że nawet dziś Bóg czyni cuda! – pobożnie stwierdziła ciocia Šauklysowa.

– Jakie cuda? – drwiąco odparła matka. – Dlaczego ich nie uczynił przed Angerburgiem? To doktor! Doktor sprawił te cuda. A ja widziałam, ach, widziałam, ile Èvè przed tymi „cudami” wycierpiała. Widziałam na własne oczy.

Šauklysowa wytarła łzy, a Skrandysowa śmiała się. Ale przez to, że wszystkie były siostrami i wszystkie były starsze od Skrandysowej, ta już się nie odezwała. Mimo to było dla mnie jasne, co musiała sobie pomyśleć. A myślała tak: „Gdyby nie ja i ksiądz Bleiweiss, to Èvè nadal chodziłaby o lasce. A może i nie chodziłaby już wcale, tylko leżała... To my sprawiliśmy te cuda.” I to była prawda.

Dūdjonisowa, choć zwykle chętnie wtrącała się do każdej kłótni, tym razem milczała. Widziała tylko efekty. Nie, nie miała w tym wszystkim żadnego udziału. Przecież nie chciała, żebym jechała do Angerburga, ale jak już nie było co ze mną zrobić... Tylko jedna rzecz ją zaciękała. Spytała mnie:

– A dają tam dobrze jeść? Wystarczająco?

Po Zielonych Świątkach zostało mi jeszcze dwa i pół tygodnia. Matka z ojcem poszli do pracy na bagna Aukštumalas. Ja zostałam w domu z siostrą. Przez ten czas miało miejsce jeszcze kilka godnych wzmianki wydarzeń. Najpierw strasznie się na mnie zdenerwowała Bedarbisowa. Była ona już niemal całkiem głucha. Nie mogłam się z nią dogadać ani po litewsku, w mojej gwarze z okolic Priekulė, ani po niemiecku, bo niemieckiego nie znała. Jak ktoś jest głuchy, to gadaj zdrów, choćby językami aniołów. Poza tym niedowidziała. Było mi żal, że musiała zostawić swoje całkiem pokaźne gospodarstwo i zamieszkać w tej chałupie. Nikt jej nie pomaga, nikt do niej nie przychodzi. Tylko ona sama czasem pójdzie do córki po mleko albo coś innego.

Pogniewała się na mnie z dwóch powodów.

Któregoś ranka wyrobiła ciasto na placki i przyszła je smażyć do kuchni. Akurat wtedy też tam byłam. Nagle widzę, że w ciasto wpadły dwie muchy. Chcę jej powiedzieć, ale mnie

¹²⁴ Czy mogę nalać? (niem.)

¹²⁵ Tak, czemu nie! (niem.)

¹²⁶ Nie, wystarczy! (niem.)

¹²⁷ „Proszę” albo „dziękuję” (niem.)

nie słyszy albo nie chce słyszeć. Wzięłam pierwszą z brzegu łyżkę i próbuję wyjąć te muchy. Oj, panie! Zobaczyła:

– To tak się wobec mnie zachowujesz? Wiem, że twoja matka lubi jeść surowe ciasto. Przecież jak wyrabia je na chleb, to zjada prawie połowę. Od niej się nauczyłaś? Bezwstydnic!

Rzuciłam łyżkę i wyszłam. Nie chciałam już patrzeć ani jak smaży, ani jak je. Ale kilka dni później znów było zamieszanie.

A było to tak.

Wieczór. Słońce jest może o piędź od ziemi. Przygotowałam już kolację – ziemniaki ze śledziem.

Czekałyśmy z Marysią na rodziców wracających z torfowiska. I nagle widzę: za rogiem domu kłęczą stara Bedarbisowa. Odmawia pacierze, to znaczy: modli się. Klepie głośno znaną modlitwę, a potem śpiewa:

Niech ciało już spocznie
Niechaj sobie odpocznie...

– Gdzie są te moje kury? Czy poszły już spocząć, czy znowu do zboża... – przypomniała sobie staruszka, urywając nagle nawet nie w połowie strofy.

Dostrzega mnie. Widzi, jak tarzam się ze śmiechu. Ta jej złość jest straszniejsza od poprzedniej.

– Przystaniesz ty wreszcie, kulawa paskudo? Sama jesteś jedną nogą w grobie, a jeszcze się śmiejesz ze starego człowieka. Myślisz, że nie słyszę, jak nocami kaszlesz i stękasz? Ja wszystko słyszę.

Śmiesz mnie to jeszcze bardziej: po pierwsze, nigdy nie kaszlę, a po drugie – ona jest głucha i mieszka za ścianą.

Biedna staruszka nie skończyła swoich wieczornych modłów, tylko wstała i rozszoszczona poszła na spoczynek. Jej kury w tym czasie wróciły i wyciągając głowy nie mogły się nadziwić, że drzwi kurnika są zamknięte. Nie wiedziały oczywiście dlaczego. Chciałam im wyjaśnić, ale nie wyszło. Poszłam otworzyć zasuwę i wpuściłam je do kurnika.

Piragynasowie mają troje dzieci. Córka jest bardzo ładna i jest teraz na wydaniu. Zaprzyjaźniłyśmy się, bo przychodziłam do niej nocować. Mają też dwóch synów – Viliusa i Dovasa.

Vilius i Dovas się we mnie zakochali. Bez pamięci. Vilius ma osiemnaście lat, a Dovas piętnaście. Vilius narwał całe naręczce białych bzów, niesie je do mnie i wciska przez okno. Nie wchodzi do środka, bo jeszcze by się zaczęły plotki.

– Mogę dostać twój adres, Eva? – pyta Vilius lekko się czerwieniąc.

– Nie! A na co ci mój adres?

– Chcę do ciebie napisać.

– Nie, nie pisz do mnie, Vilius. Czytają tam nasze listy. Co by mi powiedzieli, gdyby znaleźli list od chłopaka.

– Przecież mogę być twoim kuzynem.

– Nie, nie. Nawet moi prawdziwi kuzyni do mnie nie piszą.

– Vilius, Vilius, idź do domu! – gani go Marysia.

Vilius Piragynas chciałby być dla mnie taki dobry, ale nie wie jak. Na oknie wala się portmonetka.

– Czyja to portmonetka? – pyta Vilius.

– Moja. Ale pusta, niech sobie leży.

Vilius wyciąga z kieszeni duże ładne kurcze jajo i wciska je do portmonetki. Śmiejemy się oboje. Ale Marysia mówi z oburzeniem:

– Vilius panoszy się jak kogut.

Gdy Vilius sobie poszedł, od razu postanowiłam usmażyć dla nas placki z tego jajka. Chciałyśmy jeść. To nie Angerburg, gdzie chleb jest co prawda suchy, ale zawsze przygotowany do zjedzenia. Marysia w tym czasie stoi na ławce pod oknem i zerka, co się dzieje na zewnątrz. Nagle słyszę, jak znów fuka.

– Dovas, Dovas, dostanie w pysk!

Tylko jego tu jeszcze brakowało... Wychodzę za próg, a na podwórzu zza stogu siana wystaje strasznie wielki bukiet niebieskich bzów. Przez bukiet zerka ukradkiem jednym okiem Dovas Piragynas. Leży na brzuchu, żebym go nie zobaczyła, chociaż właśnie chce, żebym zobaczyła. I widzę.

– Eva! Evchen!

– Czego chcesz, prosiaku?

– Masz bzy. Nie chcesz?

– Ale już mi... – zaczynam, ale w porę gryzę się w język. – Przynieś.

– Chodź i weź.

– Jak chcesz dać, to przynieś do chaty. Pod stóg na pewno nie przyjdę.

– Chodź, Evchen! Masz, weź.

– Zobaczysz cię Vilius i oberwiesz! – zaręczam.

– Phi, Vilius! – prycha Dovas z lekceważeniem.

Nie idę pod stóg. Fuj! Nie umie mi ich inaczej wręczyć. Wracam do swoich placków.

– Dovas, Dovas, dostanie w pysk! – znowu słyszę Marysię.

Nie wytrzymuję, idę zobaczyć, gdzie ten mój wielbiciel. Nikogo nie ma. Jestem trochę zawiedziona. Cóż, przecież ja...

– Bzy, bzy! – słyszę Marysię.

Niech sobie gada, ja muszę skończyć te placki. Ale Marysia właśnie wychodzi z chaty. Niesie, można by powiedzieć, krzak niebieskich bzów.

– Dovas wrzucił przez okno i uciekł.

Zrobiło mi się go trochę żal.

LATO

Kiedy wróciłam z domu, na dworzec w Angerburgu wyszła po mnie Ida Puodžius. Mimo utykania chodziła elegancko, nawet proteza nie skrzypiała, widocznie na tę okazję została nasmarowana. Uśmiechała się jeszcze bardziej elegancko, uprzejmie i mile, ale z wyższością, jak to tylko ona umiała. Opowiadała mi o najciekawszych wydarzeniach z anształtów.

Jak się cieszyłam! Poczulałam się zupełnie w domu. Do tej pory nie wiedziałam, jak bardzo tęskniłam za tym miejscem. Znow byłam równa wśród równych. Tutaj ktoś na mnie czekał.

Zresztą, trzeba zaznaczyć, że bardzo rzadko ktoś z nas wyjeżdżał na wakacje. Kto ma dokąd pojechać, ten dla zakładu przestaje istnieć. A może takich przypadków w ogóle nie ma. Każdy, kto tutaj trafia, czuje, że osiągnął kres drogi. Dalej nie ma dokąd iść. Chyba że ma rodziców. Ale rodziców mało kto ma. A jeżeli już ma, to są oni tak biedni, jak rodzice Auguste Stegemann. Przecież nawet jej podróż tam i z powrotem opłacił zakład.

No, a ja? Miałam własne pieniądze! Anszalty wypłaciły mi nawet odsetki... Jak to? Właśnie tak.

Tak to było z moim majątkiem. Kiedy trafiłam do Kolmarstiftu, Bleiweiss powiedział mi któregoś dnia, że tamta pani, która jechała z nami z Priekulė do Tilsit, kazała przekazać mi 10 marek. Tak! To był mój „żelazny kapitał”. Później mama do każdej paczki wkładała po parę marek. Nie trwoniłam pieniędzy na głupstwa – zresztą, nie było na co. Przekazałam oberce na przechowanie. Miałam własne „konto”. Dzięki tym pieniądzom mogłam wysyłać listy, pojechać na wakacje (na bilet powrotny dała mi mama). Te pieniądze wydaję na powrót do domu albo zabiorę je ze sobą, jeśli wyzdrowieję.

Jestem aż tak bogata, że w domu spędziłam całe cztery tygodnie, Auguste musiała wrócić po dwóch.

teraz wiem – Auguste naprawdę na mnie czeka.

W Genesugsheim otworzyłam duże kartonowe pudło, do którego mama napakowała upieczonych wczoraj wafli. Były to gościńce. Wafle podzieliłam na serduszka, żeby wydawało się ich więcej i żeby wystarczyło dla dziewcząt i chłopców.

Wszyscy jedli, wszyscy chwalili, że wafle takie pyszne, że mają niezwykły, może nawet trochę dziwny smak, że „schmecken immer noch mehr”¹²⁸ⁱ. Jeden chłopak nawet ośmielił się, oczywiście bardzo uprzejmie, zapytać, czy mógłby prosić o więcej...

– Bierz, ile chcesz, – tak mnie tym ujął, że odpowiedziałam po litewsku.

Ach, Auguste, moja Auguste! Uśmiechała się bardzo tajemniczo. Była dziwnie skupiona. Siedziała na tym samym krześle, co zwykle. Przed sobą miała jakiś stoliczek o nietypowym kształcie, na tym stoliku było coś jeszcze dziwniejszego – ni to woreczek wypchany czymś twardym, ni to poduszeczka – pufa. Na tym czymś był naklejony jakiś sztywny papier z jakimiś rysunkami. Na tych rysunkach powpinane szpilki z mnóstwem sznureczków. A znowuż na końcu każdego sznureczka, a tych było może z pięćdziesiąt, coś w rodzaju patyczków albo szpuleczek, na których są nawinięte nici.

– A co to takiego, Gustchen? – spytałam zdumiona, bo takich dziwów jeszcze nie widziałam.

– Ich klopple Spitzen, Eva, siehst du das nicht?¹²⁹

Hm... Tak. Nie chwaleb się, umiem robić na drutach, szydełkować, znam się na hafcie, a nawet na cerowaniu artystycznym. Tak zwanego artystycznego cerowania nauczyła mnie sama oberka Elisabeth, gdy jeszcze musiałam leżeć i nie mogłam iść do obierania

¹²⁸ Coraz bardziej smakują (niem.)

¹²⁹ Robię koronki szpulkowe, Ewo, nie widzisz? (niem.)

ziemniaków. Miałam, jak już wspomniałam wcześniej, „artystycznie” zacerować jej jedwabne pończochy. Jednakże czym są koronki szpulkowe – tego jeszcze nie wiedziałam.

– Tak to się robi w górach. U nas oczywiście, nikt tak nie umie. – tłumaczyła mi Gucia. – Widzisz, teraz robisz tylko zwyczajne koronki. Ale niedługo będę koronkować na tych klockach całe serwetki.

– W górach... – zastanawiam się – czyli w Saksonii albo w Bawarii. Ale przecież tante Elisabeth jest z Fryzji. Gdzie ona się tego nauczyła? Ja bym tak nie umiała – przyznałam się szczerze.

Dumna z siebie Gucia uwierzyła, że ja bym tego nie umiała, ale od razu dodała, że oberka zamierzała mnie nauczyć tej sztuki, jak tylko wrócę z wakacji.

– O nie, wtedy będę mieć operację. Gdzie wtedy położę ten worek? Na brzuchu? Nie, nie!

– Nikt nie może sprzeciwić się tante Elisabeth, i tak zrobi, co zechce – ustaliła Auguste.

Już nic nie mówiłam, ale uprzedziłam się do tych koronek klockowych, mimo że nie wiedziałam, jak je się robi. Patrzę, jak Gucia pracuje, i podziwiam, jak jej dobrze idzie. Ile tych patyczków, ile tych szpilek. Szpilki mają niebieskie, czerwone, białe i nawet zielone główki. Ona wkuwa je tak, że powstaje z nich piękny wzór. Auguste nie ma czasu rozmawiać – tak sumiennie pracuje. Coraz lepiej ją rozumiem. Robi mi się jej tak strasznie żal, ale nie mogę tego okazać, nie chcę jej ranić. I bez tego życie jej nie rozpieszcza. Gucia stara się pokazać, i pokazuje, że umie i że już może pracować. Jeszcze nie jest w stanie utrzymać szpilek jedną ręką, bo jej palce wciąż nie są sprawne. Za to szpilki... Tylko popatrz! Kiedy kończy jeden wzór albo zaczyna nowy fragment, na razie tylko jedną ręką – lewą, już chwytając szpilek kciukiem i palcem wskazującym, żeby wbić w odpowiednie miejsce na rysunku.

– Auguste, jesteś prawdziwą artystką! – chwali. – Przecież ty już jesteś prawie zdrowa.

– Wszystko dzięki tante Elisabeth. To ona wymyśliła mi zajęcie. Te klocki pomagają mi rozruszać palce. To taka gimnastyka. Wiesz, co to jest gimnastyka?

– Skąd mam wiedzieć... Nie, przecież wiem. Przecież mamy salę gimnastyczną.

– To nie jest tak, to nie jest to samo – niechętnie poprawia Gucia. Nic więcej nie mówiłam, bo dobrze wiedziałam, że to jest to samo. Przynajmniej tak samo się nazywa. To oczywiście, że jej paluszki nie wpasują się w tamte ciężkie urządzenia.

– Eva – znów, coraz bardziej tajemniczo, odzywa się Gucia – weź ten stoliczek. Przetaw go tam na bok... No, a teraz patrz.

Gucia się podnosi. Naprawdę, ona wstaje z krzesła! Rzucam się z pomocą.

– Nie, nie, nie! Ja sama, ja sama! Odsuń się.

Mój Boże! Widziałam, jak się męczy, jak cierpi.

Przecież ona nie może zginać nóg, przecież ona nie może wyprostować rąk, nie ma czym się oprzeć, a mimo to sama wstaje z krzesła. Serce mi drży: jeszcze się przewróci, połamię sobie kości.

– Nie, nie, to nie jest pierwszy raz... – Rzeczywiście: Auguste Stegemann wstaje sama! Gdyby nie była ode mnie niższa, rzuciłaby mi triumfujące spojrzenie bohaterki. Ale i bez tego jest wielka. Teraz chcę ją podtrzymać i prowadzić przez pokój, ale ona nie pozwala. Idzie sama. O mój Boże, ona idzie sama – aż do okna! Idę za nią. Ona tego nie widzi, ale wyciągam ręce, chronię ją przed upadkiem – jeżeli się przewróci, to przewrócimy się obie.

Ale ona się nie przewraca. Zatrzymuje się przy oknie, wyciąga chusteczkę i podaje mi, żebym otarła jej pot z czoła. Stoimy, opowiadamy swoje „przygody”. Ja niby opowiadam, ale myślę tylko o jednym: że Gucia stoi. Jak to możliwe? Może sprawił to pobyt w domu, może... Kto to wie. Później wybrałyśmy się na spacer. Przeszłyśmy razem z jadalni do sypialni i z powrotem. Może usiądziemy? Nie, ona sama jeszcze nie da rady usiąść, ale wierzy, że

kiedyś się uda, może już niedługo. Na pewno przyjdzie taki czas, kiedy będzie zginać nogi i wyprostuje ręce. Może będzie nawet ruszać głową.

Moja kochana Gucia!

Nie miałam kolejnej operacji. Byłam już umyta, stół przygotowany do zabiegu. Jak mówiła Ida, noże czekały wygotowane. Wszystko odwołano ze względu na nagłe pogorszenie się mojego stanu zdrowia. Wtedy doktor Rehberg zalecił nową kurację. Podobno gdyby noga była mocniejsza, miałam dostać protezę, a potem, o ile rodzice zapłacą za protezę, jechać do domu. A tak zostaję tutaj i... i...

– Dostanie tyle pracy, ile trzeba – odezwała się oberka Elizabeth. – Przejdzie do Kinderhilfe, tam pomocnicy są bardzo potrzebni. W pralni albo...

Aha! Więc to tak! Będę sprzątać korytarze, szorować, myć werandy, biegać do pralni, słowem, powtórzy się to samo, co było w Krüppelheim I. W zamian za to będę jeść w stołówce dla pomocników i będę miała tyle chleba z marmoladą, ile będę chciała. I tyle. Co to, to nie!

– Ile kosztuje taka proteza? – ośmieliłam się zapytać.

– Osiemdziesiąt marek. Z butami – osiemdziesiąt i pięć.

To kosztuje majątek. Skąd tyle weźmiemy – nie wiem. Może naprawdę trzeba to będzie odpracować. Ale potem – ha!

Teraz cieszę się szczęściem Guci. Ja już nie mam na co czekać. Chyba że na protezę. Jak się chodzi z protezą – już wiem: Ida. Zresztą i tak nigdy nie będę tak elegancko chodzić, jak ona. Ona utyka z innego powodu i w inny sposób. Ale to nic.

Ważne, że będę chodziła bez kuli, bez laski. Szczególną radością, jak mówiłam, mnie to nie napawa. Czuję się nawet trochę zawiedziona. Operacja, którą mi obiecywano, byłaby dla mnie wyróżnieniem. Teraz jestem taka jak wszyscy.

Ale za to Auguste! Z każdym dniem ma więcej śmiałości, coraz bardziej się mądrzy. Już nie potrzebuje pomocy przy wstawaniu z krzesła. Co to, to nie. Wstaje sama i zaczyna chodzić. Kolejny cud: zaczyna sama siadać. Za każdym razem zamiera mi serce, kiedy widzę, jak przysuwa krzesło do ściany, a sama lewym bokiem opiera się na nim i... Wiadomo, że jest to ryzykowne, to jest igranie z... nie wiem, jak by to nazwać. Ja bym była bardziej ostrożna.

Co prawda, kilka razy usłyszałam, jak pojękiwała. Jeden raz widziałam, jak płakała. Coś ją bolało, ale nie mówiła co.

Tymczasem życie w anształtach biegnie starym torem. Dużo operacji i eksperymentów przeprowadza doktor Rehberg. Jedną dziewczynkę, tamtą Grete z krzywymi nogami, operowano czternaście razy. Znaczącej poprawy nie widać. Pojawił się jakiś Friedrich Hermann. Jest nieco opóźniony w rozwoju, ma szpotawą nogę i bezwładną rękę. Próbowano go operować z jakimś miejscowym znieczuleniem.

– Nie bałeś się, Hermann?

– Nie, nie bałem się.

– Nie bolało?

– Bolało. Ale powiedzieli, że przejdzie. I przeszło.

Urtè Labrencytè, ta z Kłajpedy, też przeszła niezliczoną liczbę operacji. Doktor Rehberg z tante Elisabeth uważnie obserwują, jak coraz bardziej tępieje.

Tak, żadne z nich nie miało takiego Bleiweissa jak ja.

Lisa z Kolmarstiftu, która tak zrecznie wpinała się w uprząż, nie żyje. Umarła tak niepostrzeżenie, że nawet nie wiemy, kiedy ją pochowano.

Poza tym więcej umierania nie było.

Pewnego dnia tante Elisabeth zapowiedziała, że nazajutrz pójdziemy do ogrodu biskupa zbierać owoce.

Nie wiedziałam, co to znaczy. Ale te, które są tu rok albo i dłużej – one wiedziały. Idzie Maksim, Lene, Charlotte zaświeciły oczy. Auguste nic nie mówiła, tylko leciutko się uśmiechnęła.

Nie wiedziałam, o co chodzi, więc się nie odzywałam. Oberka wybrała grupkę chłopców i kilka dziewczynek, które mogą chodzić, między innymi mnie.

– Pójdą z wami Ida Puodžius i siostra Anna – powiedziała oberka i wyszła.

– Bardzo dobrze, że idzie z nami Ida, tylko szkoda, że koniecznie ma być też siostra Anna. Co za rozczarowanie. W tym czasie siostra Anna była drugą osobą w hierarchii Genesugsheim. Była bardzo nielubiana. Nie byliśmy w stanie i nie chcieliśmy jej kochać. Nawet my (jeszcze dzieci) widzieliśmy, że z jej twarzy nie zniknął wyraz tępego zadufania. Skąd w niej było tyle próżności – nigdy nie udało nam się rozgryźć. Zachowywała się tak, jakby sam kajzer dał jej prawo wymierzania sprawiedliwości, mimo że karać nas mogła tylko oberka. Siostra Anna zawsze wyglądała tak, jakby zgrzytała zębami. A jeśli do tego wpadała w ten swój Rappel¹³⁰, – jak mawiała Ida – musieliśmy ją pytać o to, czy pozwoli wyjść do toalety. Zresztą mieliśmy z tego szczególną frajdę. Mrugaliśmy do siebie, ustawialiśmy się w kolejce i zaczynaliśmy:

– Tante Annchen, darf ich austreten?¹³¹

– Geh!¹³² – odpowiadała.

Jeden jeszcze nie wrócił, a kolejny już pyta:

– Tante Annchen, darf ich austreten?

– Nein!¹³³

– Warum nicht? – bolesne zdziwienie. – Tante Annchen, ich muss!¹³⁴

– Warten!¹³⁵

– Tante Anna, ich kann nicht mehr warten.¹³⁶

– Was habe ich gesagt?¹³⁷ ..

I tak przez cały dzień tante Anna w pocie czoła regulowała nasze wyjścia „za potrzebą”.

Teraz ta sama tante Anna pójdzie z nami do ogrodu biskupa, gdzie, jak mi się wydawało, pomimo jej czujnego wzroku, uda się zdobyć kilka jabłek.

Ale mniejsza o siostrę Annę. Dostrzegam – jakby to określić – jakieś szczególne poruszenie. Wokół Auguste gromadzą się dziewczęta, pojawiła się nawet Ida Puodžius. Gorączkowe szepty. Czuję się pominięta, bo nie wiem, o czym tak szepczą. Ale oto Auguste już mruga do mnie znacząco.

– O co chodzi? Co? Gdzie? Jak?

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś – karci mnie Ida.

Zaczyna się wspólne naradzanie. Trzeba zrobić duże kieszenie do spódnic, wszyć je od środka, jeśli się da, to i po dwie.

Powoli zaczynam rozumieć, o co chodzi. „Tajna operacja” zaczyna się, kiedy siostry już śpią. Dołączyła nawet Ida Puodžius. Pracowałyśmy w pośpiechu. Najlżejszy szmer, nawet piśnięcie myszy, a my już w łózkach i udajemy, że śpimy.

„I przekroczyliśmy bramę”...

¹³⁰ Szał (niem.)

¹³¹ Tante Anna, czy mogę wyjść? (niem.)

¹³² Idź (niem.)

¹³³ Dlaczego nie? Tante Anna, ja muszę! (niem.)

¹³⁴ Czekać! (niem.)

¹³⁶ Tante Anna, ja już nie mogę dłużej czekać (niem.)

¹³⁷ Co ja powiedziałam?

Przodem idą siostra Anna i Ida Puodžius, jako starszyzna, za nimi dziewczynki, a na końcu chłopcy. Szliśmy bardzo uroczyście i bardzo ceremonialnie, jak w procesji – parami, po dwie dziewczynki i po dwóch chłopców. Tak chciała tante Anna.

A zatem... Wcześniej widywałam duże sady – u Ašmisów w Griežiai, i u Skvirblisów w Šaukliai, i u Kvakė w Vanagai, i... Ale takiego jeszcze nie widziałam.

Zapomniałam nawet o swoich tajnych kieszeniach w spódnicy (miałam aż trzy). Mimo że byłam jeszcze dzieckiem, mój rozumek to i owo ogarniał. Miałam ochotę klęknąć, rękami wczepić się w trawę, której nie możesz tak po prostu złapać, żeby nie natrafić na zgniłe jabłko lub gruszkę – i wołać: „O, Boże, Boże, Boże! Dlaczego, dlaczego taki jesteś?”. Nie śmiem ani pomyśleć, ani powiedzieć więcej, ale klęknąć nie jestem w stanie – mam nogę w gipsie i... oczywiście, powstrzymuje mnie złość, a może i wstyd. Chce mi się wznieść ręce w górę, tylko że nie do modlitwy, nie! Chce się zacisnąć pięści i wołać: „Jaka krzywda, Boże, jaka niesprawiedliwość! Czy ty nie widzisz?”

W sadzie mnóstwo drzew owocowych, nikt ich nie zliczy. Nikt nie wie, gdzie ogród się zaczyna, a gdzie kończy. Na ziemi było gęsto od jabłek, gruszek, śliwek. Sporo owoców już zgniło, duża część była albo poobijana od spadania, albo przejrzała. Ale najwięcej owoców leży całych i patrzy błagalnie, a nawet prosi „bierzcie i jedzcie...” Właśnie, bierzcie... Gdzieś z daleka dobiega zrządzenie siostry Anny:

– Teraz można zjeść tylko po jednym jabłku. Kiedy pozwolę, będziecie mogli zjeść po jednej gruszce.

– Liur man drop! ¹³⁸ – mówi gwarą Ida Puodžius.

Otrząsnęłam się. W moim koszu nie ma jeszcze żadnego jabłka. Spadają sobie, spadają, ale ani jedno nie trafia do mojego kosza. Sama muszę zbierać i wrzucać do kosza. Nawet nie spróbowałam tego „przysługującego” mi jabłka. Wciąż nie mogę pozbierać się po tym strasznym odkryciu: tak dużo dobra jest na świecie i... no, i co „i”?

Patrzę na Idę. Jej jastrzębie oko śledzi siostrę Annę. A jej ręce... Robię to samo, chociaż nie tak zwinnie, bo w tym czasie z prędkością myśli przenoszę się do Genesungsheim. Wobec takiej obfitości Genesungsheim zakrawa na ironię. Tam na swoim słynnym krześle siedzi sparaliżowana Auguste, tam tkwi Grete o zmizerowanej twarzą owieczki, która już miała cztery operacje (nie wiadomo, ile będzie jeszcze); Urtė o umorusanej i tępej twarzy – wszystko przez operacje. Tam snują się Therese, Frieda, Trude, Marta, Liese, Lotte, Vilius, Fritz, Herbert, Hans, Otto (nie Frosch; nie wiadomo, czy ten żyje, czy wyjechał) i tak dalej, i jeszcze więcej. Oni wszyscy mieliby ochotę na jabłka, jabłka, jabłka i gruszki (dla mnie wystarczyłoby śliwek!). Ale nie dla nas te owoce. Jeden jedyny raz latem dali nam po kilka łyżek jagód. A jakie były przy tym ceregiele! Sama oberka Frieda (kto by pomyślał!) paradowała z łyżką, za nią szła jedna z siostr niosła koszyk z jagodami, inna siostra niosła mleko. Siedzieliśmy wokół stołu nad swoimi talerzami i czekaliśmy. Na początku było wielkie przemówienie oberki Friedy, ta to potrafiła mówić „jak ksiądz”, dopiero potem zaczęło się rozdawanie. Elisabeth na pewno zrobiłaby to zwyczajniej, nam pewnie bardziej by smakowało, ale po takim kazaniu... Oberki Elisabeth w tym czasie nie było.

A tutaj taka obfitość gnije! Czyżby biskup nie wiedział, czego potrzebujemy? Czy on nigdy nie był dzieckiem? Nagle poraziła mnie świętokradcza myśl i – choć zabij! – nie daje mi spokoju: „on jest jak ten pies ogrodnika, co to sam nie zje i drugiemu nie daje”.

Ida szarpnęła mnie za rękaw. Wie, że często zapominam o wszystkim i myślami jestem w innym świecie.

– Friss, Eva, friss ¹³⁹! – syknęła. Tymczasem jej oczy wciąż śledzą przekłętą „starszyznę”.

¹³⁸ Czekaj tatka latka (przyp. tłum.)

¹³⁹ Jedz, Eva, jedz! (niem.)

A „starszyzna” już rozkazuje:

– Teraz można zjeść po jednej gruszce.

– Jaaa!¹⁴⁰ – krzyczą chłopcy z wypchanymi ustami.

– Die haben schon lange Maul und beide Backen voll¹⁴¹, – śmieje się Ida i odwrócona do mnie przypomina, że, rozumiesz, teraz trzeba połykać, a w domu będziemy mogły przeżuć. Noc jest długa.

Nie mieliśmy tyle sił, żeby od razu przenieść w odpowiednie miejsce wszystko, co zebraliśmy. Zrobili to inni. Koszy z owocami już nie było. A to, co przemyciliśmy pod spódnicami, wieczorem rozłożyliśmy na łóżku Auguste i sprawiedliwie podzieliliśmy pomiędzy tych, których w sadzie nie było. Ach, jak oni czekali!

Nikt z nas nie zapomni tego dnia.

¹⁴⁰ Taaak! (niem.)

¹⁴¹ Oni dawno wypchali sobie gębę (niem.)

JESIEŃ

Minęła wiosna, lato, przychodzi jesień. Nikt na nią nie czeka. Nikt nie spodziewa się po niej niczego dobrego. Ona zawsze ma w sobie coś okropnego. Tego doświadczyłam, i to nieraz, na własnej skórze.

A najgorsze jest to, że jesień przynosi choroby. Przynosi choroby, o których nawet nie słyszeliśmy.

Do Kolmarstiftu przyjęto jakąś bogatą damę. Z powodu... apendycytu. Może to nazywa się jakoś inaczej. Co my tam wiemy, o tym coś szeptały siostry. Boże, nawet nie potrafimy wymówić tego obrzydliwego słowa. Dama przyjechała leczyć się do Kolmarstiftu, bo doktor Rehberg ma opinię dobrego chirurga. Usunięto jej wyrostek i... zmarła.

Jakaś niebogata rodzina przywiozła do nas siedmioletnią dziewczynkę chorą na apendycyt. Dziewczynka też przeszła operację. Posadzili mnie przy jej łóżku, miałam pilnować, żeby nie zerwała opatrunków. Raz przez przypadek zobaczyłam jej brzusek. O ile pamiętam, cały był siny. W prawym boku okropna rana, z której wystawały dreny, ale ropa nie płynęła przez nie, tylko... wypływała obok.

Dziewczynka rzucała się niespokojnie i powtarzała niezrozumiałe słowa – chyba była z Mazur – i ciągle prosiła o wodę.

Ale wody nie wolno było podawać. Pozwalano zwilżyć usteczka gazą nawiniętą na patyczek. Ten patyczek bardzo często zanurzałam w wodzie, a potem wyciskałam kropelki prosto w otwarte usta dziewczynki. Może robiłam to zbyt często, ale wtedy dziewczynka cichła jakby uspokajała się.

Potem przyjechali rodzice.

– Mamo, nie daję mi wody. Chcę pić – kiedy trochę oprzytomniała, skarżyła się rodzicom.

Matka jest biedna. Na twarzy ma wypisane wszystkie codzienne zgryzoty. Jest strasznie blada, nie ma już sił płakać, choć żal wciąż ściska jej serce. Widzę, jak mocno zaciska zęby. Zaciska zęby, bo musi milczeć. Jeżeli z jej ust wypłynie choćby jedno słówko, padną kolejne, których mówić nie wolno i nawet nie trzeba. A jednak ból jest za silny, matka musi się odezwać, musi porozmawiać ze swoim dzieckiem.

– Wrócisz do domu, moja malutka. Tam dostaniesz pić tyle, ile zechcesz... – I usta się nie zamykają. – Co te czorty narobili, pokroili, zmarnowali mi dziecko. Dla takich nawet w piekle nie będzie miejsca, oni... – Nie, usta nie mogą milczeć. Padają coraz to nowe słowa, oskarżenia, coraz nowe przekleństwa, obelgi pod adresem Kolmarstiftu. Mąż, który do tej pory stał pod ścianą, teraz podchodzi do łóżka.

– Może w tym jest nasza wina... Żal nam było dziecka, przywieźliśmy ją za późno. Może to przez nas... Doktor przecież mówił... – Łzy cicho spływają po twarzy ojca.

– Wynos się! – wrzeszczy matka. Porwała dziewczynkę z pościeli. Ma szorstkie dłonie i niezdarne ruchy. Na ten widok oblewam się potem. Oberka Elisabeth, blada jak ściana, stara się jakby uspokoić nieporadne ruchy matki, pomaga wygodniej ułożyć córeczkę. Widzę, że oberka wie coś strasznego. Jej sine wargi drżą, może chce przemówić do rozumu odchodzącej od zmysłów matce:

– „Pozwólcie jej tutaj umrzeć.”

Tak! Elisabeth wiedziała, że dziewczynki nie wolno stąd zabrać: z drenami w brzuchu nie dotrze do domu żywa.

Co to jest, ten apendycyt – długo zastanawialiśmy się z Gucią. Spytałyśmy siostrę Helene. Odpowiedziała, że to ślepa kiszka. Hm. Nadal rozumiałyśmy z tego tyle, co nic.

Już chcieliśmy obwiniać lekarza. Może on źle zoperował, niedbale. Ale tamta dama, która miała osobną salę na drugim piętrze i która, jak nam szeptano, płaciła lekarzowi i Kolmarstiftowi bająnskie sumy, przecież też zmarła.

Szybko przestałyśmy to roztrząsać. Smucić się z powodu cudzych kłopotów... Czy nie dość własnych. Jesteśmy młodzi, pełni życia, chcemy cieszyć się tym życiem.

I cieszymy się.

To była niedziela. Na dworze siąpił deszcz. Było dość chłodno, mgliście. Na dziedzińcu, na placu nic nie widać. Już lepiej jest w środku. Tam można grać w różne gry: lotto, i „znajdź damę”¹⁴², i „człowieku, nie irytuj się”¹⁴³, i jeszcze wiele, wiele innych. Wyciąga się te wszystkie gry, które całe lato przeleżały w szafach. Ci, którzy mogą się ruszać, mają jeszcze większy wybór.

I tak mijał czas aż do kawy, a potem – do kolacji.

Johanna od dawna zapraszała mnie do swego pokoju, który znajdował się na drugim piętrze Kinderhilfe. Ciężko mi było tam się wdrapać, ale tego dnia po obiedzie wreszcie poszłam. Johanna od dłuższego czasu próbowała się ze mną zaprzyjaźnić. Często rozmawialiśmy w składziku ziemniaków. Kiedy tylko Johanna ma wolną chwilę – już jest u mnie. Prawie codziennie przynosi mi przedobiadek ze stołówki dla pomocników. Teraz już jestem mądrzejsza. Wszystko zjadam sama, nikomu nie oddaję. Możliwe, że Johanna tak mnie częstuje, żebym ją nazwała „Freundin”¹⁴⁴. Ale ja nijak nie potrafię. Nie wiem dlaczego. Nie mogę się przekonać do niej na tyle, żeby rzucać się jej na szyję. Nie! Może – tak sobie pomyślałam – zmienię zdanie, kiedy zobaczę, jak mieszka,

Johanna jest w Kinderhilfe od dość dawna, trafiła tu tak samo jak setki innych. Nikt jej nie leczy. Powłóczy jedną nogą, a jedna ręka jest bezwładna, porusza się, jakby miała własną wolę. Kiedy latem Johanna podlewa rośliny na dziedzińcu, ta ręka uparcie odchyła się w górę, a kiedy ktoś pyta Johannę o drogę, prawa ręka, ta zdrowa, wskazuje właściwy kierunek, a lewa – jakby przekornie – przeciwny. Czasami Johanna biegnie za takim człowiekiem i tłumaczy: „nie tu, tylko tam”, a jej ręce znów pokazują jednocześnie tu i tam. To sprawia, że Johanna wygląda śmiesznie. Ja się nie śmieję, ale sama też nie chciałabym stać się pośmiewiskiem. Johanna ma matkę i brata, który podobno jest bardzo miły, ale straszny urwis. Na przykład, pewnego razu stłukł wielką miskę. Żeby matka na niego nie krzyczała, pobiegł do sklepu i kupił na kreskę cały kilogram słoniny. Matka niczego nie podejrzewała, była nawet zadowolona, lecz gdy sklepikarz upomniał się o zapłatę...

Pokoik Johanny jest jak odwrócona do góry dnem miska. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam, to mi się nawet spodobało. W tym pokoiku stał okrągły stolik nakryty piękną serwetą. Łóżko też było pięknie zasłane. Przy tej samej wklęsłej ścianie stały piękne obrazy bez ram. Podłoga była nawoskowana, aż lśniła – zupełnie jak u oberki Elisabeth lub w sali operacyjnej. Nie podobało mi się tylko to, że pokoik nie miał okien, to znaczy: było jedno okienko, ale też okrągłe i to w dachu. Ani wyrzeć, ani zawiesić zasłonki.

Johanna przygotowała nawet poczęstunek. I tak mnie częstowała, i tak sobie obie gadałyśmy, gadałyśmy o wielu rzeczach. Głównie o tym, jak powinna się zachowywać przyjaciółka wobec przyjaciółki: nigdy nie zdradzać, nie obmawiać, wspierać, pocieszać... i tak dalej. Mówiłam ja, ona tylko przytakiwała kiwając głową. Wreszcie wymogłam na niej obietnicę, że będzie właśnie taka, jak oczekuję. Wszystko, wszystko mi obiecała, a ja

¹⁴² Lotto – gra planszowa liczbowa. „Znajdź damę” – klasyczna gra karciana zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Uczestnicy mają za zadanie znaleźć damę wśród trzech kart, które zostaną przemieszane. (przyp. tłum.)

¹⁴³ Gra planszowa „chińczyk”. „Człowieku, nie irytuj się” jest dosłownym tłumaczeniem oryginalnego niemieckiego tytułu „Mensch, ärgere dich nicht” (przyp. tłum.)

¹⁴⁴ Przyjaciółka (niem.)

w dowód zaufania ucałowałam ją i poszłam do domu, do Genesugsheim. Zaczynało się ściemniać.

Już z daleka usłyszałam radosny gwar w naszej sali, czyli w stołówce – innej sali nie mieliśmy. Spieszę się, też chcę tam być, bawić się razem z nimi, chociaż zawsze i wszędzie okazuje się, że mam za mało sprytu. Chłopcy – któż by inny! – wymyślili mi nawet przezwisko: Die Schläfrigkeit¹⁴⁵. Ale to nic.

Zawsze lepiej u swoich niż u Johanny. Od razu jak tylko wyszłam z jej pokoju, zaczęłam żałować: po co tyle mówiłam, po co kazałam przysięgać. Teraz, w drodze do domu, dociera do mnie, że ona kompletnie mnie nie zrozumiała.

Jak ona głupio się uśmiechała. Naprawdę jest taka głupia, czy tylko udaje... Niedługo się dowiem. Zresztą, na co mi ona potrzebna? Przecież jest Auguste, przecież mam Idę. Co prawda, Idzie nie można powiedzieć wszystkiego, ona jakoś tak, jakby ... A z kolei... Może przydałoby się mieć więcej przyjaciółek... Z jedną można rozmawiać o tym, z drugą o tamtym. Ja i Auguste często się sobie zwieramy, o niektórych sprawach mogę porozmawiać tylko z nią. Ale z Auguste nigdy nie można nabijać się z tego, jak elegancko utyka Ida, jak jeszcze bardziej elegancko się uśmiecha, kiedy idzie po kogoś na dworzec albo w drodze do kościoła. O Idzie mogłabym rozmawiać z Johanną...

Powoli się uspokajam i snując filozoficzne refleksje wracam do domu. Otwieram drzwi do jadalni i już rozumiem, skąd taka radość, skąd ten harmider. A jakżeby inaczej! Właśnie trwa w najlepsze gra „po mojej prawej stronie wolne miejsce, zapraszam tego i tamtego”.

Wszyscy są zachwyceni Auguste Stegemann, wszyscy chcą ją mieć obok siebie. Nie tylko dziewczęta, chłopcy także. A dzisiaj – nawet siostra Helene, którą wszyscy kochamy bezmiernie.

Siostrę Helene wszyscy kochamy tak bardzo, że nawet – gdy jeszcze sypiałam we wspólnej sypialni – łamaliśmy sobie głowy, jak jej okazać tę miłość. A że nie mogliśmy inaczej, oto co robiliśmy – wstawaliśmy wcześniej rano, myliśmy się, sami się ubieraliśmy, sprzątaaliśmy sypialnię. Kiedy mieliśmy największą frajdę? Siostra Helene wchodzi, a my już czekamy na nią gotowi. Jeszcze większa frajda, kiedy „w przerażeniu“ wykrzykuje:

– Ach, dziewczynki, a co ja mam robić? Przecież jeszcze za wcześnie, żebyśmy zeszły do jadalni. Herrgott, żeby tylko tante Elisabeth nie przyszła. Dopiero by mi się dostało!”

Zegarka nie miałyśmy. Ale Gucia zawsze słyszała, jak przejeżdżał poranny pociąg. Wtedy odczekiwała chwilę i zaczynała nas budzić.

Tak samo było, albo przynajmniej tak miało być, w tamten niedzielny poranek. Słyszę, jak Gucia nas strofuje:

– Jeśli nie chcecie wstawać, to mówcie. Więcej nie będę was budzić. Pociąg dawno przejechał. Niedługo zacznie świtać...

Wstałyśmy, ubrałyśmy się, sprzątnęłyśmy pokój i wyczekujemy siostry Heleny, czekamy na to miłe zaskoczenie na jej twarzy.

I nic z tego: zarówno na gorze, jak w sąsiednich pokojach – cisza. W mieście przeraźliwy spokój. Ciemno. Niektóre z nas ziewają, inne skulone drzemią na taboretach. A świtu jak nie było, tak nie ma.

Nagle Ida Maksim zaczyna chichotać. Ona już tak miała, że śmiała się bez powodu:

– Czy wiesz, Guciu, co ty słyszałaś? To był pociąg z jedenastej. Teraz może być parę minut po dwunastej.

Zbite z tropu znów cichutko wróciłyśmy do łóżek, ciesząc się w duchu, że możemy sobie jeszcze pospać.

Porannego pociągu Gucia już nie usłyszała...

¹⁴⁵ Śpioch (niem.)

Czy teraz też tak się robi – nie wiem...

Stoję w kącie sali, patrzę i oczywiście nie wierzę własnym oczom: naprawdę wszyscy proszą Gucię, żeby usiadła po prawej stronie. Bo wszyscy wiedzą, że to dla niej jest ważne, a wszyscy chcą sprawić jej przyjemność. Nie, ani razu nie udaje jej się usiąść, nie może, nawet nie ma takiej potrzeby, bo wiadomo, że za chwilę zawoła ją ktoś inny.

I wołają.

– Ewa, widzisz? Ja nawet nie mam kiedy usiąść. Tylko biegam i biegam od jednego do drugiego.

I ona biegnie... Moja kochana Gucia!

Nagle... nie wiem, co dokładnie się stało, jedno zdążyłam zobaczyć: Auguste Stegemann upadła. Nie, ona padła jak słupek, jak drzewo, lekko odwrócona na bok. Połową czoła, z hukiem (którego nigdy zapomniałam) uderzyła o podłogę. Upadła i nigdy się nie podniosła.

Moja droga Gucia nigdy więcej się nie podniosła.

Podbiegła do niej siostra Helena, rzuciła się do niej Ida i wszyscy, którzy mieli zdrowe ręce, podnieśli ją, tylko ja nie mogłam się poruszyć. W nogach poczułam taką słabość, że musiałam jak najszybciej chwycić się klamki. Wydawało się, że Gucia straciła przytomność. Pojawiła się kolejna siostra, pojawiła się oberka Elisabeth. Spojrzała na prawie martwą twarz Auguste, chwyciła za nadgarstek szukając tętna.

I... nic więcej nie widzieliśmy, wygonili nas z sypialni.

Powlokłam się do swego pokoju i tam czekałam na powrót Idy. Pójść do sypialni dziewczynek nie miałam odwagi, bo tam nie było Guci, mojej Guci! Jej łóżko jest puste.

Gucia jest już w Kolmarstifcie.

Na dworze rozpełtała się burza. Ostry wiatr niósł krople deszczu w kierunku naszych okien. Może był nawet grad. Ktoś gdzieś ni to piszczał, ni to jęczał. Gdzieś coś tak dziwnie stukalo, łomotało, jak gdyby ktoś dobijał się do drzwi, które się nie otworzyły. Bałam się poruszyć, bo bałam się duchów. W taką noc... nie wiem, dlaczego przypomniała mi się noc po mojej operacji. Ale wtedy burzy nie było.

Wreszcie mogę odetchnąć, bo słyszę kroki. To Ida, która wtacza się przez drzwi. Ma bladą twarz, wytrzeszczone oczy.

– Ida, co z tobą?

Ida pada na swoje łóżko i głośno płacze. Cała drży, jakby miała dreszcze.

– Ida, powiedz, tylko... przecież Gucia jeszcze ... nie może... Ida!

– Duch... Tak, wyraźnie słyszałam... Duch!

– Co? Gdzie? – Włosy jeżą mi się ze strachu. Boże, co za koszmar!

– Szedł za mną... Kroki... naprawdę! Gucia umrze... Pojawia się tylko wtedy, kiedy... To jęczało, to płakało pod oknem Kolmarstiftu... Biegłam... Ścigały mnie kroki...

Zmartwiałam. Czuję tylko, jak spomiędzy palców spływają mi łzy. Płacę nie z powodu Auguste. To łzy przerażenia.

Kiedy usłyszałam, że wraca jedna z siostr – ich pokój jest obok naszego – uspokoiliam się i znów zaczęłam martwić się o Gucię. Widzę, że Ida przestała drzeć. Usiadła i patrzy na mnie zapłakanymi oczami.

– Ida, a co z Gucią? Czy ty ją jeszcze widziałas?

– Był doktor... Gucię bardzo boli rozbita głowa. Ale to nie przez to... To coś poważniejszego... Ledwo mówi. Wymiotuje. I... No, nie wiem, nie wpuszczają do niej. Mówią, że jutro będzie operacja.

To coś poważniejszego.... Nie wpuszczają tam... Przypomniałam sobie tamtą dziewczynkę z Mazur, przypomniałam sobie...

– Boże, Boże, dlaczego? Panie Boże, dlaczego, dlaczego? – poczułam, że wrzeszczę nieswoim głosem.

– Przestań wreszcie! Co z tobą?

– O! O! O! – Nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć. Taka ironia losu. Jak tu nie rozpaczać! W środku gry, kiedy była taka szczęśliwa! Kiedy cieszyła się szczęściem, którego los jej tak skąpił – to! Co to za obrzydliwa kpina z biednego ludzkiego dziecka! Dlaczego? Dlaczego?

– Och! Och! Pobożnisie powiedzą, że Gucia nie powinna była się bawić, tylko modlić. Paść na kolana i dziękować Bogu... Gucia! Paść na kolana! I dziękować... Komu! Za co? Za co?... Cha–cha–cha! Cha–cha–cha! Cha ...

Czuję że leżę w łóżku przebrana jak do snu. Ach, to był tylko sen. Przecież to niemożliwe, żeby działy się takie okropne rzeczy... Wtem... w świetle lampy naftowej spostrzegam pochylający się nade mną cień. To twarz znienawidzonej siostry Anny.

– Co to, czego siostra chce? Dajcie mi spać. Jeszcze się nie rozwidniło. Boli mnie... Nie wstanę.... – Tak, to tylko sen. Świadomość nie ogarnia tego, co się wydarzyło. Tylko w ciele odczuwam jakiś dziwny, dotąd nieznan ból, to właśnie dlatego powiedziałam, że nie wstanę. Dobrze, że zapomniałam, ach, jak dobrze!

Ale oto otwierają się drzwi, jako pierwsza wchodzi oberka Elisabeth, za nią Ida. Siostra Anna wycofuje się spokojnie, bez pośpiechu. Elisabeth siada. Kładzie mi dłoń na czoło, zasłaniając w ten sposób oczy.

– Schlaf, mein Evchen, schlaf!¹⁴⁶ – słyszę jej usypiający głos i więcej nic już nie pamiętam.

I oto stoimy (ci, którzy dostali pozwolenie, jest nas niewielu) nad grobem, a dokładniej nad wykopanym już dołem.

Wyje jesienny wiatr. Czuję jego złośliwą, niszczycielską radość, czuję jego kpinę z nieszczęścia ubogiego dziecka. Cmentarz anształtów jest ponury, nie ma już żadnych kwiatów, na krzewach nie ma już liści, jak gdyby ten okropny wiatr celowo je pozrywał – teraz będzie je rozwiewał, dopóki mu się nie znudzi, aż zepchnie je do jakiegoś zakątka. Tu i ówdzie sterczą szare krzyżyki, gdzie indziej z ziemi wystają kamienne płyty, które nic mi nie mówią.

Odprowadziliśmy Auguste Stegemann. Ostatni raz. U naszych stóp – trumna z jej zwłokami, których nam już nie pokazano. Trumna jest piękna, wydaje się nam wspaniała, może dlatego, że piękniejszej i wspanialszej dotąd nie widzieliśmy.

– Zapamiętajmy ją taką, jaką ją oglądaliśmy po raz ostatni... – dobiegają mnie słowa księdza.

Wielkie dzięki! Kiedy widziałam ją po raz ostatni, leżała twarzą do ziemi po upadku. Padła jak podcięta. Tego widoku nigdy nie zapomnę.

– Zapamiętajmy ją taką, jaka była, kiedy była zdrowa... – „Co? Kiedy ty widziałeś ją zdrową, księżo?” Chce mi się śmiać.

– Umarła szczęśliwa w Chrystusie Panu. W glorii chwały...

Kazanie wygłasza młody Braun. Wybaczamy mu tę, powiedzmy, paplaninę. Nie znał Auguste. Jestem pewna, że nie czytał „Kreuz und Liebe”¹⁴⁷, chociaż autorem książki był jego ojciec. Ksiądz studiował i studiuje Biblię, żeby znaleźć mądre słowa, żeby znaleźć słowa otuchy nawet dla matki Auguste, która również jest tutaj z nami. Jesteśmy od niej lepiej

¹⁴⁶ Śpij, moja Ewciu, śpij! (niem.)

¹⁴⁷ „Krzyż i miłość”, dzieło założyciela zakładu dla kalekich dzieci, pastora, superintendenta Hermanna Brauna, którego nazywano „ojcem kalek”. Dzieło życia Brauna było wielokrotnie wznawiane, pierwsze wydanie: „Kreuz und Liebe: als Zeichen innigster Dankbarkeit für edles Wohltun an unsern 400 Krüppelkindern gewidmet von Superintendent Hermann Braun“, Krüppelheim, 1912. Syn Hermanna Brauna, Erich, był również duchownym protestanckim, misjonarzem, w 1931 roku po śmierci ojca przejął po nim schedę jako kierownik i duszpasterz zakładu dla kalek w Angerburgu. (przyp. tłum.)

ubrani – taka jest biedna. Co najciekawsze – nie płacze. Wydaje mi się, że ona nie potrzebuje słów pociechy. Wydaje mi się, że nawet nie słucha tego, co tutaj się mówi. Ja też nie słucham. Słyszę, jak dwie siostry, które stoją za mną, rozmawiają. One też pewnie nie słuchają.

– Co ty mówiłaś? Peryton...

– Tak, tak: peritoneum¹⁴⁸. – To głos siostry Helene Schablowsky. – Ona czasami płakała, ale kto mógł przypuszczać, że... Apendyks...

Boże! Chwytam się za prawy bok... A kto to wie... Ale nie, tam nie boli. Na razie...

– Jej oczy, jej myśli zawsze były zwrócone ku niebu – to znów Braun. – „Jak nam będzie, jak nam będzie, kiedy dusza tam osiedzie...”

Mów sobie do woli, księżo, ale Auguste nie chciała umierać. Chciała żyć, chciała wyzdrowieć. Gdyby wierzyła, że tam w niebie będzie zdrowa i... nie cieszyłaby się tak z każdego nawet najmniejszego zwycięstwa nad chorobą, nie mówiłaby mi: „Zobacz, Ewo, już i ten palec trochę się zgina”.

Moje rozmyślenia przerwała Ida Puodžius, ustawiająca naszą małą grupkę do ostatniej pieśni – pożegnania z Auguste Stegeman.

O, lieb, so lang du lieben kannst,
O, lieb, so lang du lieben magst!
Es kommt die Zeit, es kommt die Zeit,
Da du am Grabe stehst und klagst..¹⁴⁹

¹⁴⁸ Zapalenie otrzewnej (łac.)

¹⁴⁹ Kochaj, póki chęci masz,
Kochaj, póki radę dasz,
Nadejdzie czas, nadejdzie czas,
Gdy przyjdzie ci nad grobem stać.
(tłum. z niem. K. Choroszuca)

ZESTAWIENIE NAZW MIEJSCOWYCH * VIETOVARDŽIŲ SAŲVADAS

Nazwa litewska	Nazwa polska	Nazwa niemiecka	Obecna (spolszczona) nazwa rosyjska (Obwód Kaliningradzki)	Obecna przynależność państwowa
Angerburgas / Ungura / ob. Vengožėvas	Węgobork / ob. Węgorzewo	Angerburg		PL
Aukštumalo pelkė		Augstumalmoor		LT
Darkiemis	Darkiejmy	Darkehmen	Oziorsk	ROS
Ginduliai		Gündullen		LT
Gerdava	Gierdawy	Gerdaunen	Żeleznodorożnyj	ROS
Įsrutė	Wystruć	Instenburg	Czerniachowsk	ROS
Juknaičiai		Jugnaten		LT
Klaipėda	Kłajpeda	Memel		LT
Kukoraičiai		Kukoreiten		LT
Labgava	Labiawa	Labiau	Polessk	ROS
Mižeikiai		Mißeiken		LT
Priekulė	Prekule	Prökuls		LT
Ragainė	Ragneta	Ragnit	Nieman	ROS
Rimkai		Karlsberg		LT
Rožentalė	Rožental	Rosenthal		PL
Saugos		Saugen		LT
Šilokarčiama /ob. Šilutė	Szyłokarczma	Heydekrug		LT
Tilžė	Tylża	Tilsit	Sowieck	ROS
Traksėdžiai		Trakseden		LT
Vanagai		Wannaggen		LT
Vėliava / Vėluva	Welawa / Iława nad Pregiem	Wehlau	Znamiensk	ROS
Vyžiai		Wießen		LT
Žagarai		Szaggern		LT
Žibai		Szibben		LT

*opracowała * parengė Katarzyna Choroszuca*

O TŁUMACZKACH * APIE VERTĖJAS

lic. **Katarzyna Choroszuca**

Studentka Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych na Uniwersytecie Warszawskim. Tematy prac dyplomowych: *Zapożyczenia najnowsze w mowie młodzieży litewskiej z Puńska* (licencjat na kierunku filologia bałtycka), *Zakres użycia estońskiego wyrazu „sõber” i polskiego wyrazu „przyjaciół”* (licencjat na kierunku filologia ugrofińska). Uczestniczka projektu *In Between? Searching for Local Histories in Borderlands of Europe na pograniczu polsko–litewskim*, w ramach którego powstał krótki film dokumentalny i wiele godzin nagrań wywiadów z mieszkańcami pogranicza. Tłumaczka języka esperanto.

lic. **Dominika Huczyńska**

Absolwentka filologii bałtyckiej na Uniwersytecie Warszawskim. Temat pracy licencjackiej: *Chronotop powieści Mindaugasa Jonasa Urbonasa „Šimtmečių melancholija”*. W trakcie studiów ukończyła studium języka litewskiego dla obcokrajowców na Uniwersytecie Wileńskim oraz wakacyjne kursy języka litewskiego w Kłajpedzie, brała udział w ekspedycji krajoznawczo–dialektologicznej w Akstocie. Zajmuje się najnowszą literaturą litewską. Uczestniczka zagranicznych projektów filologicznych.

dr **Mirijana Kozak**

Współpracuje jako wykładowca z Zakładem Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Ambasadzie Republiki Litewskiej w Warszawie. Autorka licznych publikacji o problematyce polsko–litewskiej. Współinicjator i koordynator polsko–litewskiego projektu translatorskiego *Pamario literatūra lenkiškai * Literatura litewskiego Pomorza po polsku*. Redaktor przekładów literackich z języka litewskiego. Przetłumaczyła na język polski m.in. utwory prozatorskie Algisa Kuklysa i Juozasa Šikšnelisa.

lic. **Monika Kujawska**

Absolwentka filologii bałtyckiej na Uniwersytecie Warszawskim. Temat pracy licencjackiej: *Interpretacja wybranych wierszy Kazysa Binkisa w kontekście twórczości polskich grup literackich Skamandra i Awangardy Krakowskiej*. W trakcie studiów ukończyła zimowe kursy językowe na Uniwersytecie Wileńskim. Obecnie kontynuuje studia na poziomie magisterskim, studiuje filologię bałtycką i filologię rosyjską.

lic. **Marta Kwiatkowska**

Absolwentka filologii bałtyckiej na Uniwersytecie Warszawskim. Temat pracy licencjackiej: *Stosunki polsko–litewskie w dwudziestoleciu międzywojennym w świetle wybranych opinii Czesława Miłosza i Tomasa Venclovy*. W trakcie studiów ukończyła letni kurs języka i kultury litewskiej w Wilnie. W kręgu jej zainteresowań znajduje się historia stosunków międzynarodowych, monarchii brytyjskiej oraz genealogia.

mgr **Agnieszka Rembiałkowska**

Absolwentka filologii bałtyckiej na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie pracuje jako wykładowca w Zakładzie Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego. Uczestniczka polsko–litewskich projektów translatorskich. Przetłumaczyła z języka litewskiego m.in. zbiory wierszy Sigitasa Gedy, Vladasa Braziūnasa, Nijolė Miliauskaitė (wspólnie z Aliną Kuzborską), powieści Juozasa Šikšnelisa, Vidmantė Jasukaitytė i in.
